MIESIĘCZNIK

2 (41) LUTY 1986 CENA 80 ZŁ

fantastyka



W naszej Galerii
ponownie
Wojtek SIUDMAK

SYNDICAT D'INITIATIVE
de FAYENCE - TOURRETTES
Place Léon Roux
FAYENCE – VAR – COTE D'AZUR



SOCIÉTÉ EUROPÉENNE
des ÉCRIVAINS de SCIENCE FICTION
B. P. 318
12003 RODEZ Cedex

PRIX EUROPÉEN de SCIENCE FICTION

Decerné à Magazine .... FANTASTYKA

Pour son ouvrage. professionnel

par les Assises de la SOCIÉTÉ EUROPÉENNE de SCIENCE FICTION
lors de la première CONFÉRENCE EUROPÉENNE de SCIENCE FICTION
organisée par le SYNDICAT D'INITIATIVE de FAYENCE

Fayence les 1er - 2 - 3 novembre 1985

John BRUNNER
Co-Président S.E.S.F.

Pierre BARBET
Coordinateur S.E.S.F.

Alim KESHOKOV
Co-Président S.E.S.F.

J. P. CRONIMUS
Secrétaire Général S.E.S.F.

Andrzej WÓJCIK
Secrétaire Général S.E.S.F.

EUROCON'85

Nagrody:

● **dla „Fantastyki" – jako najlepszego pisma profesjonalnego**

● **dla Konrada Fiałkowskiego – jako najpopularniejszego powieściopisarza**

Byliśmy serdecznie zaproszeni przez gospodarzy i zapowiedziani w Biuletynie Europejskiej Konferencji Science Fiction w którym szczególnie podkreślano fakt, iż ten Eurocon zgromadzi wielu pisarzy z różnych stron Europy. Był to przede wszystkim zlot francuskich autorów SF pod przewodnictwem twórcy ponad sześćdziesięciu książek – znanego w Europie i w Ameryce – Pierre'a Barbeta (patrz wywiad na str. 60). Program, obok spotkań i dyskusji, koncentrował się wokół kilku ciekawych, stojących na wysokim poziomie prelekcji. Jean Louis le May, pisarz i krytyk mówił „o inteligencji", Pierre Barbet o „samotności człowieka we Wszechświecie". Konrad Fiałkowski przedstawił temat „Filozofia a SF". Podobnie jak i u nas, fantastykę we Francji poddaje się różnym ocenom i porównaniom nauki, staje się ona stopniowo normalną dziedziną pisarstwa, humanistyki. Świadczy o tym m.in. także referat pani Denise Terrel z Nicei o „Centrum studiów i metafor oraz SF". Gościem honorowym Konferencji był G.H. Gallet, którego prelekcja „o historii science fiction" wzbudziła szeroki rezonans i przysporzyła dodatkowej sławy temu znanemu eseiście, krytykowi i działaczowi. Wzbudziły także uwagę dwa filmy. Jeden – młodzieżowy „Przygody ewoków" to jak gdyby dalszy ciąg, czy też historia wysnuta z „Gwiezdnych wojen". Bohaterami są urocze „misie", których odwaga i inwencja przyczyniły się walnie do pamiętnego zwycięstwa Jedi nad Vaderem i jego bezwzględnymi żołdakami. Drugim filmem był sławny już „Terminator" Jamesa Camerona, film dobrze zrobiony, lecz jak większość współczesnych obrazów filmowych o niezwykłej brutalności. Jury i przedstawiciele poszczególnych nacji, zebrani w podgórskim Fayence (miasteczko 25 kilometrów od Riwiery Francuskiej, położone malowniczo na kilku poziomach, wśród skał i ogrodów), przedstawili kandydatury do nagród, które następnie poddano głosowaniu. Wyniki ważne dla nas – podaliśmy w tytule.

Ze strony polskiej w Konferencji wzięli udział: Konrad Fiałkowski, Adam Hollanek, Tadeusz Markowski, Jacek Rodek i Wiktor Bukato. Byli także Węgrzy z drem Horvathem, przedstawicielstwo Rumunii sprawował Ion Hobana (nagroda za opowiadania), a z ZSRR – przewodniczący sekcji Literatury Utopijnej i Rozrywkowej w Związku Pisarzy Radzieckich Alim Keszokow i A. Asincewa, tłumaczka tej literatury. Przyjechało również wiele osób z różnych innych krajów Europy. Dopisała organizacja i – jak na zamówienie – pogoda.

Następna Konferencja, o czym powiadomił przedstawiciel Jugosławii M. Mažuranić odbędzie się w lipcu 1986 r. w Zagrzebiu, w Jugosławii. Na rok bieżący również zostało zapowiedziane spotkanie pisarzy i działaczy Europejskiego Stowarzyszenia SF w Związku Radzieckim, koło Rygi. Będzie to więc okres niezwykle bogaty w międzynarodowe imprezy science fiction, zważywszy, że do obydwu wymienionych należy dodać także Kongres World SF, organizacji profesjonalistów, przygotowany w Vancouver, w Kanadzie. Trochę daleko od Europy. Spotkanie w Fayence umożliwiło nam, reprezentantom „Fantastyki" – nawiązanie bliskich kontaktów z obszarem, który dotychczas słabo jest znany naszym Czytelnikom, z Francją należącą do krajów niezwykle ważnych w ruchu SF. Przecież pierwsze nagrody Goncourtów, tak wiele po dziś dzień znaczące w świecie literackim, przyznawano początkowo autorom (tak to się składało), którzy pisywali utwory o charakterze fantastycznym, czyli byli niejako prekursorami gatunku. Nie zapominajmy również, że Francuz Juliusz Verne, którego wiele powieściowych wynalazków sprawdziło się w rzeczywistości, po dziś dzień należy do najpopularniejszych autorów świata.

Dzięki pobytowi we Francji mieliśmy także możność spotkać się z naszym, od 20 lat działającym we Francji, mieszkającym stale pod Paryżem, a sławnym już nie tylko w Europie, lecz i w Ameryce, malarzem i grafikiem Wojtkiem Siudmakiem. Próbki jego talentu są już znane i wysoko ocenione przez Czytelników „Fantastyki". Świetnemu artyście bardzo zależy na pokazywaniu swych prac właśnie w Polsce, skąd wywodzi się jego romantyzm i gdzie zdobył średnie i wyższe wykształcenie plastyczne. W najbliższym czasie w kilku miastach Polski ma być zorganizowana wystawa posterów Siudmaka, my już w tym numerze gościmy go w naszej „Galerii" (patrz str. 10).

Adam Hollanek

■

Grzegorz Komorowski

...3...2...1...



Jesień zeszłoroczna stała pod znakiem typowo polskich zaduszek romantycznych, bo przecież jakże inaczej nazwać konkurs chopinowski, który wciąga niemal cały naród w orbitę nie samej jedynie międzynarodowej rywalizacji młodych pianistów. Przede wszystkim jest to potężny festiwal sztuki polskiej, nawrót do jej najwyższych wzlotów, do jej najsilniejszego nie tylko na kraj, lecz na świat oddziaływania. Po prostu wizyta Króla Ducha, może nie zawsze świadomie odbierana, lecz na pewno śledzona z zapartym tchem, zwłaszcza że nie za często zdarzają się podobne okazje. Wielki romantyzm polski przyniósł nam sławę nie tylko dzięki wyjątkowemu nagromadzeniu w jednej epoce tylu geniuszy – Chopina, Mickiewicza, Norwida, Słowackiego, Krasińskiego czy Fredry, nie licząc całej plejady muzyków i pisarzy nieco mniejszych, lecz również wysokich lotów – uzyskał ją także za wprowadzenie do sztuki romantycznej preferującej bezwzględnie stawiającej na najwyższym piedestale sprawy jednostki ludzkiej, jej konflikty, jej osobiste bóle i żale – problematyki społecznej, narodowej. Wpoił w świadomość całych pokoleń niewątpliwe istnienie wspólnoty duchowej, wspólnego przeżywania zjawisk losowych. To tkwi w muzyce Chopina, to tkwi w poezji wszystkich naszych wieszczów. I to nadało wyraźnie nowe tony całemu romantyzmowi światowemu, ponieważ nigdzie w Europie nie wystąpiło z taką jak u nas mocą. Więc czy słuchacz Chopina uświadamia sobie w pełni, czy też w ogóle nie uświadamia, na czym rzecz

przez nich powiedzmy w sposób literacki, znajdzie żywy oddźwięk, utrwali się w umysłach, poskutkuje.

Napisałem już kiedyś, iż cokolwiek sądziłoby się o wartościach literatury science fiction, jest ona jedynym gatunkiem literackim, którego autorzy wierzą w silne oddziaływanie swej sztuki, że jest to właśnie cecha typowo romantyczna. I jeszcze jedno warto do tego dodać: cokolwiek myśli się o fantastyce, ma ona, czy sobie panowie krytycy tego życzą czy nie, autentyczną siłę przebicia, siłę jakiej nie obserwuje się w innych dziedzinach sztuki. Z tym trzeba się liczyć. Nikt fantastyki

waniem wnętrza itp., itp. Należałoby więc skończyć w ogóle z tym, co dla literatury podstawowe, nieodłączne od jej najgłębszej istoty, od tego, co różni ją od postawy naukowej – zerwać z subiektywnym punktem wyjścia! Przypominam tutaj, iż romantyzm – ten romantyzm, który chwałę przyniósł sztuce polskiej – poprzez sprawy jednostki docierał do problemów ogólnospołecznych czy narodowych. Innej drogi w literaturze nie widać, ani w filmie, ani nawet w muzyce, także i plastyka nie potrafiła (choć próbowała) zrezygnować z jednostkowej perspektywy tworzenia. Następną receptą-nieporozumieniem jest zagadnienie stylistyki utworów. Młody buntownik proponuje ćwiczenia stylistyczne, uznając tylko, jak zresztą większość naszych początkujących pisarzy, typ narracji niezwykle realistycznej, zobiektywizowanej, beznamiętnej. Hemingwayowska metoda pisarska, jeszcze ciągle rześka, przeżyła swoje apogeum za życia świetnego reportera i prozaika, prawda, że z większym i mniejszym powodzeniem bywa stosowana w literaturze science fiction, pozostając najczęściej jedynym świadectwem jakichś szczątkowych umiejętności pisarskich. „Styl to człowiek" – brzmi powiedzenie francuskie. Sterowanie literaturą przez ujednolicanie stylistyki to zjawisko tyleż śmieszne, co szkodliwe, jak wszelkie tego rodzaju poczynania, raczej przynależne do zabawy niż do pasji twórczej.

Poza tym nie wyobrażam sobie upatrywania największej ważności pisarstwa w samej walce z

n rynku / apotrze- / e, decy- / a należy / tomiast / wypad- / elotnym

tradycją i w samej walce o taki, a nie inny styl. To już zasadniczy błąd sztuki. Jeśli młodzi twórcy zabrną w ten zaułek, przysięgam, że niewielu z nich będzie stamtąd potrafiło się wydostać na szersze i bystrzejsze wody, bez których zaspokojenie wyobraźni i gustów – jakże zróżnicowanych

wspólna w chopinowskiej muzyce polega – czuje ją, odbiera, ulega jej specyficznemu czarowi.

W tej naszej epoce, mającej wiele cech romantycznych, w zbyt małym stopniu klaruje się młodym znaczenie polskiego romantyzmu, znajomość jego podstawowych dzieł. Gdy w gronie młodych osób, które na pewno „przerabiały" już

sta nie ładuje na rynek! To, co się na ty / ukazuje, jest zaledwie kroplą w morzu z / bowania! Jednakże o tym, co się ukazu / dują nie wydawnictwa. Ich rola inicjatywn / u nas od prawie zerowych, niestety. N / zarówno miłośnicy gatunku, jak i w wielu / kach twórcy, ulegają nazbyt często pra

scy w naszej re- / emy te prozę. Po- / zmem, sądząc ze / dziach twórczych / w pełni literacko- / Niezmiernie takich / niej, jakby poczę- / dra, w której tyle

się ostrzeżeniem, / ny młodych twór- / ch twórców. Bunt / ewnętrznych, ntw-

Mickiewicza pozwoliłem sobie kiedyś na „zadeklamowanie" (tak to określili młodzi) Wielkiej Improwizacji, pytano mnie co to właściwie jest, niektórzy mówili „myśmy tego w ogóle nie znali", inni, że „po łebkach", jeszcze inni, iż teraz lepiej to pojmują, że muszą to jeszcze raz przeczytać, i jak to można tak z pamięci recytować?

Dlaczego o tym właśnie teraz piszę? Czemu rozdrapuję rany niedokształcenia wielu młodych? Ponieważ większość z nich to czytelnicy science fiction, a ona ta stało-nowa dziedzina sztuki, wywodzona przez niektórych z Homerowej „Odysei" (toutes proportions gardees), usiłuje

snobistycznym modom. Jest to zjawisko groźne szczególnie dla młodych. W chwili, gdy to piszę, jestem po lekturze artykułu, czy raczej eseju nadesłanego do naszej redakcji przez jednego z młodych, nieźle zapowiadających się autorów. Nie wymieniam tutaj jego nazwiska, jako że rzecz którą nadesłał, wydrukujemy i zorganizujemy wokół niej dyskusję, tak wydaje się ona symptomatyczna i tak niestety daleka od ducha tradycji narodowej i od tego, co stworzyła i jeszcze po dziś dzień tworzy kadra starszych pisarzy, ze Stanisławem Lemem na czele. Być może chodzi w tym, co sugeruje młody autor, o rodzaj „Sturm und...

dencje. Obserwujemy je wsz / dakcji w młodej prozie. Druku / częliśmy ją drukować z entuzj / tuż po interesujących zapowi / nadejdą dzieła wartościowe, / dojrzałe, nabrzmiałe treściami / dzieł, czy dziełek mało. Coraz / ła się wykruszać ta młoda ka / nadziei pokładaliśmy

Niech ten felieton mój stanie / niech spowoduje chwilę zadu / ców, czy młodych zbuntowan / ogrzewających się w czysto

Periode, że użyję starodawnego romantycznego określenia etapu młodzieżowych buntów. Młodzi po prostu pragną się starszym i tra- za wszelką cenę postawić sztorcem, robić ej, postulować inne rodzaje utworów niż pa-

tkich, półprzypadkowych czy przypadkowych odruchach, to jedynie zespół komicznych tików. Nic więcej, a nam zwolennikom fantastyki nie o tiki chodzi w polskiej literaturze, także science fiction.

zwłaszcza w niektórych utworach – nie tylko zieszłą polskich wyrażać cechy romantyzmu w jej jego nie tylko jednostkowej, lecz społecznej czy narodowej postaci. Krótko i po romantycznemu mówiąc – sztuka SF pragnie przemawiać „cier- nowały dotychczas. Za wszelką cenę!

Dian / tyczn / tow / dycji / inacz

romantyzmu na początku tego orbitowania

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

uje / , z / ry-

pięć za miliony", jej autorzy czują się, jak ich wielcy romantyczni poprzednicy, uprawnieni do wypowiadania się nie tylko w swoim imieniu i, co więcej, wierzą, że ta wypowiedź sformułowana

Jako receptę na nowość – eseista propor / więc całkowite zerwanie z literaturą normaln / wszelkim także psychologizowaniem, rozbal

Adam Hollanek

5/6
l, działy: techn., graf., literatury polskiej),
etariat, działy: zagr., krytyki, nauki).
ejski, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir
działu techn.), Dorota Malinowska, Wiktor Malski
lskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof
Toruń, Marek Zalejski
ga sobie prawo dokonywania skrótów
skiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91
58/72. Oddano do składu 25 listopada 1985 r.

Fantastyka
00-640 WARSZAWA, ul. Mokotowska
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretari
25-50-51 (z-ca red. nacz., sekr
Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bu
Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Kalata (fotoreporter), Maciej Makowski (koor. d
Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury p
Szolginia (p.o. sekr. red.), Anna Szubka, Anna Tabaczyńska (dział nauki), Dariusz J.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych. W publikowanych tekstach zastrze
Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakow
do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy i Propagandy, tel. 25-55-36
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa
Druk i oprawa: PZ Graf. RSW Łódź. Nakład 150000 egz.
NR INDEKSU 35839
PL ISSN 0209-1631

LĄDOWANIE XXXVI

No to wreszcze ... ...

...zaspokojenia, Paweł Krzywda, Żegadłowicza 18/27, 41-200 SOSNOWIEC.

Jestem zachwycona Waszą „Galerią”, a także ...

Komu, komu...

... oświetleniu. Jedyne czasopismo, na które czekam cały miesiąc. To świat marzeń, po którym człowiek ma inne spojrzenie na ten nasz świat. Poszukuję „Fantastyki” 1(16)84, 3(18)84, 2(29)85. Mogę oddać: 11(26)84 a także „Astronautów” Lema. Pozdrawiam Was i całuję **Izabela Szydłowska**, Bartoka 9 m 124, 92-548 ŁÓDŹ

Jestem stałym czytelnikiem. Podczas służby wojskowej umknęły mi numery „Fantastyki” z ...

... Poszukuję trzech „Fantastyk” 1/82, 2/5/83 oraz 8(23)84. Natomiast oferuję następujące numery 3/83, 7(10)83, 9(13)83, 10(14)83, 2(17)84, 4(19)84, 5(20)84, 7(22)84, 9(24)84, 12(27)84, 1(28)85, 3(30)85, 4(31)85, 5(32)85, 6(33)85, 7, 8, 9/85. Poszukuję także książek SF. **Aleksander Zygmunt**, Marchlewskiego 5/2, 20-... LUBLIN

Droga Redakcjo „Fantastyki”. Nigdy nie pisałam listów do redakcji. Jest to mój debiut w tym względzie, chociaż wiele razy miałam na to ochotę. Ostatnio jednak doprowadziłam się ... to ... ... Marzena Bochniak ... 26 ... w OSM w Radomiu, obecnie na urlopie macierzyńskim ... ... literaturę fantastyczną a „Fantastykę” w szczególności ... ostatnio ... wszystkie moje lektury ... stała czytelniczka, mam każdy numer waszego pisma, a nawet numer 3/82 ... do wymiany. Wymiany na książki SF ...

... wymiany, nie dlatego, że chomikowałem, lecz dlatego, że ostatnio udało mi się nabyć od znajomego **Bartłomiej Stańczyk**, Obozna 19/55, 22-400 ZAMOŚĆ

Szanowni Państwo. Już mi ręce drętwieją od pisania tej rubryki, ale nie zamykam jej całkowicie, zresztą to niemożliwe — nowe listy do rubryki „komu, komu” nadchodzą codziennie całymi seriami. Więc obiecuję zamieszczać rubrykę częściej. I jeszcze jedno. O tym, żebyśmy my mogli komuś załatwić prenumeratę nie mą mowy, a i egzemplarzy do wysyłki potrzebującym brakuje. Radźcie więc sobie jak możecie. Po to zamieszczamy Wasze listy.

Redaktor

... skrzydła kopciuszka”, a także „... Cthulhu”. **Marek Piotr Żółto...**, ...5a/15, 42-300 MYSZKÓW

... świata poszukuje pewnych numerów ... pisma, niestety, mam od ... Może uda się mi je zdobyć za ... dnictwem: 1/82, 2/82, 3/82, 1(4)83, ... 9(12)83, 10(13)83, 7(22)84 ... 4(7)83, 1(16)84, 4(19)84, 5(20)84, ...84, 11(26)84, 12(27)84, 1(28)85.

... z różnymi mniej lub bardziej kontrowersyjnymi liścikami od kochanych Czytelników. Zapraszam.

... pozycji do wymiany ... „Kroki w nieznane”, wszystkie numery „Fantastyki” ... Poszukuję „Fantastyki” nr 1/28 lut. samej (w niej zawartej drugiej części powieści Clarke'a „Miasto i gwiazdy”), ewentualnie jej odbitek ksero. Do wymiany oferuję „Fantastykę” 3/30, 9/36, 10/37 oraz niepełne (bez powieści) 5/20, 6/21, 7/22, 12/27. Z góry dziękuję **Piotr Dunin**, ul. ... 7, 81-624 GDYNIA WITOMINO

Piszę do Was po raz trzeci i mam nadzieję, że ... Poszukuję ... kowskiego „Obcietne planety”, Trepki „Rezerwat”, Hodgsona „Dom na granicy światów”, Strugackich „Koniec akcji Arka”, Minami „Na przed końcem świata”, Fiałkowskiego „Homo divisus”, Rouge'a „Więzień na Marsie”, Lema „Astronauci” i „Powrót z gwiazd” ... Czy nie można ... ... zamieszczać w środku pisma jak powieści czy komiksu? Dałoby się wtedy kompletować ilustracje różnych autorów. **Paweł Laudański**, ... Puszczy Kampinoskiej 38, 05-084 ... Stara

Poszukuję „Fantastyki”: z roku 1982 numery 1, 2, z roku 83 – 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, z roku 1984 ... 34. W zamian oferujemy „Fantastykę” nr 9, 13, 21, 24–25, 27 oraz powieści i opowiadania Prostaka „Planeta zielonych widm”, Krzepkowskiego „Kroks”, Zajdla „Ogon diabła”, Markowskiego ... „Jak bardzo chciał być człowiekiem”, Trepki „Końcówka”. **Ewa i Michał Kozłowscy**, ul. Sikorskiego 33/3, 88-100 INOWROCŁAW

Komu, komu...

Chętnie wymienię „Fantastyki” ... ... sa różne, uwidacznia się to chociby w „Lądowaniach”, chcąc zaspokajać wszystkich musicie drukować nawet poezje oraz nieszczęsne „pozotkte kartki” (...) Drukujecie tam rzeczy z fantastyką a już w szczególności z nauką nie mające nic wspólnego (...). Może zacznijcie drukować Mickiewicza, Słowackiego itp. Dosyć tych drwin, przecież to znamy ze szkoły (...) Ostatnio dobiliście mnie Jezierskim. Co to ma być, powtórka z literatury z zakresu szkoły średniej? Naprawdę wolałabym w to miejsce Platona (...) Notatki biograficzne o autorach są słabo czytelne. Prosiłabym o dokładne daty urodzenia i miejsce (chociażby kraj). Po prostu chciałabym wiedzieć, który autor jest z mego znaku zodiaku (...) Astrologia powraca do łask. Więcej nauki i SF zamiast polemik z wydawcami, oczywiście nie wymagam, abyście się stali drugimi „Problemami”. Brak czegoś pośredniego. „Młody Technik” za bardzo techniczny. Pozdrawiam całą redakcję dziękując za dobrą pracę. **Marzena Bochniak**, Grenadierów 9 m 82, 26-600 RADOM

Komu, komu...

Odstąpię kilka numerów „Fantastyki” **Małgorzata Zębik**, Kościuszki 19/42, 86-100 ŚWIECIE

Serdeczne pozdrowienia z Braunschweigu. Chciałbym, o ile to możliwe, nawiązać kontakt z osobami, które interesuje wymiana książek SF i komiksów w języku niemieckim a pragnąłbym otrzymywać książki w języku polskim. A może ktoś ma do odstąpienia numery „Fantastyki” od 8 do 12 z 1983 r. Za ewentualne spełnienie mojej prośby z góry dziękuję. **Wiesław Romantowski**, Nordstr. 26, 33000 BRAUNSCHWEIG RFN

Paweł Krzywda, Żegadłowicza ... możliwości nabywania nowości wydawniczych ani uczestniczenia w giełdach. Tylko droga korespondencyjna mogę powiększać swój księgozbiór. A mam wiele ... niała gratka. Na właściwym miejscu i we właściwym oświetleniu. Jedyne czasopismo ... pozycje białej serii fantastyki grozy ... **Marek Idziak**, Zagrody 19, 26-052 SITKÓWKA

Zwracam się do Was z prośbą o pomoc. Poszukuję „Fantastyki” nr 1–19, 23, 24, 31, 33 oraz „Retrogenetyki” Bułyczowa, „Limes inferior” Zajdla, „Kto zastąpi człowieka” Aldissa. W zamian oferuję Peteckiego „Wiatr od słońca”, „Strefy zerowe”, „Rubin przerywa milczenie”. Są ... 1984 r. 2, 8, 10. Proszę Czytelników o p... ... Na wymianę 82/3, 83/3–5, 84/12, 85/2–8. **Tomasz Grzegorczyk**, ...wskiego 10, 76-200 SŁUPSK

Komu, komu...

Posiadam do odstąpienia wszystkie ... numery miesięcznika „Fantasty...”. **Tomasz Paluszyński**, Gałczyńskiego 25 m ... TORUŃ

Nie mogę się zgodzić z wieloma gł... „Lądowania” o złej jakości pisma. ... Jedno mnie tylko drażni ... „Fantastykę” ... ... dyskusja czy dać komiks w środku zeszy... ... **Czesław Bednarczyk**, Wróblewskiego ... SIEMIANOWICE ŚL. – BYTKÓW

Mam do wymiany numery 2/5, 3/6, ... 11–12/14–15 z 1983 r. ... 3/18, 10/25, 11/26 z 1984 r. ... 2/29, 4/31, 5/32, 6/33, 7/34 z 1985 r. ... 3/20, 11/26 z 1984 r. oraz 2/29 z 1985 r. ... serii z kosmonautą Wnuk-Lipiński ... Klein ... Bogowie wojny, Dick ... Wysokiego Zamku, Oramus ... Strugaccy – „Przyjaciel z piekła” ... być bogiem”, Pelot – „Tranzyt”, Bayley ... zderzenie”, Zajdel – „Wyjście z cienia”, Bu... – „Dzikusy”. ... Lovecraft – ... ...wski, Nowolk...

Od początku ... merów Waszego ... dzenia pecha... Waszym posr... 5(8)83, 8(11)8... mian 3(6)83 ... 8(23)84, 10(2...

...nkursu na słuchowisko popularnonaukowe

...85 r. został rozstrzygnięty doroczny konkurs na słuchowisko popularnonaukowe, rozpi...gram IV Polskiego Radia. Na konkurs wpłynęło 126 prac. Jury, któremu przewodniczył ...gramu PR Marian Kruczkowski, stwierdziło wysoki poziom wielu słuchowisk i postanowiło przyznać:

... w wysokości 25 000 zł Romanowi Łopuszyńskiemu z Krakowa za pracę „Klinika chirur...”.

... w wysokości 20 000 zł Jerzemu Janowi Kolendo z Elbląga za pracę „Inkorporacja”.

... w wysokości 15 000 zł Stefanowi Ziółczowi z Warszawy za pracę „Encefaloskop ...”.

...enia po 7 000 zł Wojciechowi Lelkiemu z Warszawy za pracę „Godność i dobre imię”, ...bko-Polopowiczowi z Warszawy za pracę „Egzamin ze starożytności” oraz Władysła...owskiemu ze Szczecina za pracę „Niespodzianka”.

...torzy konkursu składają gratulacje autorom nagrodzonych i wyróżnionych prac, a wszyst...im konkursu dziękują za udział.

Wyniki ko...

5 listopada 19... sany przez Pr... dyrektor IV Pr... wiło jednogłoś...

● I nagrodę ... giczna dr Szm...

● II nagrodę ...

● III nagrodę ... ICB”

● trzy wyróż... Bolesławowi ... wowi Wojciec...

Organiza... kim uczestnik...

Oszaleć można! Artykuł zupełnie mi nie wychodzi! Otwieram na przykład w pierwszym lepszym miejscu „Woprosy psichołogii": „*Największa niezgodność między dwiema hipotezami jest określana przez przeciętną wartość i dyspersję sumy zmiennych przypadkowych, która jest równa sumie wartości średnich i dyspersji rozkładu, z którego są czerpane zmienne*". Dobre, co? Dyspresji sumy... która... z których...

Artykuł jest co prawda o niczym, ale jak brzmi!

– Skribas? – pyta Postrach Ośmiu Mórz w swoim wątpliwym esperanto. – Piszesz, mowic?

Stoi u wejścia do namiotu, trzyma patelnię, a słońce wesoło lśni na jego łysinie.

– Wejdź, dziadku – zapraszam. – Widzisz, idzie mi całkiem marbone. Jak po grudzie.

– Spróbuj trochę pomyśleć! – powiedział wściekły, mnąc i rzucając do kosza kolejny arkusz papieru z nieprawidłowym rozwiązaniem. – Nie można brać się za zadanie, nie przeczytawszy dokładnie warunków! Z czego ty się śmiejesz?!

– W okularach odbija ci się lampa – wyjaśniła Nastia. – W każdym szkle jedna lampa. I kiedy się złościsz, lampy błyskają, jakby się miały przepalić.

– Mamy dwa punkty – kamiennym głosem powiedział Gejm. – Punkt „A" i punkt „B". Rozumiesz? – położył ołówki po obu stronach podręcznika. Nastia przestała się śmiać. – Odległość między punktami wynosi osiem kilometrów. Dociera to do ciebie? Z punktu „A" wyszedł pieszy, idąc z prędkością pięć kilometrów na godzinę. W tym samym czasie i w tym samym kierunku z punktu „B" wyruszył autobus. Zauważ, że poruszają się w jedną stronę, to ważne!

Walentyna Żurawlewa

ŚNIEŻNY MOST nad PRZEPAŚCIĄ

(Snieżnyj most nad propastju)

– Zdarza się! – uspokaja mnie Postrach Ośmiu Mórz. Stawia patelnię na służącej za stół skrzynce i mamrocze: – Szi iris preter domo sia..., nie: domo de sia onklo. Ona szła koło domu swego wujka.

– Sia onklo. Swego wujka. Ćwiczę przyimek „preter". A tobie przyniosłem rostą fisz. Czyli pieczonego głowacza.

Jem głowacza, słucham gadania dziadka i przychodzi mi do głowy świetny pomysł. Co prawda moje próby pisania językiem naukowym różnią się nieco od esperanckich popisów Postracha Ośmiu Mórz, ale... A może by po prostu odpowiedzieć, w jaki sposób odkryto efekt AS? Niech redaktorzy sami wyrzucą, co zbędne, uściślą terminologię – słowem, zrobią to, za co im płacą. Najważniejsze są fakty.

– Li rigardis... rigardis... – Postrach Ośmiu Mórz smutno wzdycha. – Zapomniałem, rozumiesz. A niech to!... On patrzył – li rigardis. A gdzie on, kurza noga, rigardis? – zapomniałem. No dobra, ty sobie skribu, a ja pójdę przygotować sieci.

Początek tej historii ginie w pomroce dziejów. Rzecz zaczęła się w zaprzeszłych czasach, kiedy mieszkaliśmy w swoim Taganrogu i chodziliśmy do szóstej klasy. Od tamtej pory minęła już cała wieczność! Pięć lat... Tak, pięć i pół roku!

Byliśmy wtedy w szóstej klasie, kończył się trzeci okres, a Nastia miała dwóję z matematyki. I właśnie od tej dwójki wszystko się zaczęło.

Już od pierwszej klasy stosunki Nastii z matematyką były mocno napięte, ale teraz sytuacja stała się wręcz katastrofalna. My – czyli ja i Sasza Gejm – usiłowaliśmy Nastię z tych kłopotów wyciągnąć. Ja się z nią po prostu przyjaźniłam, a poza tym, jako starosta klasy musiałam coś z tymi jej dwójami zrobić. A Gejm już wtedy był cudownym matematycznym dzieckiem i zadania domowe rozgryzał jak pestki. Co prawda w pełni rozwinął skrzydła później, ale dla nas już wtedy był matematycznym geniuszem. Pracował z Nastią prawie w każdy wieczór, a ja mu pomagałam; beze mnie nie wytrzymałby nerwowo. Harowaliśmy jak konie, ale nic z tego nie wychodziło. A nad nami wisiało widmo klasówki z matematyki, która miała być w czwartek.

Tak więc zebraliśmy się przed klasówką u Nastii i zaczęliśmy rozwiązywać zadania. Tego wieczoru Gejm aż kipiał ze złości. Poprzedniego dnia dostał książkę matematyczną, czytał ją na lekcjach pod ławką i teraz marzył tylko o jednym: żeby się stąd urwać, pobiec do domu i czytać, czytać...

– A dokąd się wybierają? – zapytała Nastia.

– Tu! – ryknął Gejm i wskazał ręką na brzeg stołu. – Co ci zresztą za różnica: dokąd?! Najważniejsze, że poruszają się w jednym kierunku, a autobus w ciągu dwunastu minut dogoni pieszego. Trzeba obliczyć prędkość autobusu.

– Dobra – powiedziała Nastia. – Nie drzyj się. Obliczę.

I zaczęła rozwiązywać zadanie, popatrując na ołówki. Gejm siedział na parapecie i patrzył na zegarek.

– Uff – radośnie westchnęła Nastia – Popatrzcie, sto siedemnaście dzieli się bez reszty przez trzydzieści dziewięć! Czyli wszystko się zgadza! A bałam się, że się nie podzieli! Odpowiedź: trzy kilometry na godzinę!

– Trzy kilometry!! – Gejm zawył i podskoczył na parapecie. – Nastia, ty jesteś rzadka kretynka! Pieszy idzie z prędkością pięć kilometrów, autobus rusza po nim, dogania go, co znaczy, że porusza się szybciej niż pieszy! Zastanów się: w jaki sposób autobus dogoni idącego, jeżeli będzie się wlókł trzy kilometry na godzinę?!

W tym momencie musiałam wkroczyć, bo Nastia obraziła się za „rzadką kretynkę". Przekartkowałam podręcznik i znalazłam inne zadanie, łatwiejsze: o dziewiątej rano wyruszył ze stacji pociąg towarowy, w południe ekspres. Prędkości pociągów są znane, trzeba obliczyć, o której godzinie ekspres dogoni pociąg towarowy.

– Dobra, załóżmy, że nie jesteś kretynka – wielkodusznie zgodził się Gejm. – Nie upieram się. Ale myśleć logicznie to ty nie potrafisz. To uważam za pewnik! Nawet jeślibyś przeczytała książkę Puya „Matematyka i rozważania o melodzie"! Puy przedstawia ogólną teorię rozwiązywania zadań: rozwiązywać należy zawsze od końca!

– Ja zawsze rozwiązuję od końca – zauważyła Nastia. – Patrzę na odpowiedź i potem rozwiązuję...

– „Patrzę na odpowiedź!" Przecież ja mówię zupełnie o czymś innym! Rozwiązywać zadanie od końca to znaczy uświadomić sobie, czego właściwie szukamy! Na przykład w tym zadaniu trzeba obliczyć czas. Co to jest czas?

– Czas... no wiesz, czas... Czas płynie!

– Czas to odległość dzielona przez prędkość! Zrozumiano!? Prędkość znamy. W tym przypadku jest to różnica dwóch prędkości. A jeżeli poznamy odległość, zadanie będzie rozwiązane. Jasne?

– Nie! Nie potrafię od końca! Od odpowiedzi potrafię, a od końca – nie!

Gejm wyraźnie chciał się wyzłośliwiać, ale pokazałam mu pięść. Nastia długo wojowała z zadaniem, mnożyła i dzieliła jakieś sześciocyfrowe liczby... I w końcu zapoznała nas z wynikiem swoich wysiłków: ekspres dogoni pociąg towarowy o godzinie dziesiątej.

Oczywiście, nie byłam wtedy w stanie przewidzieć, co z tego wszystkiego wyniknie. Cieszyłam się tylko, że Nastka będzie miała na okres trójkę z matematyki. Dostała tę swoją trójkę. To było wspaniałe zwycięstwo i kontynuowałyśmy nasze wysiłki. Zmuszałam Nastię do wczuwania się w każde zadanie. Metoda działała pewnie, tylko wymagała wiele czasu: wcale nie jest łatwo wczuć się w obraz kołchozowego pola, które w trzech ósmych

– Popatrz, Kira, z nim jest coś niedobrze – powiedziała wystraszona Nastia, pokazując na Gejma. – Przyjrzyj mu się!

Nic dziwnego! Ekspres dogonił pociąg towarowy na dwie godziny wcześniej, niż sam wyruszył ze stacji! Żal mi było Gejma, rozumiałam jego cierpienia, ale tak czy inaczej trzeba było przygotować się do klasówki.

zasiano psze...
cze czymś ta...
Cóż było r...
karierę i nic...
matyki tylko...
No i posz...

...nicą, w dwóch dziewiątych kukurydzą, potem jesz-
...m, a w związku z tym należy obliczyć...
...ubić. Gejm rozpoczął już wtedy swoją olśniewającą
...miał chwili czasu, a ja mogłam uczyć Nastię mate-
... metodą Stanisławskiego...
...o – najpierw w szóstej klasie, potem w siódmej...
...otrzymała z każ-
... uwagi na kolor jej
... jak niebo w czasie
...ynych... Olbrzymie
...iej pojawiał się w
...dzi, przez ściany,
...” do punktu „B”, a
...a wciąż popycha-
...da!” i nie miałam
...mi się, że wszyst-
...zykład Igor Laubis
...czytała masę książ-
...aledwie wyobraź-

...peryment psycho-
...nia dziedzina wie-
...powiedzieć? – tak
...obraźni... Nikt nie
...ożliwości.
... rogiem, na Liebk-
...ężowy petak. I całe
... i pluje na kartkę z
...nauczył się trafiać
...go może doprowa-

...e pięć lat! Nawyo-
...pewno szczególny

...ni przeszłyśmy w
...równań kwadrato-
...dowolny problem.
... widziała jako po-
...złowieka o nazwis-
...: jedne cechy wy-
...ało, coś się bezpo-
.... Kąt był zupełnie

...wały nawet twory
...ręki. Wydawało mi
...boko wstrząśnięta,
...ej w każdym zada-

...n iks to taki malu-
...z, jak się nadyma
...wadratu, do sześ-
... malutki... I pysz-
...k i prawie nic nie
... – tłumaczyła dalej
...mować. Niech ten
...z! I popatrz, teraz
...iósł się do sześcia-

... do pierwszaków,
... jakoś zapełnić tę
...o ważny epizod w

...y – wyją, krzyczą,
...powiadać bajkę o
...ka cisza, że słyszę
..., cieszę się, bo nie
...wystraszyć. Nastia
...zie przez groźny,
...chś artystycznych
...as – i opowiada o

...Wymyśliłam Nastii jeszcze jedno zadanie.

– Z tym sobie na pewno poradzę – niepewnie powiedziała Nastia. – Nie denerwuj się, Sasza! Sam mówiłeś, że Einstein też łapał w szkole dwóje z matematyki! A ty się mnie czepiłeś. Rozumiem to zadanie, zaraz je rozwiążę! „Z kipiącego czajnika odlano dwie trzecie wody”. To znaczy, że w czajniku pozostała jedna trzecia. Widzisz, że wszystko rozumiem! „Uzupełniono czajnik wodą o temperaturze 20 stopni. Obliczyć temperaturę wody w naczyniu”. Więc w sumie są tu cztery pytania...

Gejm podszedł i zaczął się przyglądać, jak Nastia przystępuje do rozwiązania problemu temperatury wody w czajniku. Nastia napisała cztery pytania, wyprowadziła odpowiedź i westchnęła z ulgą. Gejm zzieleniał. Złapał swoją czapkę, trzasnął drzwiami i wyszedł. Nawet „do widzenia” nie powiedział!

Zmieszana Nastia mrugała oczami, z trudem powstrzymując łzy.

– Nie chciałam go obrazić! – powtarzała. – Kira, przecież nie chciałam go obrazić!! Dlaczego sobie poszedł!?

Miała jeszcze wątpliwości! A co mógł zrobić Gejm, jeżeli wedle wyliczeń Nastii woda w czajniku miała 240 stopni!?

Gejm sobie poszedł, ale ja musiałam zostać. Przy czym nie tylko nie znałam książki Puya „Matematyka i rozważania o metodzie”, ale w najmniejszej nawet mierze nie byłam matematycznym cudownym dzieckiem. Chodziłam do kółka teatralnego, rozmawialiśmy tam nie o matematyce, lecz o metodzie Stanisławskiego. W domu też rozmawiałam o Stanisławskim, bo moi rodzice oboje pracowali w teatrze. I dlatego postanowiłam uczyć Nastię matematyki wedle metody Stanisławskiego. Po prostu nie miałam innego wyjścia.

– Przestań wyć! – powiedziałam do niej surowo. – Przestań wyć i spróbuj wyobrazić sobie, co wydarzyło się w tym zadaniu! Tak, jakby to było kino! Albo teatr! Oto po drodze idzie pieszy. Wyobraź sobie tę drogę. Wyobraź sobie pieszego. Kto to jest, jak jest ubrany... I dokąd właściwie idzie. A do tego pada deszczyk, taki drobny, paskudny deszczyk, wyobrażasz sobie? I jasna sprawa, że pieszego to irytuje, że złości się sam na siebie, że nie chciało mu się zaczekać na autobus. I zastanawia się: autobus go dogoni czy nie?

– Nie! – przerwała Nastia. – On wie, że autobus go dogoni, tylko zastanawia się, kiedy? Myśli sobie: podniosę rękę i autobus się zatrzyma. A deszcz pada coraz bardziej...

Ucieszyłam się tysiąc razy bardziej, niż najmocniej przemoknięty pieszy na widok autobusu.

– Nastka, jedziemy! – zakomenderowałam. – Wczuj się w ten obraz! Wszystko ci wyjdzie!

I rzeczywiście – wyszło! Gryzła ołówek wyobrażający punkt „B” i patrzyła na mnie dziwnym wzrokiem. Patrzyła jakby przeze mnie, gdzieś bardzo daleko... I była tam droga, taka sobie zwykła, nie najlepsza droga, po której szedł pieszy – sympatyczny chłopak w kraciastej koszuli, i nasłuchiwał, czy nie jedzie autobus.

– Nic z tego – westchnęła Nastka. – Autobus go nie zabrał. Ochlapał wodą, oparskał śmierdzącym dymem i pojechał dalej. Z szybkością czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę.

I wcale nie patrzyła na odpowiedź! Sama znalazła te czterdzieści pięć kilometrów!

Wzięłyśmy się od razu za pociągi. Co prawda, z początku nam nie szło. Nastia ciągle myślała o pieszym, którego nie zabrał autobus, choć deszcz w tym zadaniu lał już jak z cebra, a schować się nie było gdzie. To wszystko przeszkadzało Nastii wczuć się w obraz pociągu towarowego, któremu jest bardzo przykro, że już już przegoni go rozgwizdany ekspres. Za to w obraz kipiącego czajnika Nastia wczuła się z miejsca. Wczuwając się nawet cichutko poparskiwała. I bardzo współczuła czajnikowi. Był nienowy, zakopcony, brudny i obrośnięty kamieniem...Rączka mu się oderwała i ktoś niedbale naprawił ją drutem... A przecież kiedyś czajnik wędrował z turystami w góry!

Tak właśnie się to wszystko zaczęło.

Nastia starała się, nawet schudła z tego, i tylko ... dym rokiem większe. Przedtem nie zwracałam ... oczu, a teraz nagle zauważyłam, że wyglądają ... burzy. Szare, a wydają się ciemniejsze od cza... ślepia koloru burzliwego nieba. I coraz częś... nich dziwny wyraz – oczy patrzyły przez ... gdzieś daleko, gdzie jadą pociągi z punktu „A... autobusy doganiają pieszych wędrowców. A ... łam Nastię: „No, wyobraź sobie, jak to wygl... zielonego pojęcia, jak się to skończy. Wydawał... ko jest w jak najlepszym porządku... Bo na pr... ma wspaniałą pamięć, a Nina Gusiewa prze... żek... I to im właśnie pomaga. A Nastia ma ... nie...

Nie rozumiałam wtedy, że rozpoczął się ek... logiczny. Zagadnienia pamięci to cała olbrzy... dzy. A nikt jeszcze nie podjął tak – jakby to ... bezczelnego doświadczenia z rozwijaniem wy... wiedział, że kryją się tu tak niewiarygodne m...

Mieszkaliśmy w zaułku Prezydialnym, a za... nechta, mieszkał taki chłopaczek, spasiony ... lato trenował plucie do celu. Siedzi na ławeczc... kółkami. Słabo się robiło! Przez trzy miesiące ... w dziesiątkę z odległości paru kroków. Do cze... dzić wytrwały trening!

A Nastia ćwiczyła nie trzy miesiące, ale ca... brażała sobie tysiące zadań. Przy tym miała na... talent w tym kierunku.

Od zadań z pieszymi, pociągami i miasta... bezludny świat sinusów, stożków ściętych i ... wych. Ale Nastia potrafiła wyobrazić sobie ... Nawet funkcje trygonometryczne kąta ostreg... wiązane ze sobą cechy charakteru pewnego c... ku O.Kąt. Ten człowiek zmieniał się w oczach... pierały drugie, coś tam bezgranicznie wzras... wrotnie gubiło... Sześćdziesięciostopniowy O... kimś innym niż O. Kąt dwudziestostopniowy...

Ale co tam O. Kąt! W wyobraźni Nastii oży... tak całkowicie pozbawione twarzy jak iksy i ig... się, że już nic mnie nie zdziwi, ale byłam gł... widząc jak Nastia traktuje iksy i igreki – dla n... niu były inne! Zamęczałam Nastię:

– Zobacz, masz tu równanie:

$$2x^2 - y = 2$$
$$x^3 - y = 1$$

i wytłumacz mi, co ty w nich widzisz?

– No jak to? – dziwiła się Nastia. – Przecież t... tki, szarutki maluszek z pierwszej klasy! Popat... – chce się wydawać starszy – podnosi się do ... cianu, podwaja – ale mimo wszystko dalej jes... czek ma umazany atramentem! Odejmij igre... zostanie. Ale przecież szkoda tego maluszka ... Nastia – i myślę, że lepiej mu niczego nie ode... paskudny igrek zabiera łapy i idzie sobie pre... dokładnie widać, jaki mały jest ten iksik! Podn... nu, a mimo to dalej równa się zeru...

Kiedy byłyśmy w ósmej klasie wysłano mni... bo zachorowała ich nauczycielka i trzeba był... godzinę. Wzięłam ze sobą Nastkę. To był bardz... dziejach odkrycia efektu AS.

Wyobraźcie sobie trzydziestkę pierwszaków... szumią, tupią... I nagle Nastia zaczyna im o... Czerwonym Kapturku. Po minucie panuje ta... skrzyp nowych pantofelków Nastii. I ja, idiotk... przyszło mi do głowy, że maluchy mogą się ... opowiadała o tym, jak Czerwony Kapturek i... mroczny las. Wcale nie próbuje osiągnąć jak... efektów: patrzy na nas – a właściwie przez n...

tym, co widzi. A widzi s t r a s z n y l a s, las pozbawiony kresu, otulony ponurą fioletową mgłą, która pochłania wszelkie dźwięki. Powykręcane szare pnie otaczają Czerwonego Kapturka, a nad ścieżynką unosi się duszny opar, lepkie białe kłęby. Wijące się wężowo gałęzie bezszelestnie zamykają się za dziewczynką, odcinają jej drogę powrotną...

Te wijące się wężowo gałęzie były ponad wytrzymałość dwóch siedzących w pierwszej ławce dziewuszek, które rozpaczliwie się rozpłakały. Ale Nastia nie zwróciła na to uwagi. A ja się speszyłam... Przecież Nastia mówiła bardzo ładnie i maluchy słuchały...

W tym momencie Nastia doszła do tego, jak Szary Wilk zjada Babcię. Wyobraźcie sobie, jak ten przeklęty wilk musiał się prezentować, jeżeli bez mrugnięcia okiem połknął babcię w całości! I Nastia przedstawiła tego drania jak należy. Malcy rozwyli się, przyleciała zastępczyni dyrektora i wszystko skupiło się na mnie.

Tego dnia zrozumiałam wreszcie, że z Nastią dzieje się coś dziwnego. Poszłam więc do biblioteki, wzięłam sobie podręcznik psychologii dla wyższych szkół pedagogicznych i przystąpiłam do lektury. Nie, oczywiście, nie wszystko było dla mnie zrozumiałe, ale dwie rzeczy wiedziałam już na pewno: po pierwsze – po szkole idę na psychologię. Po drugie – eksperyment należy kontynuować. W ósmej klasie Nastia miała same czwórki i piątki. To znaczy, że nadmiernie rozwinięta wyobraźnia nikomu nie szkodzi.

Wtedy myślałam w ten nieco naiwny sposób. Bardzo naiwny – jak ktoś ma dobre stopnie, to wszystko jest w porządku. Teraz dopiero rozumiem, że gdybym tego wieczoru przed klasówką nie wypuściła dżina z butelki, Nastia byłaby zupełnie innym człowiekiem. I moje losy potoczyłyby się całkiem inaczej...

sja egzaminacyjna" i „mat-fiz-chem" brzmiały mocno. Igor Laubis podszedł do tablicy, a Gejm zaczął mu dyktować zadanie: „Jeżeli odkręci się pierwszą, drugą i trzecią rurę, basen napełni się w ciągu dwunastu minut, jeżeli drugą, trzecią i czwartą – w piętnaście minut. A jeżeli odkręci się rurę pierwszą i czwartą – w dwadzieścia. Pytanie: ile czasu potrzeba na napełnienie basenu, jeżeli będą odkręcone wszystkie cztery rury?"

Obserwowałam Nastię. Patrzyła przez Gejma i oczywiście widziała ten zadaniowy basen. Prawdopodobnie widziała rury i krany, a może nawet ludzi, siedzących na brzegu basenu i czekających, kiedy wreszcie napełni się wodą. Igor zaczął wypisywać na tablicy równania, klasa podpowiadała mu, a tu nagle Nastia mówi: „To całkiem malutki basen! Po dziesięciu minutach będzie pełen". Gejm od razu się zjeżył i zaczął wypytywać, skąd Nastia zna odpowiedź.

– Basen – powiedziała Nastia. – Betonowe ścianki, schodki, dwie trampoliny. I rury. Takie czarne rury, na których białą farbą wypisano numery...

– Dlaczego czarne? – przerwał Laubis. – A może szare? Albo pomarańczowe?

– Czarne! Z wielkimi białymi numerami – powtórzyła Nastia. – Ja tak to widzę i nic ci do tego! Numer jeden, dwa, trzy... Płynie woda. Przez minutę wypełnią basen w jednej dwunastej. Rury

przecież o filmie, o teatrze, przez trzy lata chodziłam na kółko teatralne, aż mi wreszcie powiedziano: tak nie można! Musisz wybierać! Mieli rację. Opuszczałam próby, nie uczyłam się ról i ogóle teatr przestał mnie interesować. Czytałam tylko książki z psychologii, przebrnęłam nawet przez dwie prace Jean Piageta: „Problemy psychologii genetycznej" i „Równoważenie struktur poznawczych" i coraz mocniej byłam przekonana, że jestem na właściwej drodze. Widzicie, w psychologii nader silne jest to, co można by nazwać tendencją obserwacyjną. Patrzenie z boku. Nawet eksperymenty psychologiczne to też obserwacja, tyle, że w lekko zmienionych warunkach. Wyobraźcie sobie, że fizycy zadowalają się doświadczeniami w niewysokich temperaturach, ciśnieniach, prędkościach; gdzie byłaby dziś fizyka? Oczywiście, psychologia ma do czynienia z człowiekiem i dlatego powinna być ostrożna, ale mimo to należałoby przejść do badań nad możliwościami ludzkiego mózgu.

To zabawne. Było mi wtedy smutno, że nie mogę eksperymentować na sobie. Nie miałam nowych pomysłów. Pozostawała mi więc praca z Nastią.

Oświeciłam Nastię, że od tego momentu będzie królikiem doświadczalnym. Nastia uśmiechnęła się i popatrzyła na mnie – nie przeze mnie! – swoimi oczyskami koloru burzowego nieba.

Od tej pory zmuszałam Nastię do wczuwania się w obrazy ze wszystkich przedmiotów – z rosyjskiego, z fizyki i nawet z rysunku technicznego. Oczywiście nie wszystko szło gładko. Na przykład historia. Historia wymaga dokładności, to nie matematyka, gdzie można sobie wyobrazić pieszego wesołego albo – jeżeli wola – smutnego, można w myślach zatrzymać autobus albo kazać mu jechać dalej. Pewnego razu Nastia wyobraziła sobie, że Mienszykow, będąc już na zesłaniu, stoi przy oknie, na dworze pada deszcz, a Mienszykow ponuro i niedbale wodzi po podbródku zdezelowaną maszynką elektryczną marki „Charków". Maszynka elektryczna! W pierwszej połowie XVIII wieku! Ale Nastia przysięgała, że widzi ten obraz wyraźnie, a nawet słyszy monotonne huczenie maszynki.

Lepiej szło Nastii z matematyką, fizyką i chemią. Sądzę, że nie był to przypadek. Jeżeli ustawilibyśmy wszystkie dziedziny nauki i sztuki wedle ich ścisłości, to na jednym końcu szeregu byłaby historia – nauka dokumentalna, wykluczająca wyobraźnię, a na drugim poezja, która prawie całkowicie składa się z fantazji. Matematyka, fizyka, chemia – te nauki stałyby pośrodku szeregu. Nastia, na przykład, nie potrafiła pisać wierszy – jej potrzebne były dane wyjściowe – w a r u n k i z a d a n i a.

Za to matematyka szła nam wspaniale! W dziewiątej klasie przyznał to nawet Sasza Gejm.

A było to tak:

Pewnego dnia na dużej przerwie Sasza oznajmił, że ma zadanko z repertuaru komisji egzaminacyjnej na mat-fiz-chem. Basen z czterema rurami. Klasa naturalnie jęknęła: wszyscy mieli już po dziurki w nosie zadaniowych basenów, specjalnie budowanych do topienia nieszczęsnych abiturientów. Ale słowa „komi-

na". Roztargniony wzrok, błądzący gdzieś w przestrzeni, żadnych notatek, karteluszków...

Gejm był pierwszy, Nastia siódma i mimo wszystko wróciliśmy z tarczą.

– Nie dąsaj się! – uspokajał mnie Gejm. – Jak na Nastkę to całkiem nieźle! W dziesiątej klasie przyłoży się, będzie w pierwszej trójce. Choć, mówiąc szczerze, nie ma do tego iskry bożej!

Oczywiście, nie miał żadnych wątpliwości, że on tę iskrę posiada! Ach, ta prężność cudownych dzieci!

– Posłuchaj, Gejm – zaproponowałam. – Zawrzyjmy umowę: jeżeli w ciągu najbliższych pięciu lat Nastia cię przegoni, za[illegible]

kazałam Nastii napisać wypracowanie na temat „Piąta pora roku". Sama też w straszliwej męce wydusiłam z siebie trzy stroniczki (współczynnik fantazji 160). Analizę przeprowadziłam wedle najostrzejszych kryteriów, a mimo to wskaźnik fantazji wyniósł u Nastii 290 jednostek.

Naturalnie w przypadku Nastii skala Learmeckera traciła sens. To, co się u niej wykształciło, nie było fantazją w normalnym rozumieniu tego słowa. To była nowa jakość, która tak się miała do zwyczajnej wyobraźni, jak rachunek całkowy do arytmetyki.

Podczas lata wykonałam jeszcze jedną pracę: zestawiłam zbiór [illegible]

[illegible] ich struktury syntetyczne. Ani śladu prawdziwej [illegible]

Normalny! Przy pomniku Piotra stoją dwie stare armaty [illegible] dujesz i wystrzelisz. Jeżeli wygrasz ty, to my wykonamy sa[illegible] honorową z pięciu dział. Dwa przy pomniku Piotra, dwa przy [illegible] eum i jedno przy wejściu do stoczni remontowej. Raban [illegible] na cały Taganrog!

[illegible] A teraz wyraźnie widziałam drogi rozwijania u [illegible] zji. Zdawałam sobie sprawę z popełnionych dawniej błędów. Gdybym zaczynała swój eksperyment teraz, rezultaty byłyby widoczne już dużo wcześniej...

W dziesiątej klasie Nastia miała same piątki. Gejm odjechał do szkoły matematyczno-fizycznej do Nowosybirska i gwiazda Nastii bez przeszkód płonęła na szkolnym firmamencie.

[illegible] oparcia wtedy do niego dotarło. – Zawarliśmy umowę [illegible] pięć lat. – Widzicie, istnieje w psychologii pogląd, że talent do [illegible] e n i a s i ę matematyki wcale nie gwarantuje posiadania [illegible] o r c z y c h zdolności matematycznych! Na ten temat psycho[illegible] wie kłócą się już od pół wieku. A moja jeszcze dłużej. – A ja [illegible] m w stanie ten problem rozwiązać... Nastia traktowała mnie [illegible] sportowiec swego trenera, moje zdanie wiele dla niej znaczy[illegible]

[illegible] samie przekopałam się przez stosy książek i zadecydowa[illegible] że Nastia powinna pójść na matematykę.

[illegible] lecie od rana szłyśmy na molo. Port w Taganrogu jest [illegible] uży. Betonowe molo stanowi ulubione miejsce wędkarzy [illegible] mi dniami sterczą tam ze swoimi wędkami. A my siedziały[illegible] z książkami. Przez całe lato przedzierałam się w gąszczu najbar[illegible] zawiłych problemów psychologii – teorie procesów myślek[illegible] nych, epistemologię genetyczną, analizę czynnikową, mode[illegible] anie funkcjonalne... Nastia czytała [illegible]

Aha, prawda, trzeba jeszcze powiedzieć parę słów o [illegible] Słowa matematyczna plus oczy koloru burzowego nieba przyciągały ich jak magnes. Najpierw mnie to przerażało. Wyobrażałam sobie wszelkie możliwe okropności, na przykład Nastia wychodzi za mąż i nie będzie studiować na matematyce... Ale Bozia strzegła! Najwidoczniej geniusz nie lubi, żeby nawet najpiękniejsze oczy patrzyły przez niego, a ich właścicielka myślała o Bóg wie czym. Wśród kręgów zainteresowanych utarła się opinia, że Nastia to kujon i marzy tylko o złotym medalu.

Rzeczywiście Nastia dostała złoty medal. Ja z trudem załapałam się na list pochwalny – wszyscy myśleli, że Nastia mi pomaga i należało ratować honor firmy.

Medal – dobrze, ale wątpliwości miałam coraz więcej. Odkryłam nagle, że na froncie nauk ścisłych funkcjonuje koncepcja, która sama w sobie stanowi przeciwieństwo mojego eksperymentu. Mówi się bowiem, że współczesna nauka wkracza tam [illegible]

matyki i dla wprawy opowiadała mi po angielsku mrożące krew w żyłach opowieści o życiu osobistym różniczek i całek...

Coś z tego udało mi się zapisać i potem przeanalizować metodą Learmeckera. Rezultaty były wstrząsające: współczynnik fantazji przewyższał 250! A Learmecker mówi, że sam nigdy nie spotkał człowieka, którego współczynnik fantazji byłby większy od 160.

Opanowując technikę analizy czytałam fantastykę naukową, baśnie, mity... Tylko w dwóch przypadkach wskaźnik fantazji przewyższał 200, co – według Learmeckera – odpowiadało fantazji g e n i a l n e j.

Pod koniec lata przeprowadziłam swego rodzaju egzamin i

się od tego, co oczywiste, tym dalej zajdzie. I podpierano ten pogląd przekonującym[illegible]. Rzeczywiście, spróbujcie sobie wyobrazić foton, który raz zachowuje się jak cząsteczka, innym razem jak fala, jeszcze kiedy indziej demonstruje charakter falowo-korpuskularny i w dodatku nie ma masy spoczynkowej... Teoria względności, mechanika kwantowa, fizyka atomowa – każdy krok w przód był możliwy tylko dlatego, że odchodzono od tego, co oczywiste. Właśnie dlatego tak wzrosła rola matematyki.

Wygląda na to, że usiłuję płynąć pod prąd. Dla uspokojenia sumienia wymyśliłam teorię szpar. Mianowicie, iść do przodu

można nie tylko z pozycji matematycznej siły, ale i drogami okrężnymi – istnieją szpary, przez które wyobraźnia może się wyrwać daleko do przodu.

Pojechałyśmy do Moskwy i bez nadmiernego wysiłku dostałyśmy się: Nastia na mat-fiz-chem, a ja na psychologię. To był zabawny widok, kiedy po raz pierwszy pojawiłyśmy się na mat-fiz-chemie! Absolutnie nie obawiałam się o wynik egzaminu Nastii i dlatego pozwoliłyśmy sobie na żarty. Ubrałyśmy się skromnie, ale bardzo efektownie – i w tej dziedzinie psychologia mnie czegoś nauczyła! Do tego od kwietnia chodziłyśmy na molo i udało nam się cudownie opalić. Szerokie masy bladolicych abiturientów były wstrząśnięte do głębi!

– Drogie panienki! – zwrócił się do nas uprzejmie tykowaty chudzielec. – Czyżbyście postanowiły rzucić szkołę filmową?

– Ależ o czym ty mówisz, Borys?! – wtrącił się drugi intelektualista. – Po prostu nasze gwiazdy przyszły nam się trochę poprzyglądać. Tak między zdjęciami!

To była jedna banda. Ludzie z matematycznej szkoły Kostylewa. Rozumieli się w pół słowa, przerzucali subtelnymi aluzjami... Rozkosz słuchać! Podpuszczałyśmy ich cynicznie: „Opalenizna? Ach, to z Krymu, rozumiesz, mówią, że przed egzaminem najważniejsze jest świeże powietrze i dobre odżywianie..." Zabawiali się tak przez dwadzieścia minut. Za to trzeba było widzieć ich miny po egzaminie! Nastia sama doszła do wzoru Buniakowskiego.

– Świeże powietrze, co? – powiedział do mnie chudzielec. Sam ledwie ledwie wyciągnął na piątkę i miał jeszcze obłęd w oczach. – Świeże powietrze i dobre odżywianie? Artystki! Nie rzucajcie szkoły filmowej, pomyślcie o losach rodzimej kinematografii!

Zamieszkałyśmy u Lidii Nikołajewny, przyszywanej ciotki Nastii. Oddała nam do dyspozycji pomieszczenie o powierzchni około dwunastu metrów kwadratowych, z których co najmniej trzy zajmowały wszelkiego rodzaju kamienie, pożyteczne, półpożyteczne i całkiem niepotrzebne minerały i kopaliny, zbierane przez męża Lidii Nikołajewny, geologa, pracującego teraz w Indiach. Kamienie leżały na parapecie, na półkach, na podłodze... Otomana, która mi się dostała, opierała się na czterech blokach półprzezroczystego, podobnego do lodu fluorytu. Przez dwa dni walczyłyśmy z kurzem, który wżarł się w te kamienie i doprowadziłyśmy mineralne królestwo do pełnego blasku. Potem ułożyłyśmy kamienie na nowo, na stół postawiłyśmy druzę złocistego pirytu... Lidia Nikołajewna, pracująca w Instytucie Architektury, oznajmiła, że kamienie doskonale wpisały się w nasze wnętrze.

Oczywiście, nie byłoby głupio nieco zmniejszyć ilość kamieni, a powiększyć wnętrze... Nie chciałam jednak mieszkać w akademiku, ze względu na nasz eksperyment.

Wyprowadzenie wzoru Buniakowskiego (mój prywatny powód do dumy!) nie było jeszcze gwarancją, że Nastia będzie zdolna do samodzielnych odkryć. W ogóle sytuacja była raczej koszmarna: nie mogłam wymagać od Nastii, żeby dokonywała genialnych odkryć już na pierwszym roku studiów, ale z drugiej strony nie mogłam również czekać pięć czy dziesięć lat. Po prostu mnie to nie urządzało. W psychologii eksperymenty wymagają niekiedy tyle czasu, że trzeba by było przeżyć ze trzy życia...

Irytowało mnie to, ale nic nie mogłam poradzić. Nastia musiała wziąć się do roboty. Ja także. Wiele czasu pochłaniały przedmioty dodatkowe – sporządziłam indywidualne plany studiów dla nas obu na dwa lata. Do tego jeszcze dochodził sport – cztery razy w tygodniu chodziłyśmy na pływalnię. A w końcu Moskwa – jej teatry, sale koncertowe, zaułki i place, muzea i galerie obrazów, które koniecznie trzeba było zwiedzić...

Dużo chodziłam. Strasznie mi się podobało chodzenie po ulicach wielkiego miasta, patrzenie na przechodniów, na domy i wystawy sklepów... Pewnego dnia zeszłam do metra zagrzać się i na jadących w górę ruchomych schodach zobaczyłam grupę dzieciaków z wychowawczyniami. To były chyba dzieci z domu

dziecka. Trudno powiedzieć, dokąd mogły się wybrać w taki mróz. Maluchy były ubrane w jednakowe paletka, czapeczki i rękawiczki. „Dwadzieścia sześć sztuk – powiedział ktoś za moimi plecami. – Dwie drużyny piłkarskie z rezerwowymi. Rosną następcy!" „Rzeczywiście! – odezwał się ironicznie drugi głos. – Teraz mają równe szanse. Potem jeden zostanie kapitanem, a drugi całe życie będzie siedział na ławce rezerwowych". Chciałam się obejrzeć i nagle, w mgnieniu oka, w ułamku sekundy, którego nie potrafiłam uchwycić, zaświtała mi myśl, na którą czekałam przez te wszystkie lata. Zobaczyłam panoramę, szeroki plan, gdzie eksperyment z Nastią był tylko jednym z epizodów.

Pociąg odjechał, peron na chwilę opustoszał, a ja stałam, patrzyłam na szyny i serce biło mi tak, jakbym dobiegła dokądś ostatkiem sił.

Od tego dnia zaczęłam przygotowywać się do nowego eksperymentu. Czas... Ciągle mi go brakowało. Pierwszy rok w Moskwie zleciał jak z bicza trzasnął.

Latem, zaraz po sesji, upchałam Nastię jako laborantkę w Instytucie Cybernetyki Technicznej. Miałam nadzieję, że będzie tam mogła zademonstrować swoje zdolności. Zademonstrowała, to fakt! Ale nie wszystko ułożyło się tak, jak to sobie zaplanowałam.

Pierwszego dnia Nastia wróciła z pracy zachwycona. Nieuważnie przełknęła uroczysty obiad, który przygotowałam pod światłym kierownictwem Lidii Nikołajewny, i przez cały wieczór zapoznawała nas z problemami laboratorium bioniki. Grupa, w której pracowała, zajmowała się rozpoznawaniem obrazów. W ogólnych zarysach zagadnienie to było mi nieobce, bo w pewnym stopniu związane jest z psychologią.

Weźmy jakąś literę, na przykład „a". Można ją napisać na wiele sposobów: ręcznie, na maszynie, cienko, grubo, przeróżnymi charakterami pisma, ale człowiek zawsze łatwo pozna, o jaką literę chodzi. Można to „a" pochylić na bok, przekręcić, ozdobić jakimś wymyślnym zawijasem – mimo to patrzący zawsze rozpozna i odczyta „a". Nasz mózg potrafi odnaleźć główne cechy charakterystyczne dla wszystkich wyobrażeń danego obiektu, a odrzucić nieistotne szczegóły. To znaczy, że istnieją jakieś sposoby, dzięki którym mózg rozpoznaje obrazy. A więc żeby maszyna posiadła tę umiejętność (bez czego nie może ona ani czytać, ani widzieć), trzeba znaleźć te sposoby, nauczyć się je modelować. To jedno z głównych zadań bioniki. A w laboratorium Nastii prowadzono doświadczenia z perceptronem – maszyną elektroniczną skonstruowaną dla rozpoznawania obrazów. Przedstawiono perceptronowi setki map i maszyna bezbłędnie wyszukiwała spośród nich dwie identyczne.

Nastia przekonywała nas, że perceptron to ósmy cud świata.

– Mając taki perceptron – mówiła – utrzemy nosa samemu Rosenblattowi, twórcy perceptroniki.

Nagle zamilkła i zaczęła wpatrywać się w stertę kamieni, leżącą w kącie pokoju.

Najpierw sądziłam, że Nastia wyobraża sobie, jak będzie wyglądała procedura ucierania nosa Rosenblattowi i jak on ten wstrząs przeżyje. Ale patrząc w jej oczy (które barwiły się jak burzowe niebo) zrozumiałam, że sprawa jest poważna.

Nastia miała pomysł.

Rozumiecie, nastąpił moment, na który czekałam tyle lat! Chciałam rzucić się Nastii na szyję, ale ze względów psychologicznych powstrzymałam się od wybuchów entuzjazmu. Trzeba było wszystko dokładnie przemyśleć.

A koncepcja była rzeczywiście ciekawa.

Pokaże się perceptronowi wiele fotografii jednej osoby, niech maszyna wyszuka najbardziej charakterystyczne cechy i stworzy z nich portret syntetyczny. Najlepszy bowiem fotografik nie jest w stanie stworzyć uogólnionego wizerunku człowieka. Synteza jest możliwa tylko w sztuce. Ale z kolei malarstwo – w odróżnieniu od fotografii – nie ma waloru dokumentalnego. Jeżeli koncepcja Nastii okaże się słuszna, perceptron będzie w stanie połączyć dokładność fotografii z uogólnieniem, cechującym malarstwo. I wtedy wystarczy zrobić tylko jeden krok, aby stworzyć nowy, syntetyczny rodzaj sztuki – fotmal.

Siedziałyśmy całą noc, roztrząsając to zagadnienie. Nie potrafiłyśmy przewidzieć, co z tego wyniknie... To moja wina. Należało zastanowić się nad wszystkimi możliwymi konsekwencjami.

Rano, odprowadziwszy Nastię, poszłam do czytelni. Nie mogłam się tego dnia skupić – moje myśli wciąż krążyły wokół Na-

...łam sobie nawet wyobrazić,

jak ucieramy nosa Rosenblattowi. A

kiedy wróciłam do domu, zastałam rozbeczaną Nastię. Na łóż-

ku leżała walizka i Nastia, połykając łzy, pakowała do niej swo-

je rzeczy.

Minęło trochę czasu, zanim udało mi się z niej wydobyć, co się właściwie stało.

Tak więc rano Nastia przedstawi-

ła naszą koncepcję swemu bezpośredniemu zwierzchnikowi, programiście Juroczce. Nazywała go przy tym „szefem" i patrzyła na niego oczami koloru burzowego nieba. Patrzyła jak w obraz i oczywiście Juroczka tego nie wytrzymał. Wymamrotał „szalony pomysł!" i pognał do szefa grupy, brodatego Wowy. Ten najpierw marszczył brwi i parskał, ale Juroczka przedstawił mu propozycję nie do odrzucenia. Przy-

Walentyna ŻURAWLEWA

Urodziła się w 1933 r. Ukończyła studia medyczne. Mieszka w Baku. Należy do Związku Pisarzy ZSRR. Jest autorką licznych opowiadań fantastyczno-naukowych publikowanych w czasopismach, antologiach i almanachach. Opowiadanie „Śnieżny most nad przepaścią" zostało opublikowane w almanachu „Mir prikluczenij" w 1969 r.

(S.K.)

pomniał mianowicie, że w związku z jubileuszem PP. Pychtina, profesora wydziału ekonomicznego, stosowna komisja przygotowuje album pamiątkowy: zebrali około setki zdjęć, po prostu wymarzony materiał dla perceptronu. I laboratorium bioniki, które wiele razy karcono za chłodny stosunek do tego całego jubileuszowego zamieszania, może w ten sposób wnieść swój wkład, ozdabiając album pierwszym w świecie portretem fotmalowym. Wowa podrapał się w brodę i wyraził zgodę. Zaczęło ustalać szczegóły. Okazało się, że przy okazji uda się wyjaśnić niektóre sporne problemy, znajdujące się w niedawno opublikowanym artykule bioników kijowskich z grupy Słogina.

„Tak się entuzjazmowali... – mówiła Nastia. – Nie można było ich powstrzymać..." Ale oczywiście nie zamierzała ich powstrzymywać.

Przygotowanie doświadczenia trwało trzy godziny. Trzeba było wyregulować głowicę fotograficzną. Potem przez osiem minut maszyna oglądała album. Dwadzieścia minut zajęło opracowanie otrzymanego portretu fotmalowego. W rezultacie skończyli pracę już przed przerwą obiadową. Zadziałały nieznane kanały informacji i wokół perceptronu zebrała się kupa narodu ze wszystkich pokojów i pracowni. Hałaśliwie witali pojawienie się pierwszego fotmalu. Portret wyszedł bardzo wyraźny. Co prawda Pychtin wyglądał na nim jakby nieco dziwnie, ale był nadzwyczaj wręcz podobny. Udzielając wyjaśnień Juroczka podkreślał, że wykorzystano pomysł nowego pracownika laboratorium. Pomysł bardzo się wszystkim podobał. Nowy pracownik – też...

Przybył też Paweł Pawłowicz Pychtin. Obejrzał portret i stwierdził: „Hmmm! Interesujące..."

Powiększone zdjęcie powieszono w holu razem z zawiadomieniem o uroczystościach jubileuszowych. I od tego się wszystko zaczęło. Czy to oświetlenie w holu było inne, czy też była to wina powiększenia? – w każdym razie coś się nagle zmieniło... Nastia uważa, że zadziałał tu czynnik czasu: w fotmal trzeba się starannie wpatrzeć...

Tak czy inaczej wszyscy szybko zauważyli, że P.P. Pychtin wygląda na portrecie inaczej niż zazwyczaj. Nie miał, na przykład, modnych okularów. Wydawało się, że one tylko odmładzają P.P. Pychtina... Ale wraz z okularami zniknęła gdzieś inteligencja. Coś się zmieniło w wyrazie oczu i malutkich, zaciśniętych ust. Perceptron zrobił to, co udaje się tylko najbardziej utalentowanym portrecistom. Pominął wszystko, co było w P.P. Pychtinie z e w n ę t r z n e. Zmiany były prawie niezauważalne. Ale z fotmalu patrzył p r a w d z i w y Pychtin – człowiek niezbyt mądry, lecz starający się wyglądać mądrze i poważnie. „Był bez maski – powiedziała Nastia. – Prawdopodobnie taki bywa tylko sam ze sobą..."

W holu zapanowało niezręczne milczenie. Potem wszyscy rozeszli się do swoich pokojów. Inżynier Filipiew, zwykle spokojny i małomówny, długo i nerwowo tłumaczył, że sami są sobie winni: trzeba było znaleźć inny obiekt! Kariera P.P. Pychtina zaczęła się od pewnego artykułu, w którym pryncypialnie demaskował zwolenników burżuazyjnej pseudonauki, cybernetyki. Filipiew przypomniał i inne epizody z naukowej działalności jubilata, a potem przepowiedział, że Pychtinowi nie wystarczy poczucia humoru, żeby całą tę historię potraktować z przymrużeniem oka. Przepowiednia sprawdziła się prawie natychmiast: zabrzmiał dzwonek telefonu.

Brodaty Wowa i Juroczka heroicznie przyjęli na siebie pierwsze uderzenie, a Nastię wysłali w delegację. Posunięcie było prawie genialne: jubilat mógł sądzić, że laboratorium bioniki i Nastia zostali słusznie ukarani; laboratorium i Nastia mieli prawo uważać, że o żadnej karze mowy być nie może – Nastię wysłano w cudowne okolice, na czarnomorskie wybrzeże Kaukazu. Pod całą tę aferę rozpito w laboratorium balon soku pomidorowego. Brodaty Wowa w imieniu kolektywu wyraził przekonanie, że nową laborantkę czeka olśniewająca kariera, bo narobić takiego zamieszania już w drugim dniu pracy – tego nie potrafi byle kto!

– No to o co chodzi? – zapytałam. – Wygląda na to, że wszystko się świetnie ułożyło?

Nastia pochlipując pokręciła głową:

– Mam jechać do bazy zajmującej się badaniem delfinów, a tam nie ma ani bazy, ani delfinów... Zaczną wszystko budować dopiero we wrześniu. A w laboratorium ciekawiej...

Następnego dnia poszłam do Instytutu. Pogadałam z brodatym Wową. Wysłuchałam Juroczki, który zaklinał się na wszystkie świętości, że będzie kontynuował badania nad fotmalem. Poszłam też do szefostwa. Ale już nic nie można było zmienić – dyrektor wyjechał na urlop. Załatwiłam tylko tyle, że i mnie zatrudnili jako laborantkę i wysłali na Kaukaz.

– Delfinów rzeczywiście jeszcze tam nie ma – powiedział brodaty Wowa, oglądając w zadumie moje podanie. – Jak na razie zażywają wywczasu w morzu. Ale przy wspaniałych zdolnościach Anastazji Sergiejewny można wierzyć, że bez żadnego trudu rozwiążecie paradoks Greya nawet i bez tych sympatycznych waleni.

Zapytałam, co to jest, ten paradoks Greya. Wowa westchnął, spojrzał jeszcze raz na moje podanie i niepewnie zaproponował, żeby rozmowy o paradoksie Greya przenieść na teren pozasłużbowy. Grzecznie odrzuciłam tę uprzejmą propozycję.

– Wydaje mi się, że gdzieś coś o tym słyszałam – powiedziałam, ale było to obrzydliwe łgarstwo. Nigdzie nic o tym nie słyszałam – nie miałam okazji. – Myślę, że ma pan rację: paradoks Greya można wytłumaczyć i bez delfinów. Zajmiemy się tym!

– No, no... – wymamrotał Wowa, frasobliwie drapiąc się w brodę. Moja bezczelność wyraźnie go speszyła. – Zajmijcie się! Koniecznie! Ludzkość czeka!

Po dwóch dniach byłyśmy w Adlerze.

Z przygnębiających deszczów moskiewskich trafiłyśmy pod promienie oślepiającego słońca. Nad betonowymi płytami lotniska drgało upalne powietrze. Pomyślałam sobie, że zsyłka zapowiada się wcale nie najgorzej.

Po czterdziestu minutach trafiłyśmy do delfiniej bazy. Tu mój entuzjazm jakby nieco osłabł. Miejsce, co prawda, rzeczywiście było cudowne: urwisty brzeg, w dole złocista plaża, błękitne morze i delikatny szum przyboju. Czterysta metrów piękna w pierwszym gatunku. I na tych czterystu metrach stoją brudne, niechlujne magazyny, leżą kupy cegieł i worki z cementem, a na samym froncie wznosi się dumnie stróżówka w czystym doplotowskim stylu – nieokreślonego kształtu, nieokreślonego koloru i zbudowana z nieokreślonego materiału. Wokół stróżówki rozpięto pajęczynę sieci. Między sieciami, wesoło popiskując, uganiało się kosmate, rude psisko.

– Psi geniusz – powiedziała Nastia. – Od razu wyczuł w nas współpracowników Instytutu Cybernetyki Technicznej.

Zeszłyśmy z urwiska i prowadzone przez psiego geniusza przedarłyśmy się przez labirynt sieci do stróżówki. Przy wejściu, na polowym łóżku, spał malutki, łysy staruszek. Na jego piersi spoczywała książka w poszarpanej szarej okładce. Pies cicho szczeknął, staruszek otworzył oczy i usiadł na łóżku. Książka upadła. Schyliłam się, żeby ją podnieść – to były „Podstawy esperanto"...

– Mi estas gardisto – powiedział dziarsko staruszek. – Jestem stróżem. A wy? Kio wy estas?

W ciągu dziesięciu minut sytuacja się wyjaśniła.

Baza rzeczywiście istniała tylko w projektach. Na razie był teren, na który zwożono wszelkie materiały budowlane i coś tam z wyposażenia naukowego. Słowo „teren" stróż mówił w esperanto i brzmiało to niezwykle dostojnie – „teritorio". Od południa teritorio graniczył z potężną i kwitnącą bazą Instytutu Hydrologii, a od północy kończył się stromym urwiskiem. Budynków mieszkalnych, poza doplotowską chałupiną, na teritorio nie było. A zatroszczyć się o nas powinien, wedle słów uczonego stróża, kamarado Torżewski, władający teritorio i materiałami.

– Kamarado Torżewski... on... li estas saĝa homo – wyjaśniał stróż. – Dorzeczny facet, mówię.

– Co jest? – zapytałam. – W esperanto wszystkie rzeczowniki kończą się na „o"?

– Wszystkie! – potwierdził radośnie edukowany stróż i wskazał ręką na psa. – Hundo! A nazywam go Trezoro. Znaczy „skarb".

Stróż-esperantysta, Grigorij Siemionowicz Szemet, okazał się osobnikiem niezwykle interesującym. Z zawodu był zegarmistrzem i przeżył pół wieku w Nowogrodzie, prawie nigdy z niego nie wyjeżdżając. Życie toczyło się spokojnie i bez niespodzianek, jak dobrze wyregulowany zegarek. I nagle, zupełnie nieoczekiwanie dla swojej licznej rodziny, Grigorij Siemionowicz zbiegł do Archangielska i zaciągnął się na kuter rybacki, bo poczuł nagle nieodpartą chęć odetchnięcia świeżym powietrzem, tęsknotę do przygód i morza, do niespokojnego, prawie korsarskiego życia. Uciekiniera zlokalizowano i sprowadzono do rodzinnych pieleszy. Ale zwiał znowu – tym razem na Morze Ochockie. Rodzina musiała się z tym pogodzić. Każdej wiosny puszczali staruszka w drogę. Przewędrował kraj „lawlonge i lawlarĝe" (to znaczy wzdłuż i wszerz), z powodzeniem łowił ryby na głębinach ośmiu mórz, a teraz zbierał pieniądze na wycieczkę dookoła Europy.

Dziadek był krzepki i dziarski jak rzadko. Opowiadając szybciutko sprzątnął polowe łóżko i podjął nas herbatą. W chałupce było bardzo czysto, ciepło, nie heblowane deski pachniały żywicą. Nie wiem, jak Grigorij Siemionowicz mógł wysiedzieć w pracowni zegarmistrzowskiej, nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– A co ma do tego esperanto? – zapytała Nastia.

Staruszek klasnął w dłonie.

Wojtek Siudmak

na ogólne życzenie naszych Czytelników po raz drugi

o tak mało dajecie w
szego Siudmaka? To
niezwykły artysta.
AŃSKI z Warszawy

mysł „Galerii" tylko
ły się sprawdza, gdy

Dlaczeg
numerach na

JAN WO

Znakomity po
wte



mistrzostwo Siudmaka potyka się tu o chropowaty, zamazujący, chłonny jak gąbka papier. Ale nawet wówczas nie zatraca swych podstawowych wartości. Prezentowaliśmy w naszej „Galerii" utwory różnych artystów – mniejszych i większych. To co ma w fantastyce do zaproponowania Wojtek Siudmak wydaje mi się znacznie ciekawsze i wartościowsze od rzeczy artystów-fantastów o dużej sławie, takich jak np. Vallejo czy Thole. Czekamy na dalsze Wasze opinie, zapowiadając objazdową wystawę plakatu Siudmaka w naszym kraju. My ze swej strony pragnęlibyśmy eksponować (na wystawach) jego najnowsze prace w oryginale, a także okładki książkowe. Może uda się i taką wystawę urządzić.

Adam Hollanek

– W tej Europie, mówię ci, to cała masa różnych narodów. Nie mogę się przecież uczyć wszystkich języków! Nie wyrobię się do wyjazdu! A do tego, moje drogie beluliny, czyli pięknotki – esperanto to język dźwięczny, popularny, zgrabny... Przeczytam wam na przykład „Żagiel" w przekładzie na esperanto.

Wiersz poety Lermontowa nie został nam jednak odczytany, bo właśnie przybył kamarado Torżewski. Przybył nową błękitną „Wołgą", za którą sunęła karawana złożona z trzech ciężarówek, załadowanych cegłą.

Kamarado Torżewski był wspaniały. Wydawało się, że zszedł właśnie z plakatu „Do kurortu przyjechałem, bo pieniążki oszczędzałem!" Przy czym stróż-esperantysta miał rację – Torżewski był człowiekiem mądrym i dzielnym.

– Z was swoje chłopaki – powiedział. – Nie patrzcie tak na mój nowy garnitur i nową „Wołgę". To po prostu ekwipunek współczesnego zaopatrzeniowca. Bo kto mi da eternit i cegłę, jak przyjdę w pomiętej koszuli? A że macie mi pomagać, to patrzcie i uczcie się! Kontakt z braćmi-delfinami zależy póki co od nas, zaopatrzeniowców. Nie będzie bazy, nie będzie kontaktu!

Dałyśmy Torżewskiemu słowo, że będziemy się przykładać ze wszystkich sił, żeby przyspieszyć kontakt z braćmi-delfinami.

– To dobrze! – zaaprobował nasze stanowisko Torżewski. – Bracia-delfiny się ucieszą. A na razie przyłóżcie się do rozładowania cegły. Ta banda, która mówi o sobie „ładowacze" rzuca cegłę tak, jakby to było złoto. A cegły nie złoto, tłuką się. Taa... A potem pójdziemy zorganizować namiot i śpiwory.

I tak zaczęło się nasze życie na zesłaniu.

Pracy było dużo. Odbierałyśmy wagony z wyposażeniem, zdobywałyśmy transport, kierowały rozładunkiem i same rozładowywały... Torżewski przerzucił na nas brutalną prozę zaopatrzenia, sobie pozostawiając najczystszą zaopatrzeniową lirykę. Często wyjeżdżał, gdzieś tam prowadził dyplomatyczne rozmówki, na skutek których nasze magazyny zapełniały się fińską glazurą, tranzystorowymi klimatyzatorami i supernowoczesnymi regałami dla nie istniejącej na razie biblioteki.

O paradoksie Greya przypomniałam sobie dopiero po tygodniu.

– O Boże, jeszcze i to! – powiedziała z obrzydzeniem Nastia. W owej chwili stała przed lustrem i oglądała w skupieniu koniec swojego nosa. – Jak sądzisz, zejdzie mi skóra? Koniecznie musimy zorganizować jakiś krem. – Przedtem powiedziałaby „kupić"... – A z paradoksu Greya nic nie będzie. Nie masz nawet pojęcia, czym to się je...

I tu nie miała racji: po rozmowie z brodatym Wową pognałam od razu do biblioteki i coś tam zdążyłam przekartkować. Prace Kramera, Perszina, Alejewa, zbiór artykułów o powłokach amortyzujących...

Nieprzystawalność prędkości delfinów do ich muskulatury – o to właśnie chodzi w paradoksie Greya. Delfiny rozwijają prędkość do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ich mięśnie powinny być dziesięć razy silniejsze, niż są w rzeczywistości.

Przez pewien czas sądzono, że Kramerowi udało się rozwiązać tę zagadkę. Twardy kadłub statku woda opływa gładko tylko przy niewielkich prędkościach. Wraz ze wzrostem prędkości prąd wody rwie się, tworzy wiry i opór gwałtownie wzrasta. A więc Kramer założył, że skóra delfinów ugina się i jakby przystosowuje do prądu wody, zapobiegając powstawaniu wirów. Wypróbowano sprężyste osłony amortyzujące: w pewnym stopniu rzeczywiście zapobiegały powstawaniu wirów. Ale paradoks Greya dalej był nie rozwiązany – amortyzacja wyjaśniła go tylko częściowo. Muszą istnieć jeszcze inne, bardziej efektywne sposoby walki z powstawaniem wirów.

– Zastanów się, o czym ty mówisz! – oburzyła się Nastia. – Jak można marzyć o paradoksie Greya, jeżeli nie mamy ani potrzebnych do doświadczeń przyrządów, ani samych delfinów?

Sprzeciwiłam się:

– I tu jest pies pogrzebany! Wyobraź sobie, jak by to było fajnie rozwiązać zagadkę delfinów, nie mając ani jednego delfina!

Długo ją przekonywałam. To był pierwszy przypadek, kiedy Nastia nie chciała nawet próbować rozwiązać problemu. Według niej całe to zamieszanie było niepoważne: nie można przecież brać się do badań nad delfinami, jeżeli nie ma się nawet najmarniejszego delfina... Przekonałam ją właściwie przypadkiem.

– Pomyśl logicznie – zażądałam. Jak człowiekowi brak argumentów, to zawsze najlepiej jest powoływać się na logikę, chociaż na ogół logika nie ma nic do tego. – Pomyśl logicznie. Przecież inni badacze mieli delfiny, a nic z tego nie wyszło! A ty nie masz delfinów! Wynika z tego, że ci wyjdzie!

– No wiesz! – zaperzyła się Nastia. – To jest już skrajny idiotyzm!

Nagle zamilkła i odwróciła się do mnie. Patrzyła na mnie oczami koloru burzowego nieba i zrozumiałam, że coś z tego będzie.

– Uważasz, że badania nad delfinami należy prowadzić bez delfinów? – zapytała zupełnie innym tonem.

I co ja mogłam powiedzieć?! Czułam, że mówię od rzeczy, ale mimo to powtórzyłam:

– Jeżeli podejść do tego logicznie, to wszystkiemu winne są delfiny. Inni badacze mieli delfiny, a paradoks dalej jest nie rozwiązany. Ty delfinów nie masz, więc wynika z tego, że poradzisz sobie z paradoksem.

– Tak, naturalnie... – wymamrotała Nastia, patrząc przeze mnie.

Po pół godzinie zapytała:

– Co jest z rurami? Dzisiaj je przywiozą. Trzeba odebrać ze stacji. Musimy zorganizować samochody i dźwig.

Powiedziałam, że dam sobie radę sama. Niech spokojnie pracuje nad delfinami. To jest nie nad delfinami, lecz nad ich nieobecnością. Nie nad taką nieobecnością, która jest zwykłą nieobecnością, ale nad taką, z której można się więcej dowiedzieć, niż z obecności... To były kompletne brednie... Na wszelki wypadek odwołałam się do magicznego słowa „logika".

Zresztą Nastia nie słuchała, co do niej mówię. Odpowiedziała mi roztargnionym „aha!" i poszła nad morze.

Cały dzień miotałam się jak wściekła z tymi rurami. A Nastia leżała na plaży i patrzyła w morze. Przyniosłam jej kefir i ciastka, nie miałam głowy do zajmowania się obiadem.

W ogóle od tego dnia przyszło mi harować za dwie. Nie mogłam rozpraszać Nastii. Niech myśli! Jednego tylko nie rozumiałam: co też ona może sobie w tym przypadku wyobrażać? No tak. Morze... w nim delfiny... Co dalej? Pewnej nocy to mi się nawet przyśniło: delfiny smętnie się uśmiechały i mówiły: „Nie trzeba tak na nas patrzeć!" Mówiły zresztą głosem Torżewskiego.

Nastia myślała dwa dni. Trzeciego dnia wręczyła mi spis książek, które uznała za niezbędne. Ten spis też niczego mi nie wyjaśnił. Wszystkie książki odnosiły się do teorii katalizy. Naturalnie katalizatory przyspieszają przebieg reakcji chemicznych, ale w jaki sposób mogą zwiększać prędkość delfinów? Cóż było robić: pojechałam do Soczi i zdobyłam książki.

Potem Nastia wręczyła mi jeszcze jeden spis: chemikalia, szkło laboratoryjne, urządzenia do analizy chromograficznej. To było łatwiejsze – poszłam do sąsiadów-hydrologów i wyżebrałam, co trzeba. Postawiłyśmy drugi namiot i teraz Nastia miała swoje laboratorium.

– Jeżeli będziesz już na etapie delfinów – powiedziałam – to uprzedź! Trzeba będzie przygotować jakąś łajbę.

– Delfiny? – zdziwiła się Nastia. – Nie! Po co mi delfiny?

Następnego dnia Postrach Ośmiu Mórz powiedział:

– Posłuchaj, belulino, pojechałabyś ty do domu. Tu jest „Meteor". Podróż długo by nie potrwała... Post laboro benas ripozo. Trzeba trochę odetchnąć, mówię, nie tylko tyrać! A ty ciągle laboro i nic ripozo. A i Nastka wyschła na wiór na tym twoim kefirze. Tylko oczy zostały. Dzisiaj będzie ucha – żebyś mi przyszła punktualnie o piątej!

Wróciłam o dziewiątej, głodna i wściekła. Wył magnetofon, a wokół stróżówki szaleli weseli hydrolodzy. Trenowali tańce! Uchy już nie było – to mi się od razu rzuciło w oczy! Zeżarli moją uchę, kręcą się wokół Nastii, staruszkowi zawracają głowę – wyrzuciłam całe to towarzystwo na zbity pysk. Kolację jadłam nieco dziwną: wino, jabłka, ciastka i na wpół skamieniały ser.

W głowie mi szumiało ze zmęczenia i od wina. Nie zwróciłam nawet uwagi na słowa Nastii: „Jutro będziemy próbować!" Zapakowałyśmy się do śpiworów, a ja machinalnie wyszeptałam: „Dobrze, jutro!" – I nagle do mnie dotarło: b ę d z i e m y p r ó b o w a ć!

– Hej, słuchaj, co próbować? – zapytałam. – O czym ty mówisz?

– Będziemy pływać. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, jutro pobijemy rekord świata. Śpij! Słuchaj, a ten Alosza fajny, prawda? No, ten wysoki, z wąsami! Jest z Rostowa, prawie krajan...

Odechciało mi się spać. Przecież Nastia rozwiązała zadanie!

– Dobra, zaraz ci wytłumaczę, nie drzyj się – warknęła z niechęcią. – Zresztą nie ma co tłumaczyć, to bardzo proste. Przecież sama mówiłaś, że bez delfinów będzie lepiej. Mówiłaś? No to wyobraziłam sobie morze, a w nim delfina. Potem tego delfina usunęłam, rozumiesz?

Nie rozumiałam. Delfin sobie pływa – to jest do wyobrażenia. A co będzie, jeżeli się usunie delfina?

– Będzie morze – powiedziała z naciskiem Nastia. – Nie widzisz, czy co?! To logiczne, sama mówiłaś. Zostanie woda, trzeba myśleć tylko o wodzie. Należy sobie wyobrażać wodę, jasne?

Prawie w ciemno zadałam pytanie:

– Cząsteczki wody?

– Nie. W tym rzecz, że nie cząsteczki. Gdyby woda składała się

z cząsteczek, wrzałaby przy minus osiemdziesięciu stopniach. Cząsteczki wody występują w grupach, w agregatach. Dlatego woda jest płynna. No, wyobraź sobie lód z jego siatką krystaliczną. Olbrzymi kryształ – jak magazyn na stacji towarowej. Kiedy lód się topi, kryształ rozpada się na agregaty. Zamiast magazynu oddzielne skrzynki, jasne? Przypuśćmy, że w skrzynkach są piłki. Piłki są z natury bardzo ruchliwe. Łatwo je rozrzucić. Ale przeszkadza w tym opakowanie. Tak samo jest z cząsteczkami wody. Są zamknięte w agregatach jak piłki w skrzynkach. Od tego są uzależnione wszelkie właściwości wody, także opór, który woda stawia ruchowi. Spróbuj rozrzucić piłki, które są zapakowane w pudełka! Myślałam więc w ten sposób: gdyby dało się rozdrobnić agregaty na oddzielne cząsteczki, to spójność wody gwałtownie by się zmniejszyła. Może te delfiny właśnie tak...

– Poczekaj! – przerwałam. Delfiny były mi w tej chwili raczej obojętne. – A jak rozdrobnić te agregaty?

Nastia prychnęła lekceważąco:

– Przecież przyniosłaś mi książki! Znowu logika: przecież ktoś kiedyś musiał się już tym zajmować, zupełnie przy innej okazji. Woda to taki rozpowszechniony związek chemiczny! Słowem, doszłam do tego, że problemem rozdrabniania agregatów zajmują się biochemicy. Naturalnie, nie przyszło im do głowy, że jest to droga do zmniejszania spójności wody. Po prostu zagregowane cząsteczki wody uczestniczą w procesach energetycznych organizmu. Jak będziesz miała ochotę, to zajrzyj jutro do książek. Jedno jest istotne: kiedy agregat przechwyci dodatkowy proton, natychmiast się rozpada. Jak domek z kart. Rozumiesz? Tak więc musiałam znaleźć środek, który łatwo oddaje protony. Jutro sprawdzisz to na sobie. Za podstawę wzięłam krem „Księżycowy", bo mimo wszystko nie jesteśmy statkami, żeby mazać się jakimś protonotwórczym świństwem.

– Śpij! – powiedziałam poirytowana. – Nie zdajesz sobie nawet sprawy, czego dokonałaś... I te twoje przemyślenia... śnieżny most nad przepaścią nieznanego. Chwiejny, śnieżny most...

– Co proszę? - zdziwiła się Nastia. – Śnieżny most nad przepaścią? Nawet fajne! Widzę ten most...

Umilkła, popatrzyła na swój śnieżny most, a potem powiedziała:

– Słuchaj, Kira, to z jakiegoś wiersza?

– Nie, z prozy. Tak Karol Pearson powiedział o prawie dziedziczenia.

– Ale Mendel miał rację! A do tego to takie ładne – śnieżny most nad przepaścią!

Uściśliłam:

– Nad przepaścią nieznanego.

– No to co? Najważniejsze – nie spaść!

Nie – pomyślałam. – Najważniejsze – to mieć odwagę wejść na ten most. Nie czekać, aż zwiozą betonowe belki, lecz znaleźć wąską, śniegową ścieżynkę – i mieć odwagę.

To dziwne, ale spałam tej nocy świetnie. Rano obudził mnie niewiarygodnie smakowity zapach –dziadek i Nastia dusili pomidory. Pomyślałam sobie, że dzień będzie udany.

Po śniadaniu Nastia wręczyła mi słoiczek z zielonkawą mazią.

– Staraj się! – błagała. – Robisz teraz u mnie za delfina.

Staruszek pomógł nam odmierzyć sto metrów. Stopera nie miałyśmy, trzeba było wziąć mój zegarek.

– No, panienki! Ruszamy! Pod moim przewodnictwem! – oznajmił raźno Postrach Ośmiu Mórz.

Maź była chłodna i woda była chłodna. Stałam na śliskim kamieniu, a dziadek, Nastia i hundo Trezoro patrzyli na mnie z brzegu. Śnieżny most – pomyślałam. – Tylko żeby wytrzymał!

Płynęło mi się cudownie. Takie wrażenie ma się rzadko – wydaje się człowiekowi, że frunie, nie napotykając żadnego oporu. Nie męczyłam się, przez cały dystans zwiększałam szybkość.

– Czterdzieści osiem sekund! – krzyknęła Nastia. – Nam nie straszny śnieżny most, śnieżny most, śnieżny most... – zaśpiewała.

Rekord świata mężczyzn wynosi pięćdziesiąt dwie sekundy – doskonale to pamiętałam. Nawet jeżeli Nastia pomyliła się o sekundę czy dwie, to wszystko jedno – i tak pobiłam ten rekord.

– Weźmy rusałki – powiedział Postrach Ośmiu Mórz – przecież były dziewczynami, a jak pływały! Mądrość ludowa! Dziewczyny powinny pływać lepiej od mężczyzn! Albo takie zjawy...

– Stop, dziadku! – wyhamowała go Nastia. – Zjawy to już zupełnie inna bajka! Kira! Leć stumetrówką na plecach!

Rekord to minuta i sześć sekund, a ja przepłynęłam dystans prędzej. Teraz już doskonale wyczuwałam prędkość.

– Kwindek sep, kurza stopa! – zapiał zachwycony dziadek. – Pięćdziesiąt siedem sekund! Prułaś jak „Meteor"!

Tego dnia zawaliłyśmy dwie sprawy zaopatrzeniowe... Pływałyśmy i mierzyłyśmy czas. Około drugiej należały już do nas wszystkie prawie rekordy olimpijskie i światowe. Nawet w pływaniu na osiemset metrów mogłam liczyć na srebrny medal, a Nastia – na brązowy. Kończyła nam się maź, inaczej wyciągnęłybyśmy na złoty...

Potem, zmęczona i szczęśliwa, leżałam na gorącym piasku i patrzyłam, jak staruszek z Nastią przygotowują uroczysty obiad. Kręciło mi się trochę w głowie, kula ziemska łagodnie się kołysała.

– Napiłby się człowiek zimnej lemoniady – westchął Postrach Ośmiu Mórz. – Wy, panienki, boicie się przełknąć choć jedną nadliczbową kalorię – wiadomo, figura! A mnie żadna kaloria niestraszna! Mój organizm wykazuje zdumiewającą odporność na takie kalorie...

Staruszek zastawia na nas sidła – chce, żeby Nastia skoczyła do hydrologów po piwo.

– Nie bądź taki sprytny, dziadku – mówię – piwo będzie wieczorem. Teraz trzeba myśleć przytomnie: jest taki problem – jak nazwać to odkrycie, żeby wszystko było jasne i zrozumiałe. I żeby ładnie brzmiało! Pomyśl!

– Chciałbym mieć twoje zmartwienia! – warczy Postrach Ośmiu Mórz. Czuje się wyraźnie pochlebiony. – Nazwij to tak: „Szybkościowe pływanie imienia Anastazji Saryczewej".

W tym coś jest. Efekt Anastazji Saryczewej. Efekt AS... A w głowie dalej mi się kręcił.. Rozdrobnione agregaty łączą się z sobą bardzo szybko, inaczej woda za mną kipiałaby bez użycia jakiejkolwiek energii. No tak, rozpadanie i łączenie się agregatów odbywa się tylko w cienkiej warstwie. Ale co z tego? To wcale nie przeszkodzi w wykorzystaniu efektu AS (efekt AS – to brzmi dumnie!) na szybkich statkach...

– Nastia, słuchaj, trzeba dzisiaj wysłać depeszę do Gejma! I do brodatego Wowy!

– Nie, do Gejma lepiej zadzwonić! Jest teraz w Taganrogu. A z Wową parę dni poczekamy. Jeszcze nie wszystko jest dla mnie jasne.

Nastia opowiadała dziadkowi o Gejmie i salwie z dwóch dział. Nie, dwa działa to za mało! Jeżeli Gejm ma choć resztki poczucia przyzwoitości, to wystrzeli ze wszystkich pięciu armat. Efekt AS przyda się nie tylko na statkach. Woda to krew naszej cywilizacji. Jest wszędzie – w rurach, w turbinach, w systemach hydraulicznych...

– Z tymi działami to chyba lekka przesada – mówi staruszek. – Coś wam powiem: nie ma co robić rabanu, lepiej tę sprawę zachować w sekreto. W esperanto „sekreto" znaczy tajemnica! Jasne!? Końce w wodę! Całkowita cisza! Będziecie sławne na cały świat z rekordów pływackich! Wszędzie was będą wozić – na wszelkie olimpiady, spartakiady.... Zdjęcia będą w gazetach... A ja pojadę sobie z wami, pooglądam świat.

– A może by tak zrobić, Kira? – śmieje się Nastia. – Grigorij Siemionowicz podsunął wspaniały pomysł! Nawet wobec prawa bylibyśmy czyści. Regulaminy zawodów nie zabraniają używania jakichkolwiek mazi! Wyobrażasz sobie, co to będzie? Dostaniesz od razu piękne trzypokojowe mieszkanko! Jako mistrzyni świata.

Długo jeszcze się wygłupiali, jedno przez drugie snując oszałamiające perspektywy naszej sportowej kariery. Słyszałam tylko fragmenty zdań. Rozważałam gorączkowo jedną myśl: co by było, gdyby zastosować efekt AS w naszym systemie krwionośnym?

– Do ni komencu – oznajmia na koniec Postrach Ośmiu Mórz. – Koniec zabawy, bierzemy się za obiad! Ech, taka okazja i bez tego... no... bolało da piwo. Zginiesz z nimi, człowieku! Zmyj piasek, mówię, i bierz się do jedzenia! Szybko!

Tak, trzeba się spieszyć! Straciłam masę czasu, czekając aż doświadczenie z Nastią da rezultaty. Za to teraz można pewnie iść naprzód.

Pewnie?

Nowy eksperyment – nowa przepaść... I to jeszcze jaka!

Co mi tam! Odszukam śnieżny most, odszukam go na pewno i nie będę się bała na niego wejść!

Czekaj na mnie, śnieżny moście...

Przełożyła Anita Tyszkowska-Gosk

POJE

(Duell)

Franz Fühmann

Zanim Pavlo, gorliwy student nauk o przyczynowości, uzyskał dyplom ukończenia swojej uczelni, pewnego ranka przyszło mu do głowy, że prawa przyczynowości z pewnością rządzą również procesami zachodzącymi w dziejach ludzkości i w związku z tym postanowił wysłuchać – niezależnie od zajęć obowiązkowych z filozofii i hartowania świadomości obywatelskiej – kilku wykładów z historii.

Po namyśle zdecydował się na cykl odczytów o rozwoju prawa w szczytowym okresie średniowiecza europejskiego, gdyż wiele obiecywał sobie po epoce, w której wzięła swój początek myśl wybitnie przyczynowa, wzorowana na łacinskiej i rozwijająca się następnie w zupełnie odmiennym środowisku niż prawo rzymskie.

Początek rozczarował go srodze: docent, mówiąc o lokalnych tradycjach i obyczajach, zgubił się w gąszczu szczegółów, wykład był nużący i Pavlo zamierzał już wyjść, gdy wykładowca zapowiedział na następną godzinę pokaz historii przy użyciu projektora czasu. Przyrząd ten znajdował się jeszcze w stadium prób, zarówno pod względem technicznym, jak i politycznym. Najwyższa Rada Koleżeńska Uniterru podjęła uchwałę, która zezwalała na przeprowadzanie takich pokazów w szkołach, a nawet – spełniając tym samym marzenia niektórych członków Rady – zaleciła dokonanie analiz oddziaływania projektora na wybraną publiczność. To, że Rada dystansowała się później od wszelkich seansów publicznych, można wytłumaczyć wnioskami płynącymi z tych właśnie analiz. Funkcjonowanie projektora było oparte na prostej, ale wówczas jedynej metodzie: chodziło o to, aby za pomocą superszybkich fal grawitacyjnych wyprzedzić wyemitowane w kosmos światło minionych epok, a następnie odbić je ze wzrastającym przyśpieszeniem, tak aby obraz minionego czasu (ponownie ukazywany w zwolnionym tempie równym prędkości światła) mógł zostać odtworzony przez projektor jak trójwymiarowy, barwny i na razie niemy film. Miało jeszcze upłynąć sporo czasu, zanim opracowano metodę odfiltrowywania fal akustycznych, a następnie przetwarzania ich, aby stały się słyszalne. Długo czekano też na zastosowanie analogicznej metody reaktywowania zapachów, ale wtedy, w czasach studenckich Pavla, wszelkie odzwierciedlanie czasu, nawet tak niedoskonałe, było jeszcze sensacją tej miary, że biletami wstępu spekulowano jak przed mistrzostwami bokserskimi.

Również tym razem zapowiedziany pokaz zgromadził w audytorium tłum zainteresowanych z innych wydziałów, a budynek uniwersytetu obległo mrowie gapiów. Policja uczelniana wpuszczała wyłącznie stałych słuchaczy, w przypadku zaś Pavla zasięgnięto informacji u władz ministerialnych, które z uwagi na jego nieskazitelne świadectwo lojalności i wzorowe wyniki w nauce wydały w końcu – chociaż nie bez obiekcji – decyzję pozytywną.

Na pokaz wybrano słynny epizod pojedynku stoczonego przez normandzkiego hrabiego Henryka de Traulec z jego synem Toulem, bękartem spłodzonym z dziewką służebną. Pojedynek odbył się w maju 1409 roku, o jego wyniku wiemy zaś tylko tyle, że był „niezwykle okrutny". A oto jak do niego doszło.

Kiedy hrabia Henryk oddalił skargę syna buntującego się przeciwko wyznaczeniu go dożywotnio na pastucha, faworyta namiestnika królewskiego, Jeanne Viole du Mars, wykorzystała tę okazję i zaczęła rozpowszechniać wieść, że mściwy Toul wyzwał jakoby hrabiego na pojedynek (miał do tego prawo, gdyż część płynącej w jego żyłach krwi była szlachetnego pochodzenia), tamten zas stchórzył. Toul wprowadził natychmiast ową pogłoskę w czyn i za pośrednictwem dwóch sekundantów – pastuchów jak i on sam – wyzwał swojego ojca na pojedynek. Hrabiemu nie pozostało nic innego jak przyjąć wyzwanie, pod warunkiem jednak, że – zgodnie z prawem – sposób pojedynkowania się będzie odpowiadał nierównej pozycji społecznej obydwu przeciwników. Niższy stanem, tkwiąc po pas w wykopanej jamie, może walczyć włócznią i pałką, podczas gdy szlachetnie urodzony – ostrym mieczem i to mając pełną swobodę poruszania się.

Czy Jeanne Viole przewidywała taki obrót sprawy i co w ogóle skłoniło ją do takiego, a nie innego działania – na ten temat napisano już setki mniej lub bardziej zmyślnych hipotez. Wiadomo, że była śmiertelnym wrogiem hrabiego Henryka, przebąkuje się też, że oczarowała ją niezwykła szpetota bękarta – garbatego, brzydkiego, pomarszczonego i utykającego na jedną nogę. Nie ulega wątpliwości, że pojedynek ten istotnie się odbył. Brak natomiast wszelkich innych wieści, w tym również o losach wspomnianych osób podczas zamieszek wewnętrznych za Karola VI.

Źródłem istotnych wiadomości o pojedynku są bezcenne fragmenty „Roczników Lucypera" pióra Estienne'a Nouviellesa, zapiski „Nieznanego kronikarza hrabstwa Traulec", odkryte późno i niestety tylko częściowo, kilka listów Jeanne Viole oraz namiestnika, niektóre wskazówki zawarte w innych listach, jak też fragmenty pamiętników. Świat żył wówczas jedynie soborem w Pizie, w którym wzięło udział trzech papieży, echem morderstwa dokonanego w Paryżu na Ludwiku Orleańskim i kazaniami Jana Husa w Czechach, prócz tego zanosiło się na nowy najazd Anglików na Francję. W takich czasach kogóż obchodziły lokalne intrygi jakiejś trzeciorzędnej metresy? Zresztą pojedynek zapamiętano jedynie dzięki pogłosce, iż był „niezwykle okrutny". To lakoniczne sformułowanie rozpaliło umysły historyków; jedna hipoteza rysowała obraz pożaru, w którego płomieniach zginęli obaj walczący, inna, ciesząca się dużym uznaniem, mówiła o powstaniu mieszkańców Traulec. Obowiązująca w Uniterr doktryna naukowa od dawna uznawała za pewnik, że pastuch pokonał hrabiego, opłacani zaś przez kastę panującą pisarze przemilczeli ten fakt. Zjawisko to było przykładem duchowej niewoli, która panoszyła się w minionych wiekach i wykorzenionej dopiero w Uniterr. Propagatorzy owej koncepcji byli tak przekonani o swej słuszności, że przeforsowali zamieszczenie tej hipotezy w podręcznikach szkolnych, mimo iż opierała się na przypuszczeniach, a nie na faktach.

Owo wprowadzenie fikcji do faktów jest typowe dla myślenia historycznego w Uniterr, zanim jednak omówimy to dokładniej i zanim opowiemy o samym pokazie, powinniśmy podać trochę szczegółów technicznych. Projektor był niemal niewidzialny, ale mimo to wyczuwalny jako migotliwe pomieszczenie o wysokości do dwóch metrów i zaledwie do trzech metrów długości oraz szerokości. Przy pięćdziesięciokrotnym pomniejszeniu można było objąć wzrokiem obszar o następujących wymiarach rzeczywistych – szerokość i głębokość około 150 metrów, wysokość zaś sto. Aktorzy mieli zatem mniej więcej trzy centymetry wysokości. Widzowie mogli oczywiście oglądać każdy dowolnie wybrany fragment panoramy dzięki systemowi szkieł powiększających, a jedna z kamer rejestrowała rozgrywające się wydarzenia w skali naturalnej.

Gdzieś na zewnątrz pomrukiwały łagodnie oscylatory; to dokonywano spowolnienia odbitego światła. Gdyby do sali wykładowej wszedł ktoś niewtajemniczony, zauważyłby jedynie ustawioną na stole szarą platformę z trzema kablami o grubości ręki, a nad nią ledwie dostrzegalne migotanie. Stopniowo, ale szybko zaczęło narastać napięcie. Pomruk oscylatorów wzmógł się, migotanie przywodzące na myśl wstający świt zwiastowało wstrząsające wydarzenia – oto światło sprzed dwóch tysięcy lat miało

DYNEK

powrócić na swoją dawną planetę. Na końcówkach przewodów zapalały się bezgłośne błyski.

Pavla ogarniało uczucie wyczekiwania, bardziej dręczące niż kiedykolwiek i zupełnie innego rodzaju niż stan, który zazwyczaj określa się tym mianem. Nie było to oczekiwanie czegoś znanego już przedtem, lecz czegoś całkowicie nowego (aczkolwiek, co zakrawa na groteskę, czegoś, co się już wydarzyło).

Pomruk oscylatorów ustał albo raczej przeszedł w dźwięk, który ocierając się o granicę słyszalności nie dochodził do uszu, ale nie był też pustą, absolutną ciszą. Ów odbierany jako cisza dźwięk, przekształcił negatywny bezgłos w pozytywny i od tej pory migotanie przestało być widoczne, albo ściślej mówiąc, nie zwracano już na nie uwagi, gdyż oto nad szarą platformą zjawił się nagle obraz przeszłości. Pod prostopadłościanem nieba znad Morza Północnego zbiegowisko, tysiące głów, operatorzy stojący na zewnątrz przy swoich kamerach starają się uzyskać najbardziej korzystny widok ogólny, jednocześnie zaś widzowie manipulują systemami powiększającymi, chcąc dostrzec pożądany szczegół. Obiektywy kierują się w inną stronę, aby z tłumu wydobyć niewidocznych do tej pory uczestników pojedynku. Ciżba zniknęła z oczu.

Pavlo przez chwilę spoglądał na ogólny plan – jakie niesamowite niebo! Zawieszona w górze kompozycja bieli i błękitu, a niżej świat ludzi. Kamery skierowały się w inną stronę. Pavlo dostrzegł kalejdoskop barw, tym razem i on pomajstrował przy wzierniku. Przed jego oczyma wyrosła kobieta.

Stała przed nim i Pavlo czuł, że zaparło mu dech, odniósł wrażenie, jakby owiał go jej zapach. Zbliżyła się, odziana w seledynowy lamowany brokat, z którego wyłaniały się szyja i głowa; szkarłat kaptura bił w niebo, jej oczy były jak noc. Podeszła bliżej do Pavla, a jemu wydało się, że czuje mleczny zapach jej skóry. Za kobietą, brnąc w pyle i krzycząc coś, pędziła karlica. Pavlo przesunął wziernik i ujrzał ośle kopyto.

Kamery ukazały przeciwników: plecy hrabiego odzianego w charakterystyczny dla szlachty strój: dwukolorowy – zielony i czarny – kaftan z jednym rękawem bufiastym i jednym obcisłym, wąskie spodnie o takim samym układzie kolorystycznym, ciżmy o zakrzywionym do góry nosie, ozdobione zielono-czarnymi pomponami wielkości ucha. Miecz miał nisko przypasany, jego koniec wlókł się po piachu. Z tyłu ciemniał wykop, a w nim Toul, który tkwił po pas w rozkopanej ziemi, brunatnej jak jego pokryta brodawkami twarz z monstrualnym nosem. Jego broni nie było widać. Nagle uniósł swoje nagie ręce i zaśmiał się, a Pavlo dostrzegł zbliżający się ponad falującym tłumem szkarłatny kaptur. Dopiero teraz zauważył, że kobieta jedzie konno.

Powiódł okularem wokoło, aż dojrzał ludzi cisnących się do przodu. Widział dokładnie ich twarze i czuł podniecenie graniczące z szaleństwem. Nie było to jednak spowodowane bliskością Jeanne Viole, lecz – należy przypominać o tym w nieskończoność – tym, że wszystko stało się nagle możliwe bez ograniczeń. W strukturze, która nie dopuszczała absolutnie żadnej alternatywy, była to wyłoniona z szeregu innych możliwość czegoś innego i kiedy Pavlo zetknął się z nią po raz pierwszy, było to dla niego przeżycie czegoś niepojętego, nie dającego się ująć w słowa. Wtedy właśnie zrodziło się w nim przeczucie, że owa dokonana historia mogła i może mieć inny przebieg, niż uznała to nauka w Uniterr.

Co jednak spodziewał się ujrzeć Pavlo?

Cały problem polega na tym, że z jednej strony nie potrafiłby tego dokładnie określić, a równocześnie wiedział aż za dobrze, o co mu chodzi.

Podobnie jak jego koledzy podzielał stanowisko zajęte przez historyków w Uniterr na temat wyniku pojedynku, a mianowicie zakładał zwycięstwo Toula, które potem przemilczeli kronikarze. Z drugiej jednak strony taki wynik, a więc zwycięstwo niższego stanem nad szlachetnie urodzonym, zaprzeczał uznanej oficjalnie w Uniterr doktrynie historycznej, według której wszystko co wydarzyło się przed utworzeniem Społeczeństwa Rzeczywiście Wyzwolonego, rzekomo służyło wyłącznie interesom klasy wyższej i miało przynosić korzyści tylko jej przedstawicielom. Dlatego też wszystko, każde pojedyncze zjawisko, właśnie przez nich było z góry zaprogramowane. Narody burzyły się przeciwko temu w coraz to większym stopniu, dawały temu wyraz w niezliczonych, stłumionych następnie rozruchach, aż wreszcie utworzyły – niestety na razie tylko na części naszej planety – Społeczeństwo Rzeczywiście Wyzwolone, w którym nie ma ani „dołów", ani „góry". Ta doktryna naukowa („Historia Rzeczywiście Prawdziwa") panowała niepodzielnie, przedstawiała jedynie możliwą formę, w której zakrzepło myślenie historyczne, i oczywiście działo się to najczęściej kosztem wszelkiej poglądowości. Pavlo – podobnie jak wszyscy koledzy – był więc przekonany, że pojedynek, toczony przez ludzi stojących na dwóch krańcach drabiny społecznej, musiał zostać tak zorganizowany, aby zwyciężył przeciwnik, który znajduje się wyżej w hierarchii społecznej. Gdyby zaś przebieg walki nie wskazywał na takie zakończenie, porządkowi, sekundanci oraz sędziowie doprowadziliby do tego zwycięstwa za pomocą oszukańczych manipulacji.

Półoficjalne twierdzenie o zwycięstwie Toula i oficjalna doktryna o sterowaniu biegu wszelkich wydarzeń przez warstwy uprzywilejowane pozostawały ze sobą w rażącej sprzeczności. Czego więc Pavlo się spodziewał? Jeżeli słowo „spodziewa" zrozumiemy nie w sensie konkretnego, poglądowego „wyobrażenia sobie", ale w sensie bezoczekiwania, a więc świadomości, że oto nadchodzi coś, co nadejść musi, to Pavlo spodziewał się jednego i drugiego – ale tylko abstrakcyjnie, nie konkretnie – nie dostrzegając w ogóle owej kolizji. Brzmi to niewiarygodnie, ale tak właśnie było.

Owo bezoczekiwanie abstrakcyjnej nieuchronności zostało zakłócone czymś nieoczekiwanym, co stanowiło – powtórzmy to po raz trzeci – możliwość alternatywną jako rzeczywistość czegoś innego. To, co konkretne, jest bowiem właśnie dzięki swej istocie alternatywą abstrakcji, to, co poglądowe – alternatywą tego, czego nie można obejrzeć, tam zaś, gdzie historia odsłania swą inność, staje się ona w swej zewnętrznej formie tym, czym jest w rzeczywistości: formą bytu alternatywy. Najmniejszy szczegół zyskuje wtedy na znaczeniu, które zrozumieć może tylko ten, kto je poznał. Że można było nosić nakrycie głowy, którego szkarłat żłobił niebo – nie chodzi o to, że to nakrycie będzie w Uniterr zakazane, ale że nikt nie wpadłby na pomysł noszenia czegoś nie nakazanego. Że można było jeździć konno; że można było pokazać się publicznie w kostiumie, który parcelował ciało na dwa kolory i w którym jeden rękaw był obcisły, a drugi się nadymał; że można było nosić miecz; że można było pić wino z glinianego dzbanka; że można było ciągnąć miecz po piachu; że można było unieść miecz; że można było popędzać osła; że można było stać w wykopie i szczerzyć zęby do zwierzchności... że było możliwe, iż Uniterr nie istniało.

Tłum przerzedził się i nagle Pavlo poczuł, że gotów jest uwierzyć nawet (albo właśnie) w to, co niemożliwe: że z rusztu wychodzi cesarz, że ziemia faluje, tworząc powoli góry, że ryby maszerują po ziemi, że ludziom wyrastają u ramion skrzydła, że konie zrzucają swoją uprząż, że seledynowa dama obnaża się, wiązy przydrożne zaś kłaniają się jej w pas – i wtem dama, opierając się lewą ręką o czyjąś zbroję, zeskoczyła na ziemię.

Pavlo przykręcił do wziernika urządzenie dioramiczne, którego obraz zamykali teraz hrabia z lewej strony, a z prawej – Toul. Kamery filmowały z góry, nieco z ukosa, tak że można było ogarnąć wzrokiem cały plac walki. Można było tu dostrzec, jak podzieliły się sympatie – tkwiący w wykopie Toul był otoczony przez tłum tak liczny, że hrabia, który akurat dobywał miecza, zdawał się być osamotniony. Heroldowie z fanfarami u boków przedefilowali przed namiestnikiem, do którego zbliżała się właśnie szlachta, aby oddać hołd; giermek niósł włócznię i pałkę, karlica przechodząc dygnęła. Kobieta podeszła do Toula.

Pavlo był poruszony tym widokiem, co natychmiast dostrzegli kontrolerzy policji do spraw przekonań, doglądający (nie mogło przecież być inaczej) przebiegu pokazu: raptownie zwiększona transpiracja neurocytarna u Pavla wskazywała na groźne spie-

trzenie uczuć, przerastające możliwosc indywidualnego kontrolowania świadomości. To po raz pierwszy zaobserwowane zakłócenie, zwane od tej pory „syndromem alternatywy", wpisano w rubrykę anomalii schizoidalnych. Przezornie przekazano też odpowiedni meldunek Najwyższej Radzie Koleżeńskiej.

Kobieta przykucnęła nad wykopem; karlica stojąca za nią klasnęła gorączkowo w ręce, a dama uniosła rąbek spodnicy, rozpięła od góry szatę, którą miała na sobie, po czym wyjawszy ukrytą gdzieś na piersiach sakiewkę przetykaną złotem, zaczęła karmić Toula kandyzem. Wsuwała do łapczywych ust duże brunatnożółte grudki, aż wreszcie ujęła oburącz twarz Toula i przyciągnęła za nos i podbródek tuż do swoich warg. Pavlo spojrzał na namiestnika; chyba najwyższy czas, by położył temu kres?! W audytorium dźwięczała cisza; bezgłośny hejnał fanfar, halabardziści odpychający tłum, pusta przestrzeń rozwarta nagle pomiędzy obydwoma antagonistami, która zdaje się wsysać w siebie niebo. Toul, już samotny, oblizał z uśmiechem wargi; szkarłatny kaptur powędrował ku trybunie, a zakończone księżycami halabardy zakratowały na ukos cały horyzont.

Kontrolerzy wpatrzeni w znieruchomiałe już wskazówki na skalach odetchnęli z ulgą i podczas gdy stający do pojedynku kreślili z czcią znak krzyża po całym ciele, od czoła do pępka, namiestnik wyciągając ręce nad ludem, wygłosił znaną wszystkim formułkę inauguracyjną: Ad te in excelsio domine clamavi. Brunatny plac walki, zielono-czarny hrabia, ziemista twarz Toula, tłum splecionych ze sobą tysięcy barw, miecz przesuwający się na tle szkarłatu. Hrabia wzniósł go ku niebu trzymając w wyciągniętych dłoniach.

Nadchodził moment rozpoczęcia pojedynku i niebieskie światła alarmowe w pomieszczeniu kontrolnym zgasły. Widzowie dygotali z emocji, ale to oczekiwanie przebiegało u nich w sposób nie różniący się od utartych wzorców. Wyładowywanie emocjonalne również odbywało się jak zwykle: ludzie poprawiali się w fotelach, wybuchali śmiechem, wykrzykiwali żartobliwe uwagi, zagrzewali przeciwników do walki. Również Pavlo nie dawał powodu do niepokoju (emocjografy umożliwiały oczywiście lokalizację wszelkich zakłóceń; przed oczyma kontrolerów leżały plany widowni, które pozwalały im na natychmiastową reakcję już przy pierwszym błysku sygnału alarmowego: „A więc jednak ten nowy!") i kontrolerzy mogli zaspokoić swą ciekawość i skierować uwagę na arenę. Być może pod wpływem wrodzonego albo raczej zakodowanego w mózgu nawyku, o wiele baczniej niż obu antagonistów obserwowali tłum napierający na halabardy i kłębiący się przed trybunami – przepych soczystych barw, skóre i barchan, futra i len, ciała ściśnięte ogromnymi pasami, kaptury, twarze roziskrzone nieskrywaną radością. Z dezaprobatą odnotowali fakt, że część widzów nosi broń, długie noże, krótkie miecze, włócznie o szerokich ostrzach, kusze i kołczany z wiązką pierzastych strzał. Były to oznaki upadku moralnego. Na domiar złego część widzów posilała się bez żenady, z rąk do rąk wędrował dzban wina. Jedyną rzeczą, która cieszyła wzrok kontrolerów, była majestatyczna postać hrabiego. Na Toula w wykopie nie zwracali niemal uwagi.

On zaś stał, brązowy jak ziemia, w której tkwił po pas. W lewej ręce miał włócznię, w prawej pałkę - i wpatrywał się w trybunę, gdzie wokół namiestnika króla gęstniały srebrzysty brokat i jedwab. Z jego lewej strony pozostało wolne miejsce i Pavlo, śledząc bacznie wzrok Toula, uwierzył - jak i tamten - że jest ono zarezerwowane dla damy, która wkrótce się zjawi. Pavlo nade wszystko na świecie pragnął ujrzeć raz jeszcze Jeanne Viole.

Od dłuższego już czasu stracił serce do pojedynku oraz do towarzyszących mu ceremonii i rytuałów. Przed jego oczyma falował barwny tłum, on zaś czuł jeszcze owo niewyczuwalne muśnięcie, jak wtedy, gdy dama przesunęła się tuż przed nim. Teraz nie widział ani jej, ani karlicy. Spojrzał na tłum wypełniający przestrzeń pomiędzy trybuną a wykopem niczym myśliwy, który obserwuje łan zboża czekając aż drganie kłosów zdradzi przemykającą się tamtędy zwierzynę i teraz dopiero dostrzegł to, co kontrolerzy zauważyli od razu: że tłum jest uzbrojony i że panuje ogólna wesołość.

Jeden z mnichów skropił hrabiego wodą święconą, tłum zakrzyknął coś. Nagły tumult przed trybuną; o ziemię roztrzaskał się dzban wina lub piwa. Pavlo nastawił wizjer na optymalną ostrość i wtedy w luce pomiędzy biodrami dwóch kobiet dostrzegł karlicę. Stała bokiem i patrzyła wąskimi, wodnistymi oczyma spod nie istniejących brwi. Nagie, wilgotne i bezrzęse oko sprawiło, że Pavlo odniósł wrażenie, iż to historia patrzy na niego - bezwstydna, szczera, niezgłębiona, bezdusznie podstępna w gorączce dnia powszedniego. Wtem oko skierowało się w jego

niemal jak żądzę, żądzę tak dojmującą, że zapomniał o kobiecie. Odniósł wrażenie, że oko, obnażone jak nigdy dotąd, kryje w sobie całą gamę takich możliwości, o których nie śmie się nawet marzyć, jakkolwiek śni się o nich co noc, z przemożną żądzą, a jednocześnie trwogą przed ich spełnieniem w marzeniach i zapomnieniem we śnie. Pavlo ponownie skupił swą uwagę na turnieju. Podobnie jak inni skierował wzrok na trybunę i dostrzegł obok intendenta przyjmującą hołdy damę. Dopiero teraz uświadomił sobie, że ona również nie ma brwi. Uśmiechnęła się, Pavlo dostrzegł jej oko, ogromne i bez rzęs i raptem ujrzał tam śmierć: mroczną, pokrzywioną, z łysą czaszką; przerażający i uśpiony embrion. Przeszedł go dreszcz.

Brokat i srebro spoczęły na swoich miejscach, hrabia zbliżył się do trybuny, zdejmując biret, aby oddać hołd odległemu królowi, fanfary przywarły do ust, a kontrolerzy, których oczekiwaniom stało się zadość, spoglądali z satysfakcją na niezłomny szyk halabard odpierający napór rozpasanej ciżby. Wtem Toul najwidoczniej coś krzyknął. Wszyscy zwrócili wzrok ku niemu, a on wyprostował się w swoim wykopie, cisnął na ziemię włócznię i pałkę, szarpnął oburącz poły swojego ciężkiego kaftana i wystawił ku trybunie królewskiej, przed którą hrabia złożył dobrze wyćwiczony ukłon, swą groźną i nabrzmiałą purpurą męskość. I zanim wśród widzów zapanowała nagle cisza wywołana taką okropnością, padł rozkaz przerwania transmisji. Na scenie pogasły światła, zapanowała absolutna ciemność i cisza.

Wykładowca, pojmując od razu, że pokaz został przerwany na polecenie Najwyższej Rady Koleżeńskiej (wydawało mu się, że rozpoznał głos kolegi odpowiedzialnego za sprawy bezpieczeństwa) i że należy uczynić coś, aby nie znaleźć się w kłopotliwej i z pewnością bolesnej sytuacji, zapalił wszystkie światła, po czym przystąpił do syntetycznej analizy materiału przedstawionego na pokazie. Zwrócony twarzą do jednego z emocjografów zaczął wyjaśniać, że oto na ich oczach linia nauczania historii w Uniterr raz jeszcze okazała się słuszna, gdy wtem ktoś zawołał:

– Nie!

Wykładowca drgnął.

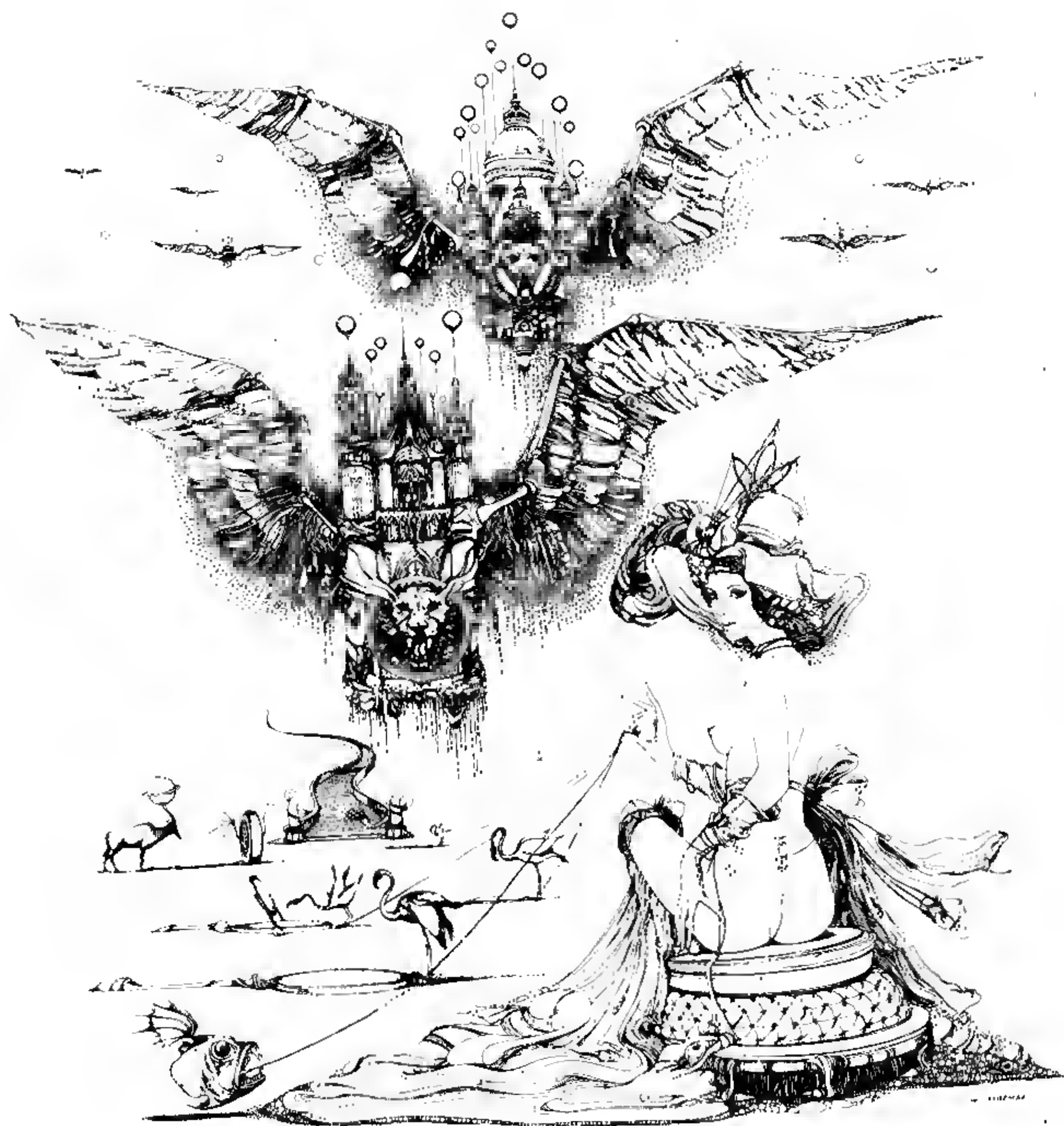
– Nie! - powtórzył Pavlo, wstając z miejsca.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się ku niemu, wykładowca zaś stał osłupiały. Tak zachowuje się człowiek, który widzi drzewa odrywające się od ziemi i odchodzące w dal na korzeniach. On, znany ze stałości swoich poglądów oraz uporu w dyskusji (te właśnie zalety zakwalifikowały go do objęcia tak zaszczytnej i odpowiedzialnej funkcji strażnika przy bramie do przeszłości) poczuł, że wystarczyło jedno słowo, aby wstrząsnąć nim i nauką, którą reprezentował. Owo „nie!" wobec czegoś, co dopuszczało wyłącznie „tak!" może, a nawet musi spowodować coś niewyobrażalnego, jest bezprzykładną prowokacją. Zrobiło mu się słabo i aby nie upaść, usiłował chwycić się katedry. Ostatkiem sił uczepił się krawędzi projektora i myślał tylko o tym, że jego koledzy z Najwyższej Rady widzą jego nieudolność i że chyba rzeczywiście zawiódł ich zaufanie.

Niestety, nie posiadamy dokładnych danych. Żadne wieści o wydarzeniach w Najwyższej Radzie nie przedostają się na zewnątrz. Wiemy jednak, o czym myśleli kontrolerzy. Myśleli to samo, co wykładowca - że bezzwłocznie należy coś zrobić. Zwłoka w działaniu była niedopuszczalna. Owo „nie!" nie było zwykłym zarzutem, lecz kwintesencją wszystkich możliwych (a właściwie niemożliwych) do wyobrażenia zarzutów. Mało tego, było odmową, zaprzeczeniem wszystkiego, co zasługiwało na akceptację i co koncentrowało się w jednym słowie „tak!" jako „tak" w stosunku do Uniterru. „Nie!" mogło istnieć jedynie jako konkretne zaprzeczenie: „Nie! – nienaukowym nauczycielom sprowadzającym na manowce!"; „Nie! – historycznemu pesymizmowi!".

I oto kolejne „Nie!" roszczące sobie pretensje, aby stać się opozycją wszelkiego „Tak!". Wykładowca nigdy przedtem nie obawiał się zarzutów, pytań odnoszących się do jakiejś tezy, wątpliwości wobec danej teorii, uwag wykazujących domniemaną sprzeczność w jego wykładzie. Jeżeli umiało się podejść do nich w odpowiedni sposób, to w ostatecznym rozrachunku podporządkowały się owemu „tak!" – jako że pozwalały egzaminować swoje „nie!" - i dzięki temu pozostawały w systemie nauk, podobnie jak trucizna szczepionki pozostaje w systemie ochronnym człowieka zdrowego. Ale to „nie!" było zarazą. Mało tego, było koncentratem wszelkich możliwych wirusów, wyzwalających najbardziej niewyobrażalne epidemie. Taka właśnie erupcja nastąpiła najpierw u wykładowcy. Kiedy ustępująca ciemność zaczęła raz po raz powracać rozedrganymi falami, przez chwilę miał wrażenie, że widzi na trybunie błękitną szatę Naj-

Wojtek Siudmak





„Nie!", i nie wiedział czy krzyknął rzeczywiście – byłby to bowiem krzyk prosto w oblicze Najwyższej Rady Koleżeńskiej.

Zgroza, która przejmowała go na myśl o tej okropności wprawiła profesora (właśnie w chwili, w której szef kontrolerów postanowił wydać rozkaz opróżnienia sali) w stan takiej czujności, że wchodząc na katedrę zawołał ostro:

– Nie!

Spojrzenia wszystkich skierowały się na niego.

– Tak? – zapytał Pavlo, nie widząc, czego dotyczy ten sprzeciw. Wykładowca uznał to już za kapitulację, podczas gdy był to raczej wyraz zakłopotania.

Pavlo nie zamierzał wcale zabierać głosu, jego „nie!" wyrwało się jakby ze szczeliny rozwartej w strukturze konieczności. Początkowo było właśnie czymś innym, czymś co wstrząsnęło nim, co pragnął, by trwało, by miało inny charakter niż Uniterr! Właśnie „nie!" Pavlo usłyszał jak przez sen, nie mógł sobie wyobrazić, że on sam wypowiedział to słowo. Fakt ten jednak zaistniał i na domiar złego zaczął oddziaływać na samego autora negacji. Pavlo uznał bowiem owo „nie!" za swoje i zaczął rozumieć relacje oraz skutki owej negacji – wartość prawdy zawartej w Historii Rzeczywiście Prawdziwej, ujrzał Toula powstającego z wykopu i wystawiającego ku swoim antagonistom szalejącą chuć. I oto Pavlo zapragnął upodobnić się do tamtego i powodowany tym dążeniem wypowiedział po raz drugi „nie!". W tym momencie z przerażeniem pojął, że istotnie postąpił jak tamten, który błakł teraz w jaskrawym świetle. W spojrzeniach kolegów Pavlo ujrzał przepaść, w którą strąciło go „nie!" wykładowcy. Rzucony z marzeń w szpony powiedział „tak" całemu „nie", jak gdyby było to oparcie, dzięki któremu będzie mógł iść dalej.

W tym miejscu należy opisać to, czego nie widział już Pavlo (filmowanie odbywało się nadal, ekipa w kosmosie nie odebrała bowiem polecenia przerwania transmisji). Na odbiornikach znajdujących się w siedzibie Najwyższej Rady i w pomieszczeniu kontrolnym strażnicy wepchnęli Toula z powrotem do jamy, tłum zanosił się śmiechem, fioletowy tłuścioch podrzucał swoją czapkę do góry, o ścianę trybuny uderzyło ośle kopyto, hrabia machnął w powietrzu mieczem, a Jeanne Viole skinęła dłonią wojownikowi w jamie. W tym samym czasie wykładowca, już triumfując, wykrzyknął swoje „nie!" jako „Nie! – tej niezwykłej bezczelności!", Pavlo zaś odniósł wrażenie, że przemiana jakiej uległ on sam, przyczyni się również do zmiany w Uniterr i wierząc święcie, że tak się stanie, zgłosił wniosek o zwołanie Dysputy Naukowej.

Dysputa Naukowa (DYSNA) jest zdefiniowana w statucie Zjednoczonych Uniwersytetów Uniterru jako „znakomity przykład znaczenia prawdziwej wymiany poglądów dla rozwoju nauk"... Przewidziane są planowe Dysputy Naukowe, które odbywają się trzy razy w ciągu studiów oraz nadzwyczajne. Nadzwyczajna DYSNA służy „naukowemu przetworzeniu, przenikaniu oraz przyswajaniu znaczących wydarzeń w życiu społecznym Uniterru". „Przeprowadzenie planowej Dysputy Naukowej wymaga uzyskania zgody rektora, nadzwyczajnej zaś – ministerstwa", nadzwyczajne dysputy będą „nagrywane na taśmach", a „kopie włączone do państwowego archiwum". „Wynik planowej Dysputy Naukowej" będzie zatwierdzony przez Radę Koleżeńską Uniwersytetu, a nadzwyczajnej – przez Radę Koleżeńską Ministerstwa, i „w zależności od tego uznany przez rektora lub ministra za właściwą linię nauczania".

Wykładowca poinformował, że zgodnie ze statutem oczekuje na wniosek, określenie tematu dysputy oraz konspekt w ośmiu egzemplarzach. Pavlo przyrzekł uczynić to jak najszybciej, po czym wykładowca uznał pokaz historii – imponujące potwierdzenie wiarygodności Nauki Rzeczywiście Prawdziwej – za zakończony. Studenci rozeszli się do mieszkań, wyraźnie stroniąc od Pavla. Byli zdecydowani nie zabierać głosu podczas dysputy, chyba że otrzymają odpowiednie polecenie.

Jeszcze przed opuszczeniem sali wykładowej Pavlo usiłował sformułować swój wniosek, jednak bez rezultatu. Jaki sens miało to „nie!", do czego się odnosiło? Do Uniterru? To niemożliwe. Do Nauki Rzeczywiście Prawdziwej? Tę możliwość wykluczył natychmiast: czyżby pragnął nauki innej niż prawdziwa? W tym miejscu tok jego myśli rozpływał się. Dlaczego powiedział „nie!"? Pavlo zastanowił się nad tym pytaniem i odkrył dwuznaczność pojęcia „dlaczego", które mogło być rozumiane jako: „wobec czego?" oraz „w jakim celu?" Choć myślał nad tym intensywnie, celu nie mógł określić, obiekt zaś, do którego mogła odnosić się negacja, był równie odległy jak Karol VII.

Gdy Pavlo szedł zatopiony w rozmyślaniach, wykładowca został wezwany do pomieszczenia kontrolnego, gdzie kontynuowany był pokaz. Był to moment tak zajmujący, że kontrolerzy nie mogli oderwać wzroku. Ponieważ nie mieli żadnych pytań, a gość unikał wszelkich uwag, postanowiono – zamiast omawiać sprawę Pavla – przyjrzeć się najpierw jak hrabia de Traulec dobiega dwoma susami do jamy i z półobrotu tnie mieczem Toula w szyję. Tamten robi jednak szybki unik, hrabia przebiega z rozpędu obok jamy, a pałka Toula trafia go w piętę z taką siłą, że hrabia pada na ziemię. Toul rzuca się na niego niczym brunatna błyskawica, strażnicy powstrzymują go, biją, wpychają z powrotem do jamy, ale przez to uniemożliwiają hrabiemu zadanie ciosu, którym tamten chciał rozpłatać kark Toulowi.

Tak przynajmniej widzieli to wydarzenie, ale wykładowca, stojąc na progu (nie śmiał usiąść bez wyraźnego zaproszenia) ogarniał wzrokiem plan ogólny – niebo, morze, poruszenia tłumu, prądy, wiry, linie, kręgi, ustawiczną zmianę form i barw zbiegających się i oddalających od siebie. Obraz ten zafascynował go tak bardzo, że zapomniał o sprawie Pavla.

Ten zaś rozmyślał nadal. Dlaczego powiedział „nie!"? Po raz n-ty przypominał sobie słowa wykładowcy, tu jednak nie było punktu zaczepienia. Spróbował więc odtworzyć cały pokaz historii, Toula i hrabiego, namiestnika i damę, lud i strażników, lilie, miecz i pałkę, ale myślał tylko o nazwach i pojęciach, nie mogąc nic sobie wyobrazić, a kiedy przymykał powieki, widział karlicę, jej puste oko na gładkiej twarzy. Wreszcie dał za wygraną. Był niewypowiedzianie śpiący, nie oczekiwał nawet, że coś mu się przyśni.

Wykładowca, patrząc na pojedynek, widział również zgromadzony w pobliżu lud. Oblegano beczki z winem, rożny z kiełbasą, kramy z pieczywem – widocznie jadło i napitek można było dziś dostać za darmo. Szkarłat dominuje nad centrum pola walki, gdzie pojedynek utknął w martwym punkcie. Hrabia, przynaglany przez strażników, cofnął się nieco, a Toul, znowu w wykopie, wymachuje pięściami i pałką i chyba mówi coś do ludzi, którzy pokładają się ze śmiechu. Strażnicy również śmieją się razem z nimi. Toul wychyla się nagle z wykopu i wykrzykuje coś ku trybunie, na której dostrzec można poruszenie. Przed błękitem i liliami pojawia się gęstniejąca chmura ze stali. Jeden z kontrolerów usiłował odczytać ruchy warg coraz bardziej rozzuchwalonego Toula, ponieważ jednak nie znał języka starofrancuskiego, zdołał odcyfrować tylko nic nie znaczące fonemy.

Chmura przesuwa się również przed seledyn i wkrótce widać już wyłącznie szkarłat.

Wykładowca, nie spuszczając wzroku ze stołu, zaczął zastanawiać się czy nie poprosić o pozwolenie zajęcia tam miejsca. Wymyślił już nawet motywację prośby: zainteresowanie naukowe dla dobra Uniterru, ale kiedy otwierał już usta, po zachowaniu kontrolerów zorientował się, jak bardzo są zaaferowani. Opanował się więc i spróbował dostrzec zajścia na trybunie, gdzie nie było już widać szkarłatu. Kontrolerzy natomiast obserwowali strażników stojących nad wykopem, do którego zbliżało się teraz troje ludzi: mężczyzna i dwie kobiety – wino, precelki i piersi. Właśnie namawiają strażników do picia, a tamci nie wzbraniają się długo; być może chodzi o fraternizację, a może o przekupstwo, może też o zamach na przedstawicieli króla. Toul kontynuuje przemówienie, jeden ze strażników pije, drugi przyłącza się do niego, trzeci sięga kobiecie pod spódnicę, tłum napiera na halabardy, zostaje przytoczona beczka, wokół której gromadzą się ludzie, tłoczno jest również wokół hrabiego; gdzieś w tyle widać płomienie, chmura na trybunie ciemnieje.

Pavlo nie spodziewał się, że coś mu się przyśni, właściwie nawet bał się tego. Tymczasem sen nadszedł szybko i spokojnie, była to opadająca równomiernie ciemność, z której nagle wyłonił się kruk, aby runąć na śpiącego. Pavlo chciał krzyknąć, lecz nie mógł. Kruk za krukiem spadał na niego, on zaś krzyczał bezgłośnie tak długo, aż niebo opustoszało, i wtedy zauważył, że sklepienie niebieskie stało się wklęsłe, a w miarę jak ściany kopuły osuwały się powoli, u góry rozwierała się szczelina. Pavla ogarnął strach przed tą zamgloną szarością pustej kopuły – wiedział, co wynurzy się ze szczeliny. I wreszcie usłyszał swój krzyk.

W tym samym czasie (właśnie kontrolerzy jak jeden mąż wstrzymali raptownie oddechy, a wykładowca zdecydował się w końcu poprosić o zezwolenie na zajęcie miejsca na stołem) transmisja przekazywana do pomieszczenia kontrolnego została przerwana, tym razem na mocy formalnego nakazu. Fakt ten dotknął obserwatorów tak silnie, że nawet nie usiłowali ukryć swego niezadowolenia i zaskoczenia. Wbrew utartym zwyczajom nadal nie zapraszali wykładowcy, by podszedł bliżej, ten jednak – jako że po raz drugi tego dnia i w ogóle w swoim życiu usłyszał w tak bezpośredniej bliskości rozgrywającej się historii głos jednego z Najwyższych – potraktował ten lekceważący gest w kategoriach wyższych niż rozpatrywanie form towarzyskich. On, naoczny świadek konieczności, przeżył wstrząs; oto uświadomił sobie, że również tworzył historię i nadal będzie mógł uczestniczyć w tym procesie. Dlatego właśnie jego odpowiedzialność za losy Uniterru

powinna w przyszłości być większa, a niezadowolenie kontrolerów wypływa po prostu z faktu, że on początkowo zawiódł.

Szef kontrolerów przekazał mu decyzję w sprawie wniosku o zwołanie Nadzwyczajnej Dysputy Naukowej. Należy zrobić

owo impulsywne „nie!" dotyczy nie tyle teorii jako takiej, lecz dawno już przebrzmiałego zjawiska realności.

Pavlo, uszczęśliwiony, że jego „nie!" znalazło wytłumaczenie, które sam uważał za słuszne i właściwe, powiedział „tak!", a

em. Nie wolno

e przebieg dys-
ole, do którego
y konspekt. Na
tować owe za-

wykładowca oddalił się, aby niemal natychmiast powrócić i przedstawić następującą propozycję: skoro istnieje między nami zgoda odnośnie tego „nie!", byłoby wskazane ogłosić ten fakt od razu na początku dysputy. Pavlo, uwolniony od wszelkich kłopotów związanych z przygotowaniami do tego ważnego wydarzenia, ponownie wyraził zgodę.

Co za dzień! Pavlo, łamiąc swoje zasady, zebrał całą gotówkę i w biały dzień udał się do kantyny, gdzie kupił sobie butelkę wina. Pieniędzy starczyło nawet na drugą. Nie przejmował się tym, że koledzy go unikają. Widocznie zaskoczyłem ich i to ich onieśmie-

wszystko, aby DYSNA odbyła się zgodnie ze statu
szukać sposobów zatuszowania sprawy.

– Oczywiście – odparł wykładowca.

W toku dalszej rozmowy poinformowano go, ż
puty zostanie uwieczniony w specjalnym protok
muszą być załączone wniosek, temat i szczegółow
kiedy, bez przesadnego pośpiechu, mógłby przyg
łączniki?

– Czy mogę za dwa dni? – zapytał wykładowc

– To znowu za późno!

Wykładowca udał się do Pavla i po drodze usiłował wyobrazić sobie zakończenie pojedynku, jednak bez powodzenia. Zastanawiała go postawa ludu, odmienna od wszelkich przyjętych norm.

Właściwie, myślał wykładowca, wędrując po Uniterze, nad którym wisiał błękit majowego nieba, to co oglądałem nie było historią, lecz nagromadzeniem chaosu, przypadków dla teorii w ogóle nieistotnych. Wartość poznawcza obejrzanego materiału była bez wątpienia równa zeru. Skoro jednak to co obejrzeli nie było historią, to czym? Po namyśle doszedł do przekonania, że jednak miało to do czynienia z historią, a z kolei z nieprawidłowym przebiegu. Ale czy można tu wyrokować? Nie, gdyż umknęło jego uwadze to, co najistotniejsze, co skłoniło Najwyższe Przywództwo do przerwania transmisji przekazywanej do pomieszczenia kontrolnego. Co się stało? Czy Toul podpadał? Ale tego nikt przecież nie słyszał. Niemoralność? Przecież z tego powodu przerwano już – i słusznie – transmisję w sali wykładowej, a poza tym na pewno nie wydarzyło się już nic bardziej gorszącego niż nieprzyzwoite obnażanie się. Cóż więc? Rozruchy? Ta myśl wstrząsnęła nim. Czyż nie należałoby takiego faktu, działania ludu, ocenić pozytywnie? Oczywiście abstrakcyjnie, nie konkretnie – w tym momencie usłyszał znowu, jak kontrolerzy wstrzymują oddechy, w pożądliwym oczekiwaniu tego, co zakazane i tylko wychowaniu, jakie odebrał wykładowca, można zawdzięczać, że nie uległ zwodzonej raptownie żądzy poznania. Pojął, że w ten sposób doprowadzi do swej zguby, że powinien przerwać swoje rozmyślania. Jeżeli Najwyższa Rada Koleżeńska udaremniła rzucenie okiem na historię nawet sprawdzonym strażnikom, to z pewnością miała ku temu swoje ważne, słuszne, służące dobru całego Uniterru powody. Czyż nie należy więc cieszyć się, że zapobieżono złu, jakie mogło wyniknąć z obserwacji i którego ktoś niepowołany nie jest w stanie ani osądzić ani ocenić? Jak nigdy jeszcze do tej pory wykładowca zrozumiał, że uczonemu w Uniterze nie przystoi uganianie się za poznaniem subiektywnym, lecz podporządkowanie się obiektywnemu, a więc nie materiał poglądowy jest ważny, lecz linia nauczania, a ta była przecież w tym przypadku jasno wytyczona – zwycięstwo Toula jako triumf ludu. W tę stronę należało więc ukierunkować Dysputę Naukową, temu celowi podporządkować konspekt, który musiał być gotowy do godzin południowych następnego dnia... I wtedy wykładowca uświadomił sobie z przerażeniem, że termin ten nie odnosi się do jego konspektu, lecz Pavla, który do tej pory nie ujawnił swych myśli poza tym jednym nasłuchanym „nie!".

Na widok Pavla, jego szczerej, choć bezradnej w tej chwili twarzy, wykładowca zorientował się momentalnie, jak ma postąpić – i jego pewność siebie dopomogła Pavlowi w oprzytomnieniu.

Jeszcze w progu wykładowca oznajmił, że wniosek został zatwierdzony przez kompetentne gremium. Zdecydowano, że DYSNA odbędzie się jak najprędzej, aby nie zdążyło się zatrzeć wrażenie wywołane pokazem. Fakt ten w zupełności usprawiedliwia zastosowanie środków nadzwyczajnych, a mianowicie odstąpienie od złożenia formalnego wniosku i załączników. DYSNA rozpocznie się już nazajutrz w południe, jako czysta, uczciwa próba sił. Cieszy się z tego, bo nic bardziej nie podnosi na duchu niż prawdziwie swobodna, prawdziwie naukowa wymiana poglądów! A więc dziarska dyskusja, bez długiej zabawy w konspekty, referaty i koreferaty! Po to jednak, by on, wykładowca, mógł walczyć z kolegą studentem tą samą bronią, ten powinien mu teraz wyjawić, czego dotyczyło to „nie!".

Pavlo milczał. Wykładowca wyczuł jego całkowitą bezsilność i po krótkiej chwili ciągnął dalej. Chyba ma słuszność sądząc, że owo „nie!" Pavla odnosiło się nie do Historii Rzeczywiście Prawdziwej, lecz do interpretacji, znaczenia pokazu. Było ono wyrazem przekonania kolegi studenta, że materiał pokazowy z racji swego osobliwego charakteru raczej nie może potwierdzić wiarygodności Historii Rzeczywiście Prawdziwej. Inaczej mówiąc,

ta, pomyślał ... ta niezwykła sytuacja zaskoczyła równi
jego samego. Właściwie odpowiadała mu teraz samotność: p
marzył o swojej damie – Jeanne Viole. Widział ją w seledyn
wysmukłej butelki, w szkarłacie zachodzącego słońca, w wiecz
rze o barwie brunatnych lipieni, widział ją w blasku szary
ścian, i zaczął wygłaszać wszystkie argumenty, przy pomocy k
rych zamierzał przystąpić nazajutrz do walki, ona zaś przys
chiwała się im tak długo, aż usnął.

Reszta nocy minęła bez majaków.

Nazajutrz w południe przystąpiono do dysputy. Pav
wszedł na salę rozpromieniony – na tę samą sal
tymi samymi słuchaczami, co poprzedniego dnia.

Odbiornik projekcyjny był uprzątnięty, na katedr
zajął miejsce profesor, niżej stał Pavlo.

W zagajeniu profesor poprosił o wyrozumiałość dla organiz
torów spotkania, którzy dysponując małą ilością czasu nie roz
li konspektów (Jakich konspektów? – pomyślał ze zdumieni
Pavlo), po czym poinformował zebranych o wyznaniu Pavla,
owo „nie!" nie odnosiło się (jakże by inaczej!) do Historii Rzecz
wiście Prawdziwej, lecz do jego, profesora, uwagi o wybitny
znaczeniu pokazu historii dla potwierdzenia wiarygodności H
torii Rzeczywiście Prawdziwej. Następnie wykładowca zapy
Pavla, czy zgadza się z takim przedstawieniem sprawy, na
Pavlo odpowiedział po raz trzeci: – Tak!

Obmyślił już wprawdzie co najmniej tuzin argumentów prz
mawiających na korzyść jego „nie!", nie chciał ich jednak ro
trwonić przedwczesnym atakiem. Należało je raczej przechowa
przyczaić się, wytropić najczulsze miejsce przeciwnika i ta
właśnie zadać decydujący cios – pewnie, z uśmiechem, zręczn
wspaniałomyślnie. Była to nie tyle świadomie obrana takty
skalkulowanych argumentów, co raczej hołd złożony swojej d
mie, improwizacja na temat ducha historii.

Pavlo usiadł skromnie, przy czym zajął odpowiednią postaw
kierując uważnie wzrok na profesora poddał ostatecznemu b
daniu wszystkie swoje argumenty: wyszlifowane do połysku
strze umysłu, wspaniałomyślność wobec przeciwnika, które
nie chciał na razie niszczyć, gdyż pragnął dać mu szansę obron
Jeżeli to widowisko mogło coś wykazać, to tylko sprzeczność p
między teorią Historii Rzeczywiście Prawdziwej a realnością s
mej historii. Wszystko wskazywało na to, że profesor będzie m
kłopoty z uzasadnieniem swojej tezy. Spojrzał z góry na kr
znieruchomiałych w napięciu słuchaczy, odchrząknął kilka raz
wytarł ceremonialnie nos.

– Koleżanki i koledzy studenci... – zaczął, po czym odchrząkn
ponownie i uniósł do góry trzymaną w ręku kartę informacyjn
zielono-brunatną płytkę krzemową, za pomocą której obsługu
się czytnik przy pulpitach. Wsunął ją do przełyku aparatu odcz
tującego i – odwlekając moment włączenia – powiedział niedba
że oto leży przed nim ocena pokazu historii, dokonana przez N
wyższą Radę Koleżeńską. Według tej oceny pokaz ma fenomen
ne znaczenie jako znakomite potwierdzenie Historii Rzeczyw
cie Prawdziwej. Udowodnił w sposób poglądowy, niepodwa
lny i dla każdego zrozumiały, że miniona epoka, ciemna, prz
zwyciężona dopiero w czasach Uniterru, była rzeczywiście cie
na i rzeczywiście miniona, a więc jest ostatecznie przezwycięż
na.

Po chwili absolutnego milczenia, podczas której misterna obr
na Pavla rozsypywała się w proch, profesor spojrzał pokonan
mu prosto w oczy, ujrzał na twarzy oponenta bladą, osobliw
szarość i ogarnięty współczuciem, oszczędził przeciwnikowi g
ryczy przyznania się do porażki. Po długotrwałych, huragan
wych owacjach oświadczył, że uważa tę zgodną aprobatę wszy
kich obecnych za zlecenie na przeprowadzenie Dysputy Nauk
wej dotyczącej tej oceny – niezrównanej, wnikliwej, dokładn
wytyczającej drogę i mobilizującej wszystkich ludzi oddany
Historii Rzeczywiście Prawdziwej do jeszcze większych osią
nięć. Następnie odczytał konspekt spontanicznie opracowa
przez jednego z najbardziej zaangażowanych kolegów stud

tów (tu wymienił nazwisko; ponowny aplauz), tekst konspektu pojawił się na ekranach czytników i DYSNA została przeprowadzona.

Późnym wieczorem, po zakończeniu dysputy, Pavlo otoczony pustką wyszedł wraz z innymi i postanowił udać się jeszcze raz do kantyny, aby wyżebrać kredyt na kolejną butelkę wina. W odpychającej minie kolegi, który pełnił dyżur barmana z góry wyczytał odmowę, mimo to jednak zdecydował się wypowiedzieć swoją prośbę. Kiedy jednak zbliżył się do baru, a zaciskająca się wokół niego pustka wytłoczyła z niego powietrze, zatrzymał się. Ucisk był coraz bardziej nieznośny, a kiedy do jego uszu dobiegł ponadto pomruk zebranych, Pavlo postanowił wrócić do domu. W tym momencie podszedł do niego znajomy, jeden z operatorów filmowych, i zapytał, czy może porozmawiać z nim poufnie. Widząc wahanie Pavla, zaprosił go na wino.

Kiedy obaj siedzieli już w celi mieszkalnej Pavla przy kilku butelkach wina, operator zapytał wprost, czy Pavlo może mu wyjaśnić, co właściwie wydarzyło się w Traulec w 1409 r. Wprawdzie oglądał te wydarzenia na filmie, ale nic z tego nie zrozumiał.

– Ja też nie – odparł Pavlo opróżniając kieliszek – a poza tym transmisja przekazywana do audytorium została przerwana za wcześnie. Czy operatorzy nie widzieli dalszego ciągu?

I wtedy, prosząc uprzednio o ścisłą dyskrecję, operator opowiedział ściszonym głosem to, czego nie byli w stanie obejrzeć ani studenci, ani kontrolerzy.

Po wepchnięciu Toula z powrotem do wykopu de Traulec zadał synowi kilka ciosów mieczem, ten bronił się swoją groźną pałką tak długo, aż ponad głowami strażników fruneła długa, zakończona pętlą lina, która spętała hrabiego jak zająca. Wtedy to lud wtargnął na pole walki, zepchnął de Trauleca do wykopu, a wyciągniętego stamtąd Toula poniósł na ramionach. Tak przedefilowali przed trybuną, pod łopoczącymi w górze sztandarami, na których widniały lilie.

– Lud, który zwyciężył, pod sztandarami króla; rozumiesz? – nie mógł wyjść z podziwu operator, a Pavlo pokręcił głową. Nie, nic z tego nie rozumiał, opróżnił następny kieliszek i zapytał o damę. Operator wzruszył ramionami. Potem już jej nie widział, zresztą nie zwracał na nią uwagi, gdyż działo się tyle...

– Co było później? – zapytał Pavlo.

Jego przyjaciel, który zaczął już pogrążać się we wspomnieniach, drgnął. Tak, potem coś się wydarzyło na trybunie, w tłumie zbrojnych otaczających intendenta, ale nie widział dokładnie co. Jego kamera obejmowała obszar bezpośrednio przy wykopie, w którym – o tym zapomniał powiedzieć – zezwierzęcony tłum zatratował hrabiego. Znowu zadał to pytanie. Czy Pavlo potrafi wytłumaczyć fakt, że lud, najwidoczniej nie ciemiężony, gdyż chodzący w biały dzień z bronią, zrzuca z siebie owo jarzmo bez ucisku, aby rozwinąć sztandar króla, niczym sztandar wolności? Nachylił się do ucha Pavla i dodał, że nazajutrz musi przynieść na szkolenie oceniający artykuł dyskusyjny i chciałby, żeby Pavlo mu wyjaśnił jaki jest stosunek Historii Rzeczywiście Prawdziwej do tego zwariowanego wydarzenia?

Pavlo wzbraniał się przed odpowiedzią, ale kiedy przyjaciel podsunął mu butelkę wina, mruknął jakby od niechcenia, że istnieje obowiązująca ocena oficjalna, jest ona jednak ściśle poufna. Gdy jednak tamten podsunął drugą butelkę, ujawnił ocenę uchwaloną przez Najwyższą Radę. Operator zawołał z ulgą:

Tym razem ujrzał damę, ale tylko przez chwilę. Stał w wykopie, a ona szła ku niemu, widział jej seledyn i szkarłat jej trzewików. Wyprostował się, aby spojrzeć jej w twarz, ale był za nisko. Tak więc nachylił się pokornie do rąbka seledynu tuż nad szkarłatem i raptem stanęła przed nim karlica. Pavlo zdrętwiał z przerażenia, zamierzył się na nią pięścią, lecz ramiona poroszały się jakby były z ołowiu. Chciał krzyknąć: odejdź! odejdź stąd!, ale z ust wydobyło mu się jedynie skomlenie. Karlica stała w rozkroku, a Pavlo nie odrywał oczu od jej nóg, bał się pustego oka bez powieki i brwi; patrzył więc na jej gołe, rozkraczone nogi, i wtedy karlica uniosła suknię. Suknia była zielona, Pavlo chciał odwrócić wzrok, ale nie mógł, widział karlicę unoszącą suknię, gołe kostki, gołe łydki, gołe kolana, gołe uda, blade, rozrzedzone ciało, karlica uniosła materiał jeszcze wyżej, rozkraczając się coraz bardziej, a Pavlo pełen odrazy i pożądliwości, chłonął wzrokiem to widowisko. Ogarnęło go przerażenie i zbudził się. Dręczyły go mdłości, był spocony, chciało mu się pić. Zatoczył się w stronę kranu, aby się umyć i wtedy uświadomił sobie z przerażeniem, że to biały dzień. Zaklinał się, że nigdy już nie tknie alkoholu, ale w tym momencie nudności prące z żołądka przerwały tamę. Zapragnął kieliszka wódki, poczuł, że kręci mu się w głowie, usiadł więc i wpatrzony w zieleń pustej butelki zaczął rozmyślać, skąd wziąć pieniądze na to, by pokonać mdłości.

Znajomy pomógł mu również i tym razem. Pamiętał o znakomitym artykule, który dzięki Pavlowi przyniósł na szkolenie i zaoferował w rewanżu pieniądze. Dzięki temu Pavlo mógł napić się znowu. Nie ujrzał damy, lecz nie było już także karlicy. Zaczął więc pożyczać to tu, to tam, pił wódkę zamiast wina, potem samogon zamiast wódki, a wkrótce, staczając się coraz bardziej, myślał już tylko o tym, jak swą wiedzę filozoficzną wykorzystać do zdobywania pieniędzy. W zestawieniu znaków logicznych oznaczających implikacje i replikacje, czyli w strzałce skierowanej na prawo i na lewo, dostrzegł symbol wzajemnej podpory, a przetwarzając to w sferę mechaniki odkrył na nowo zapomnianą już od wieków agrafkę. Zgłosił to jako patent, a następnie bogatszy o doświadczenie płynące z faktu, że zarobek przekazany został nie jemu, lecz laboratorium jego uczelni, postanowił realizować swoje pomysły sam. Od tej pory produkowany przez siebie towar sprzedawał bezpośrednio. Zamiast instalowanego przy uchwytach do garnków izolatora, który miał funkcjonować na zasadzie przemiany ciepła w zimno, ale nie zdał egzaminu, wynalazł rękawice do garnków. Pomysł został szybko rozpowszechniony, wkrótce jednak zaczęto kopiować go bez żadnych skrupułów. Pavlo wyciągnął z tego wniosek, że wynalazki muszą być w miarę skomplikowane, o ile mają przynosić zysk. Dla meteorologów wynalazł przyrząd do sortowania płatków śniegu, poza tym okulary do lokalizacji zapachów, aparat liczący włosy, oraz – ale tylko do własnego użytku – rejestrator snów, który nie na wiele się przydał, bowiem pozostały mu do dyspozycji już tylko dwa sny. W pierwszym wpadł do rowu i dziwił się, że nikt mu nie pomaga wydostać się stamtąd, a w drugim... – ale nie, to zbyt przykre, nie mówmy już o tym.

Pavlo poza metodą spoglądania w przyszłość, polegającą na wykorzystaniu ilorazów antyprzyczynowych, odkrył na nowo pędzel (do naklejania tapet, gdyż tłoczenie kleju nie dawało spodziewanych rezultatów), solniczkę, podgrzewacz herbaty, kieliszki do jaj, zapinane na guziki obuwie do chodzenia po ulicach Uniterru. Był już bliski wynalezienia zamka błyskawicznego do odzieży (dla przyjaciółki szefa Oddziału Kontrolnego; byłby wtedy wolny od trosk finansowych do końca życia)...

– Otóż to! Miniona i ciemna! To tłumaczy wszystko! Ostatecznie przezwyciężona! – po czym pożegnał się śpiesznie, a Pavlo został sam ze swoim zapasem wina.

„Pił do ... [illegible] ... się jej seledynu, widział jednak tylko zieleń pojemnika kryjącego w sobie syntetyczny produkt W4. W trakcie tego picia usnął przy stole. Ale we śnie również nie odnalazł damy.

Tępe zamroczenie połączone z mdłościami i osłabieniem – oto czym powitał go ranek. Pavlo nie poszedł na seminarium historyczne (przypuszczał niesłusznie zresztą, że został wykreślony z listy słuchaczy uczęszczających na wykłady), chcąc przezwyciężyć mdłości łapczywie wypił zawartość drugiej butelki, po czym w biały dzień położył się spać.

Franz FÜHMANN

Ur. w 1922 r. w Rokytnicach (Czechosłowacja). Prozaik, poeta, eseista, tłumacz. W latach sześćdziesiątych publikował utwory dotyczące problematyki wojny i faszyzmu, m.in. tomy opowiadań: „Kameraden" (1955), „Kapitulation" (1958), „Fronten" (1960), „Das Judenauto" (1962). Był dziennikarzem i publicystą, mieszkał w Berlinie. W latach siedemdziesiątych podejmował tematykę współczesnego społeczeństwa NRD (tom opowiadań „Bagatelle, Rundum positiv", 1977, pamiętnik zatytułowany „22 Tage oder die Hälfte des Lebens", 1973; zbiór esejów: „Erfahrungen und Widersprüche", 1975). Na język polski przełożono jego krótkie formy prozatorskie „Żongler w kinie" (1974) i „Król Edyp" (1979), a także pamiętnik „22 dni albo połowa życia" (1976). W antologii opowiadań SF pisarzy Niemieckiej Republiki Demokratycznej – „Niemoc" (wyd. Poznańskie, 1983) znajduje się tekst F. Fühmanna, który dał tytuł całemu tomowi.

Opowiadanie „Pojedynek" pochodzi z recenzowanego niedawno w „Fantastyce" (nr 12/85) tomu „Saiäns-Fiktschen". (en)

– Powiem ci, Jym. Siedzi sobie gdzieś przy przyrządach celowniczych Broni Chaosu i rozbija doszczętnie naszą obronę, ilekroć próbujemy wejść w kontakt bojowy z flotyllą Ra, która wciąż przekracza styk.

Wildheit leżał na wznak, przyswajając sobie tę informację ze spokojem. Potem znów się nachylił.

– Cass, co się stało z okrętem żandarmerii? – spytał Hovera.

– To osobna historia. Zmyslowcy ściągneli go na Mayo. Na szczeście strażnik Dabria czekał przygotowany na taką ewentualność. Przechwycił okręt wraz z tobą i dwoma troche zmarnowanymi facetami na pokładzie. Kiedy uprzytomnił sobie, co znalazł, skontaktował się z Sarayą i poprosil nas, byśmy przylecieli i was zabrali.

– A sam okret, Cass? Czy jest cały?

– Dopiero bedzie. Jak go zobaczyliśmy, wyglądał jak zbiorowisko oddzielnych kawałków, bowiem jego poprzedni pasażerowie rozkręcili wszystko, co mogli. Bedziesz musiał skończyć z tym przyzwyczajeniem, Jym. Demontowanie statku kosmicznego podczas lotu w przestrzeni może ci nie wyjść na zdrowie. Potrzebne były dwa statki-laboratoria i zespół montażowy przez prawie miesiąc na równinach planety Mayo, by złożyć te kawałki do kupy.

– Czy jest teraz na chodzie?

– Specjaliści zapewniają, że tak. Bardzo dobrze się składa. Jest to jedyny pojazd, jakim rozporządzamy, który może zabrać ciebie, mnie i jeszcze paru innych do styku wszechświatów na umówione spotkanie z pewną panienką, której upadek nazbyt się opóźnia.

– A Kasdeya i Penemue? Przeżyli?

– Podobnie jak i ty wymagali intensywnego leczenia, ale udalo się nam ich obu wyciągnąć. W końcu przyszli do siebie, wcześniej niż ty i nawet pomagali przy remoncie okrętu żandarmerii.

– Będą n:m potrzebni do nawigacji przez styk. Żal mi Coula. Dlaczego oddał swoje życie tylko dlatego, żeby przesz:odzić Różdżce w porwaniu statku?

– Talloth to wytlumaczył. Razem z Coulem uważał, że Zmyslowcy, będąc na wolności, stanowiliby znacznie wi:ksze zagrożenie dla rodzaju ludzkiego, aniżeli Ra i wszyscy obcy razem wzięci. Saraya twierdził w zasadzie to samo. Zamierzamy zrobić coś w tej sprawie, kiedy skończy się ta cała awantura.

– Czy dadzą mi jakieś inne symbiotyczne bóstwo?

– Wątpię, Jym. I tak jesteś pierwszą istotą ludzką, która przeżyła zerwanie symbiotycznej więzi. Ponownr jej zadzierzgniecie byłoby kuszeniem losu. Teraz musze przywrócić ci twoją dawną formę i będziesz pracował jak szalony. Im wcześniej rozwalimy Broń Chaosu, tym szybciej będziemy mogli powrócić do naszych zwykłych zajęć.

– ..ie mogę się tego doczekać.

– . tak przy okazji, sądzisz, że to sie przyjmie, Jym?

– ..o ma się przyjąć?

– ..ota skóra. Mogłaby zapanować taka moda. Cały żeński personel jest niezwykle zaintrygowany. Tru.. o ci będzie uwolnić się od przydomka Zlota Bestia.

– . kto by chciał? To zaleta, Cass. Za godziwą cenę powiem ci, jak się to robi.

ROZDZIAŁ 9

W miarę upływu czasu bezgłośne wibracje, którym byli poddani, zaczęły stopniowo słabnąć, aż wreszcie ustały. Ekrany pokazywały wyraźnie, jak jednostki wrogich sił odłączały się od formacji i wycofywały z walki. Choć bitwa była wygrana, Różdżka nadal wskazywała nowe obiekty, a Wildheit strzelał, dopóki ostatni z niedobitków nie znalazł się poza zasięgiem rażenia.

W ferworze walki nadinspektor tak był pochłonięty koniecznością utrzymania wysokiego tempa ognia do celów wskazywanych mu przez Różdżkę, że ani razu nie pomyślał o tym, jak wielki jest ich sukces. Teraz, gdy bitwa wygasła, błądził wzrokiem po licznikach tablicy sterowniczej. Wykres w systemie dwunastkowym informował, że oddano dwieście dziewiętnaście strzałów i każdy z nich zniszczył jeden okręt. Zdumiewające!

Wildheit uświadomił sobie nagle, że wokół nich pojawili się widzowie. W chwili, gdy bitwa została zakończona, pięciu z załogi statku zgromadziło się, by obserwować, jak rozprawiano się z niedobitkami.

– Taka celność jest nie tylko niewiarygodna, nadinspektorze, ale wręcz niemożliwa! – przemówił wreszcie Kasdeya.

– Po prostu mam dobry dzień – odparł Wildheit z krzywym uśmiechem.

– Ja nie żartuję, nadinspektorze. Znamy potencjał tej broni i granice ludzkich możliwości. Przekroczyłeś i jedno i drugie z nieprawdopodobnym naddatkiem. W jaki sposób?

Wildheit spojrzał pytająco na Różdżkę, a ona odparła.

– Wzory Chaosu nosiły w sobie zapowiedź zniszczenia tych okretów – powiedziała. – Należało tylko ustalić czas i określić pozycję.

– Oczywiście, możliwe jest przeprowadzenie tego rodzaju obliczeń Chaosu, ale tylko dla pojedynczego przypadku i szerokiej skali odniesienia. W dodatku potrzeba na to około dwóch dni. – Widać było, że Kasdeya myśli intensywnie. – W żaden sposób nie można obliczyć w mgnieniu oka setek punktów Omegi Chaosu.

– To możliwe pod warunkiem, że widzi się wzory. – Różdżka powiedziała to bardzo spokojnie, ale najwyraźniej miała świadomość, jakie wrażenie wywołają jej słowa.

Pięciu członków załogi przeszyła strzała nieufności, opleciona nicią rosnącej nadziei.

– Ty zwariowany kurczaku! – wydusił z siebie Kasdeya – chcesz powiedzieć, że potrafisz odczytywać wzory wprost?

– To prawda – powiedział Wildheit. – Gdyby nie ta zdolność, nadal znajdowalibyśmy się na statku Rhaqui, który zniszczyła Broń Chaosu.

Na twarzy Kasdei odmalował się nagle wyraz zrozumienia.

– Ach, to wiele tłumaczy! Niedawno zauważyliśmy odkształcenie continuum, wskazujące na działanie Broni Chaosu. Nie sądziliśmy, że istnieje cel na Obrzeżu tak ważny, aby nasi wrogowie zużytkowali aż tyle energii. Nasze przyrządy podały, że Broń ta pochłania energię rzędu około dziesięciu mas gwiezdnych na sekundę. Udaliśmy się, by to zbadać, znaleźliśmy jednak tylko was w statku ratunkowym. Wtedy nic z tego nie zrozumieliśmy.

– A teraz? – spytał Wildheit.

– Oczywiście, że tak. Wyjaśnia to również rozmiary tej ostatniej zasadzki. Nie znaleźli żadnej katastrofy, którą mogliby spotęgować, więc wysłali w zamian całą flotę. Tej pułapki jednak wcale nie zastawiano na nas. To wam deptano po piętach.

– Nie do wiary.

– Nie do wiary, ale nie dla nas. Nadinspektorze, przecież ty i ta dziewczyna zdajecie się być najważniejszymi osobami w całym wszechświecie. Ktoś, kto przepowiada ze wzorów Chaosu przyszłość, nie przejmuje się specjalnie tym, co widzi, odczytując je. Natomiast przebiegając łańcuch przyczynowo-skutkowy wstecz, ma nadzieję znaleźć możliwość takiej zmiany jakiegoś elementu, która w następstwie uchroni go od nieszczęścia.

– W jaki sposób mógłby ten ktoś dojść do Różdżki i do mnie?

– To nic nadzwyczajnego. Wy, Terranie, macie takie przysłowie, które brzmi mniej więcej: „...nie ma

gwoździa - już po podkowie, nie ma podkowy - już po koniu, nie ma konia - już po jeźdźcu". O gwoździu wystarczy wiedzieć tylko tyle, czy jest, czy go nie ma. Ty i ona jesteście gwoździem, inspektorze. A bitwa, którą jeździec mógłby wygrać, musi się dopiero rozegrać. Jednakże związek między wami i zdarzeniem, czyli bitwą, jest już ustalony we wzorach Chaosu.

– Czy to prawda, Różdżko?

– Brzmi naiwnie, ale słusznie. Ktoś bada wstecz układ zbieżnych osi, idąc od przyszłego skutku do zaistniałej w przeszłości przyczyny. Stoimy na przeciwległych końcach tego samego łańcucha przyczynowego, katalizując serie zdarzeń, które grożą wszechświatowi wielkim pożarem. Nawiązując do porównania Kasdei, można powiedzieć, że niedawna zasadzka, mająca nie dopuścić do znalezienia gwoździa, stanowiła próbę zniszczenia podkowy.

– W takim razie, co stanie się dalej? – spytał Wildheit.

– Myślę, że w następnej kolejności będą usiłowali zastrzelić konia – uśmiechnął się ponuro Kasdeya. – Zdaje się, że niesłusznie posądziłem Saraye o nieznajomość tej gry. Szkoda gadać, ten chytry lis wymyślił własną grę, stosując całkowicie nowy zbiór prawideł własnego pomysłu. Mistrzowskie pociągnięcie. Inspektorze, musimy opuścić tę strefę, zanim przyślą posiłki. Chcę naradzić się z załogą, a potem chyba będziemy mieli dla ciebie pewną propozycję.

– Czy uzyskałem dla nas wolność?

– Nie tylko – osiągnąłeś znacznie więcej. Weź broń z powrotem, inspektorze, jeżeli ma ci to dać lepsze samopoczucie. Zamierzamy przygotować statek do szybkiego lotu. Na dźwięk alarmu, oznaczającego skok w przestrzeni, połóżcie się i zaciśnijcie zęby na czymś miękkim. Wydostawanie się stąd będzie przykre.

W czasie, gdy pięciu z załogi krzątało się przy układzie sterowania statkiem, Wildheit z Różdżką udali się w kierunku ładowni, w której została broń. Znów uderzyła go osobliwa konstrukcja statku. Wildheit miał wrażenie, iż wszystkie problemy techniczne były tu rozwiązane mądrze, lecz zostało to dokonane przez kulturę całkowicie mu obcą. Było w tym statku coś obcego, chociaż z pewnością zaprojektowały go, skonstruowały i wykorzystują istoty ludzkie. Nieuchronna była myśl o istnieniu w przestrzeni innej ludzkiej cywilizacji, jednakże taką możliwość odrzucały zarówno jego przeczucia jak i wiedza. Wiedział o istnieniu we wszechświecie całkowicie obcych kultur, lecz nie znał poza Terrą żadnej innej planety, która zrodziłaby rasę ludzką.

Wildheit odzyskał pas z bronią i sprawdził zapas pocisków i pojemników z gazem. Niezbyt oszczędne używanie broni, odkąd pozyskał Jasnowidza Chaosu, nadwerężyło stan amunicji. Można było ją uzupełnić tylko w jednej z baz strategicznych, rozsianych na terenie galaktyki. Mimo to wciąż był dostatecznie uzbrojony, by stoczyć całkiem dużą bitwę, jeśli zajdzie konieczność.

.żadnej nadziei. Cass, prze-

wprowadzony z powrotem
dlaczego.

Znajdowali się jeszcze w ładowni, gdy rozległ się alarm, zapowiadający skok przestrzenny. Posłuszni instrukcjom, padli na pokład – Różdżka zagryzając kawałek zwiniętej tkaniny, a Wildheit z wciśniętym między szczęki podwójnie złożonym bandażem. Skok rozpoczął się. Najpierw tym samym zmysłowym dreszczem, którego doświadczyli już wcześniej. Następnie dreszcz, [illegible]jąc zarówno rozkosz, jak i męczarnie, jedno i drugie na granicy wytrzymałości. Ponad ramieniem Wildheita bezszelestnie unosiło się zaniepokojone, symbiotyczne bóstwo, sięgając swymi nieziemskimi mackami w głąb, aż do serca nadinspektora.

Podczas gdy ciało Wildheita poddane było ciężkiej próbie, jego umysł rozpaczliwie usiłował zanalizować osobliwy charakter zjawiska. Przy znanych mu skokach w podprzestrzeni unikano relatywistycznych ograniczeń granicy prędkości światła, stosując zjawisko tunelowe, które przeprowadzało statek przez zakazaną strefę prędkości światła w przestrzeń tachionową. Na obszarze, gdzie nic nie porusza się z mniejszą prędkością niż światło, znane prawa fizyki zostają odwrócone. Jeżeli w czasie trwania skoku nie zachodzą żadne zmiany prędkości, skutki wywołane przez względność podczas wchodzenia i opuszczania przestrzeni tachionowej znoszą się wzajemnie i nie następuje zjawisko dylatacji czasu.

Ten skok, który poddał ciała Wildheita i Różdżki takim torturom, miał zupełnie odmienny charakter. Nadinspektor doszedł do wniosku, że odbierane przez nich wrażenia były symptomem próby adaptacji zmysłów do przyrostów zmieniającego się czasu. Statek w jakiś niezrozumiały sposób nie przekroczył granicy prędkości światła, lecz przesuwał się przez nią jak przez sieć, przemykając przez przypadkowe

– Pomóż mi. Już prawie nadszedł czas.

Coul zesztywniał, jak gdyby to on sam reagował na twór wyobraźni Wildheita. Na statku wydarzyła się jakaś katastrofa. Pozostałą i tak niewielką ilość powietrza zatruł cierpki, duszący płuca dym.

– Nadszedł czas... teraz...

Wybuch wstrząsnął Wildheitem. Narastający ból ramienia stawał się nieznośny. Nadinspektor odczuwał go tak, jak gdyby Coul wyrywał nić łączącej ich ciała symbiozy. Próbował zapanować nad bólem, który wzmagał się jednak tak bardzo, że Wildheit cierpiał śmiertelne męki. Krzyczał głośno, dopóki utrata przytomności nie uwolniła go od dalszych cierpień. Potem ogarnęła go wieczna ciemność, w której rozległo się przeciągłe wołanie.

– Żegnaj, nadinspektorze! Żegnaj!

*

To, co nastąpiło później, nie było dla Wildheita ani śmiercią, ani życiem. Zapadał w wielką otchłań, do której napływały i z której odpływały na pół odczuwalne, nic nie znaczące doznania. Zdawał sobie sprawę z upływu czasu, ale nie wiedział i nie dbał o to ile go minęło i na co został przeznaczony. Jedynym doznaniem, które czuł w pełni świadomie, był potworny ból ramienia świdrujący w dół, w kierunku serca.

Niektóre epizody pamiętał albo wydawało mu się, że pamięta. Nie mógł jednak ustalić, czy rzeczywiście miały miejsce czy też były okruchami wskrzeszonej pamięci. Przychodzili ludzie i stawali nad nim. Niewidoczne ręce poruszały białymi pałkami. Wciągał w płuca silny zapach fiołków, który ofiarował mu dni, a może i całą wieczność wypoczynku.

– Spokojnie, Jym. Już po wszystkim!

– Cass?!

Nad krawędzią szpitalnego łóżka zobaczył parę krótkich służbowych szortów, z których wystawała para najzgrabniejszych męskich nóg, jakie kiedykolwiek widział. Spojrzał w górę i ujrzał strapionego Nadinspektora Przestrzeni Hovera. Wildheit próbował usiąść, lecz ból ramienia sprawił, że opadł z powrotem na łóżko.

– Cass, gdzie ja jestem, do diabła?

– W lazarecie krążownika Wojsk Przestrzeni „Gwiezdny Skorpion", jeżeli odpowiedź ta cię zadowala. Byłeś naprawdę bardzo chory.

– Pamiętam... koniec starego wszechświata... na okręcie żandarmerii Ra. cież nie mogłem z tego wyjść żywy!

– Spokojnie, stary! Cały statek został wyrwany ze starego wszechświata i do nowego. Nic wiemy dokładnie, jak się to stało, ale wiemy, kto to zrobił.

– Coul?

– Nie. Według Tailotha, Coul usiłował temu przeszkodzić. W ostatniej chwili próbował zatrzymać statek tam, na miejscu, ale mu się nie udało. Sam zginął w ognistej kuli. Dokonali tego jasnowidzowie Zmysłowców dzięki Różdżce, która wydobyła statek zogniskowanym teleprzenośnikiem.

– Śniło mi się, że widziałem Różdżkę, jak mówiła do Coula, żeby się nie wtrącał.

– Wygląda na to, że dotarło do ciebie coś z tego, co się teraz tutaj dzieje. Chociaż ona nie ciebie próbowała ratować. Zależało jej na okręcie.

– Dlaczego, do licha?

– Tylko brak statków kosmicznych powodował, że jasnowidzowie nie mogli opuścić Mayo. Kiedy Różdżka znalazła się poza obszarem planety, mieli wreszcie okazję wykorzystać swoje moce duchowe ogniskując je na niej i porwać statek. Przypuszczamy, że Różdżce zależało na tej jednostce.

– Dlaczego?

– Jest dosyć mały i łatwy w obsłudze, a poza tym udowodniłeś, że przedostaje się przez styk wszechświatów. Potrzebowała właśnie czegoś takiego. Jedynie dzięki niemu mogłaby kiedyś wrócić do swoich.

– Gdzie jest teraz?

Wewnątrz kręgu świetlnego utworzyła się druga kula promieniowania o temperaturze i właściwościach nie mieszczących się w żadnym z powszechnie przyjętych systemów fizyki. Rozszczepione atomy były w tej nowej kuli tak zagęszczone i promieniotwórcze, iż wkrótce nawet czarna dziura wchłonięta została przez ten jeszcze bardziej osobliwy twór.

Wildheit usłyszał, że Penemue traci z wrażenia oddech. Odwrócił wzrok od gigantycznego jądra, aby łacznie obserwować wirującą burzę, która siała zniszczenie w pozostałej części przestrzeni. Podczas gdy wcześniej ruch gwiazd był niedostrzegalny, teraz pochwycił je potężny wir, zdążający spiralnie i coraz szybciej w kierunku jądra. Zafascynowani widzowie dostrzegli, jak potężny wir przybiera na sile i na szybkości. Cały wszechświat zbiegał się ze wszystkich stron, a jego części przepychały się, szturchały wzajemnie, eksplodowały i rozpadały w szaleńczym, desperackim pędzie, by połączyć się w jedno w ramach tego osobliwego końca wszystkiego.

Wildheit, by przekonać się, że okręt żandarmerii dołączył do kosmicznego biegu po śmierć, nie musiał sprawdzać tego na przyrządach. Rozmiary olbrzymiej kuli wciąż rosły. Jeszcze szybciej wzmagała się prędkość pędzącego w jego kierunku gwiezdnego tworzywa. Włączane do spiralnego leja, zmiażdżone w procesie samoniszczenia słońca ścieśniały się coraz bardziej. Nasilenie promieniowania w przestrzeni wzrosło do tego stopnia, że urządzenia chłodzące statku nie znajdowały ujścia dla nadmiaru własnego gromadzonego ciepła. Temperatura wewnątrz osiągała niepokojące wartości. Fakt ten nie zdenerwował specjalnie Wildeita, Penemue'go i Kasdei, ponieważ było rzeczą oczywistą, iż wraz z ustaniem pracy silników, coś stanie się z dopływem powietrza na statek. Powoli zaczynali pogrążać się w przyjemnym nawet stanie letargu, któremu towarzyszyło silne uczucie senności.

Wildheit, spływając potem, z nadzwyczajną trudnością pozostał na jawie. Raz po raz zapadał w przerywany półsen, budząc się jedynie, aby odnotować nieubłagane posuwanie się statku ku potężnemu, straszliwemu przeznaczeniu. Jakaś przytomnie funkcjonująca część jego mózgu dawała mu do zrozumienia, że zaczyna majaczyć i że jego obecny stan świadomości jest w gruncie rzeczy najprzyjemniejszą formą śmierci. Mimo wszystko instynkt samozachowawczy zmusił go do powstania i przejścia w stronę nieznośnie gorącego pulpitu sterowniczego, by zbadać szanse przeżycia.

Nadinspektor uświadomił sobie, że nie ma w zasadzie pojęcia, co chciałby osiągnąć. Nawet gdyby silniki były w dobrym stanie, wątpliwe, czy udałoby im się wyciągnąć okręt z olbrzymiej, grawitacyjnej studni, która teraz pochłaniała gwałtownie całe galaktyki. Wildheit nie znał przyrządów do tego stopnia, żeby pojąć przyczyny awarii silników. Kaseya i Penemue sprawiali wrażenie pogodzonych ze śmiercią. Wildheit zaklął i słaniając się na nogach zszedł pod pokład z nie do końca sprecyzowanym zamiarem przyjrzenia się silnikom.

Z dala od sterowni powietrze zdawało się chłodniejsze i łatwiej było oddychać. Być może zawierało odrobinę więcej życiodajnego tlenu. Wildheit przyjął to z zadowoleniem, chociaż wiedział skądinąd, że to może jedynie przedłużyć jego męczarnie. Wielokrotnie tracił wątek myśli i w każdym zakamarku, za każdym włazem podobieństwo linii, form i kształtów wskrzeszało w nim okruchy pamięci.

Skafander ratunkowy w ciemnym narożniku przywodził mu na myśl Sarayę - czarnego nietoperza w rozwianym płaszczu. Snop światła, wpadający przez pobliski iluminator, nasuwał na myśl ogień widziany przez okno do piekła. Kolejna wizja - Cass Hover, który na swoich nowych nogach spieszył, by pomóc poruszającemu się chwiejnie nadinspektorowi - zniknęła, kiedy podszedł bliżej. W ciemnej komorze silnika ukazała się stojąca postać Różdżki. Twarz miała przepełnioną rozpaczą, a ramiona wyciągnięte w błagalnym geście. Widok ten był tak realny, że Wildheit niemal słyszał wypowiadane ustami dziewczyny słowa.

- Coul, proszę, nie wracaj się!

Wildheit, zdziwiony tym dziwnym żądaniem, uświadomił sobie, że bóstwo nadal jest obecne na jego ramieniu.

- Ile jeszcze do końca, Coul?

- Już niewiele. Dawne gwiazdy zostaną na nowo stworzone. Nawet atomy zostaną rozbite i złożone na nowo. Dla bogów nadeszły ciężkie czasy.

Obraz Różdżki rozpłynął się, po czym znów powrócił. Tym razem zwróciła się do kogoś gdzie indziej. Słowa sprawiały wrażenie rzeczywistych, nie urojonych.

przerwy ściany światła na podobieństwo wody przesączającej się przez kamienne podłoże. Siła tego zjawiska nie była stała, lecz zmieniała się nieustannie, atakując falami.

Wildheitowi udało się zerknąć na Różdżkę. Zagrażający jego własnej świadomości natłok wrażeń podwoił niepokój o dziewczynę. Czy ta ciężka próba nie przekracza przypadkiem jej wytrzymałości? Odkrył w twarzy Różdżki coś, co zarówno rozproszyło jego obawy, jak i wstrząsnęło nim. Ujrzał ten sam spokój, co wówczas gdy znalazł dziewczynę w kabinie na statku Rhaqui, z dwiema Cygankami u jej stóp. Był wyrazem jakiejś straszliwej wewnętrznej siły, znacznie przewyższającej jego własną. Przypomniał sobie pożegnalne słowa Pilona na Mayo: „... traktuj gwiazdy łagodnie, maleńka. Może kilka z nich przetrwa".

Obliczywszy przypuszczalną ilość istnień ludzkich, które uległy zagładzie od chwili wypowiedzenia tej przestrogi, nadinspektor uwierzył Pilonowi, że reszta wszechświata nie jest jeszcze gotowa do kontaktów z jasnowidzami.

Gwałtowny wstrząs następnej fazy skoku ugodził w nich z taką siłą, że nawet Różdżka krzyknęła. Pochwyciła ich miażdżąca fala ciemności, która usiłowała jak gdyby wyssać z nich życie, pozostawiając jedynie pustą, cielesną powłokę. Wildheit walczył z tym doznaniem, lecz wkrótce mu uległ. Czuł, jak jego ciało brutalnie pozbawiane jest sił witalnych i nie może się temu oprzeć. Wkrótce czas stracił dla niego jakiekolwiek znaczenie. Gdy po upływie bliżej nieokreślonej chwili odzyskał świadomość, stwierdził, że wszystkie związane ze skokiem wrażenia ustały. Różdżka usiłowała sprawiać wrażenie, jakby nie stało się nic szczególnego, ale miała wielce zdziwioną minę.

Wildheit podniósł się i pomacał głowę, chcąc upewnić się, że jest cała. Coul, zgaszony, przycupnął na ramieniu nadinspektora.

- Ach! - rzekł Wildheit. - Kiedy ci chłopcy zapowiadają, że skok będzie przykry, to z pewnością nie można im zarzucić przesady.

- „Ci chłopcy", jak ich nazywasz, mają wzory, z których odczytać można przeszłość aż do początków zarejestrowanej historii Terry. - Coś trapiło Różdżkę. - Gdzie teraz jesteśmy? - spytała.

- Po takim skoku mogliśmy znaleźć się w dowolnym punkcie galaktyki.

- Nie miałam na myśli położenia w stosunku do gwiazd. Chciałam spytać, w którym wszechświecie.

- Hm! Wydaje mi się, że mamy kłopoty z definicjami. Dla mnie termin „wszechświat" obejmuje wszystko. Wszystkie planety, wszystkie galaktyki, całą przestrzeń - po prostu wszystko. Istnieje tylko jeden wszechświat, ponieważ z samej definicji wynika, iż zawiera on wszystko.

- To nie tak! - uczyniła gest sprzeciwu. - Przed Wielkim Wybuchem istniał jeszcze inny wszechświat. Na początek mamy już zatem dwa.

- Wierzę ci na słowo. Jednak nie przekonuj mnie, że skoczyliśmy we wszechświat przed Wielkim Wybuchem.

- Nie w tamten, ale w inny, podobny.

- Skąd ten pomysł?

- Nadinspektorze Jym, ja potrafię odczytywać wzory. Na obszarze, w który obecnie wkroczyliśmy, entropia maleje wraz z czasem.

- To niemożliwe!

- Dlaczego? Kierunek entropii jest jedynie symptomem rozszerzania się wszechświata. A ten się kurczy. Nasz rozpoczął się wraz z Wielkim Wybuchem. Ten się wraz z nim skończy.

- Masz nade mną przewagę. Nie mam możliwości sprawdzenia, czy to co mówisz, jest prawdą.

- Przejdźmy zatem do sterowni. Być może gwiazdy opowiedzą nam swą historię.

Wildheit, pełen wątpliwości czy po niedawnych przeżyciach Różdżka zdoła znieść kolejne napięcia, podążył za nią. Gdy dotarli do celu, nadinspektor zwątpił czy on sam zniesie to, co przyjdzie mu oglądać. Ponad rozpiętą nad sterownią spłaszczoną, przezroczystą kopułą rozciągał się niezmącony widok na kosmiczną hemisferę. Okazało się, że światło, omyłkowo wzięte przez nadinspektora za sztuczną, bardzo silną iluminację pomieszczenia, było niczym innym, jak światłem gwiazd o niewyobrażalnym wprost blasku.

Poczuł się jak zamroczony. O nagły zawrót głowy przyprawiła go świadomość realności niezliczonej

masy gwiazd, tak wspaniale rozmieszczonych w przestrzeni. Gołym okiem widać było miliardy nieprawdopodobnie gesto rozsianych gwiazd, tworzących świetlny mur, przez który z trudem dało się dostrzec ciemne zakamarki. Chociaż nadinspektor miał niezachwianą pewność, że każdą gwiazdę dzieli od sąsiednich wiele lat świetlnych, trudno mu było uwierzyć, iż nie zagraża im niebezpieczeństwo katastrofalnego zderzenia. To, co widział, stanowiło tylko część wielkiego układu galaktycznego. Galaktyka ta była tak ściągnięta w przestrzeni, że zagęszczenie gwiazd musiało być nieporównywalnie, wiele milionów razy większe, aniżeli w jakimkolwiek znanym przez Wildheita układzie w jego wszechświecie.

Zatrważające wydało mu się prawdopodobieństwo, że wiele miliardów podobnych galaktyk – każda z podobnym gwiazdozbiorem – będzie nadciągać z kurczącego się wszechświata, dążąc do ostatecznej zagłady. W tym momencie materia całego wszechświata powróci do tej wielkiej, ostatecznej jedności, która stanie się początkiem. Czego? Wielkiego Wybuchu, czy całkowitego unicestwienia?

Kasdeya przesunął się bezgłośnie za ich plecami i wyregulował natężenie pól polaryzacyjnych w kopule – tak, by przyćmić gwiezdne światło do poziomu wciąż jeszcze imponującego, lecz bardziej znośnego.

– Nadinspektorze Wildheit – przemówił – obiecałem, że będę miał dla ciebie propozycję. Moi koledzy jednogłośnie zgadzają się z tym, co chcę powiedzieć.

Kasdeya podszedł do pulpitu sterowniczego, podciągnął się, by móc na nim usiąść, po czym odwrócił się przodem do Wildheita i do Różdżki. Skośnie padające promienie przyćmionego, gwiezdnego światła wydobywały na jego twarzy tysiące zmarszczek. Wildheit uwierzył przez chwilę, że mężczyzna rzeczywiście jest tak stary, jak twierdziła Różdżka. Stojąc na pokładzie tego z lekka obcego statku, w nieprawdopodobnym gwiezdnym świetle i w towarzystwie dwóch równie nieprawdopodobnych osób – Kasdei i Różdżki, zdał sobie nagle sprawę tak z dramatyzmu, jak i z nierealności sytuacji. Była to chwila poza czasem, w której wszystko mogło się zdarzyć. Następne słowa Kasdei w pełni pasowały do nastroju.

– Nie bardzo wiem od czego zacząć, ponieważ jest wiele spraw, o których nie masz pojęcia. Myślę, że Różdżka dzięki unikalnym zdolnościom percepcyjnym w połowie odgadła już prawdę. Dla ciebie, inspektorze, ta historia okaże się najbardziej niewiarygodna ze wszystkich, jakie kiedykolwiek ci opowiadano. Wystarczy stwierdzić, że gdyby nie była prawdziwa, żaden z nas nie znajdowałby się w tym miejscu i w tym czasie.

– Czy twoja opowieść ma jakiś związek z Bronią Chaosu? – spytał Wildheit.

– Istotnie ma, jak się wkrótce przekonasz. Zacznijmy jednak od momentu, który jest ci już znany. Jak mówiła ta mała, ktoś bada wstecz układ zbieżnych osi, idąc od przyszłego skutku do zaistniałej w przeszłości przyczyny. Wy dwoje stoicie na przeciwległym końcu tego samego łańcucha przyczynowego.

– Rozumiem znaczenie twoich słów, Kasdeya. Nie pojmuję jednak przyczyny.

– Przyczynę najłatwiej zrozumieć wtedy, gdy uzna się istnienie dwóch wszechświatów – twojego i tego, w którym obecnie się znajdujemy.

– Za dowód muszę przyjąć to, co widzę. We wszechświecie, który znam, nie istnieje tego typu koncentracja gwiazd.

– Doskonale! Oszczędzi mi to wielu wyjaśnień. Jest jednak jedna rzecz, o której nie miałeś sposobności się dowiedzieć: mieszkańcy tego wszechświata, których skrótowo będę nazywał Ra, już od dawna są świadomi dwoistości continuum. Odkąd ich wszechświat skazany został na zagładę, w twoim zaczęli upatrywać możliwość kontynuacji istnienia. To oni właśnie władają Bronią Chaosu. Jest to część oręża, dzięki któremu chcą dokonać podboju. To Ra zaniepokojeni są zagrożeniem, które wy oboje stanowicie.

– Nadal nie rozumiem, na czym ma polegać to zagrożenie.

– W Centrum Chaosu poza Sarayą autorytet masz tylko ty. Udział Sarai w tej całej sprawie wyjdzie na jaw trochę później, a póki co uznajmy, że jest jednym z Ra, a zarazem ich śmiertelnym wrogiem. Przez wiele lat prowadził badania Chaosu, poszukując przyczynowego zapalnika, który powstrzymałby plany Ra, albo nawet całkowicie je zniweczył. Sądząc po gwałtownych wysiłkach ze strony Ra, by cię powstrzymać, przypuszczam, że Saraya znalazł wreszcie właściwy zapalnik. Są nim: Jasnowidz Chaosu i Nadinspektor Przestrzeni, wspomagani przez pierwszy najbardziej zaciekłych przeciwników Ra.

wyższe pokłady okazała się koszmarem, ponieważ palceześlizgiwały się ze wszystkiego, co usiłował uchwycić. Jedynie wówczas, gdy zaciskał chwyt wokół słupków i zamontowanych na stałe części statku, gdy obejmował je całymi rękoma, uzyskiwał oparcie, pozwalające na zrobienie choćby kroku do przodu.

Kasdeya i Penemue siedzieli na pokładzie, zmęczeni już ześlizgiwaniem się z foteli. Zrezygnowani, obserwowali, jak odczepiały się sworznie, odkręcały śruby i odpadały zamocowania. Padał nieprzerwany deszcz niewielkich przedmiotów, za którymi – czego się zresztą obawiali – podążyły wkrótce i te większe. Było wyłącznie kwestią czasu, aż jakaś śmiercionośna siła wtargnie do silników lub generatorów energii i zniszczy doszczętnie cały pojazd. Wydawało się mało prawdopodobne, aby ten wybuch mógł samoistnie zapoczątkować zagładę i dlatego Wildheit spodziewał się jakiegoś innego, ostatecznego wstrząsu wszechświata, który zapoczątkuje największą w dziejach katastrofę.

Potem zaszło coś, co początkowo wyglądało na przeciwieństwo tego, czego się spodziewali – zapadła nagła cisza. Silniki statku przestały zawodzić, ustał stukot rozkręcających się drobnych przedmiotów, ucichł grad większych. Zmysły całej trójki ogarnął spokój tak absolutny, że aż nierealny. Jednocześnie powróciło wyraźne widzenie konturów i przyjemne uczucie namacalnej chropowatości wszystkich powierzchni.

Nastąpił odwrót Broni Chaosu, cofnęło się jej pole i wtedy przyszedł podmuch powrotny.

ROZDZIAŁ 17

Cały wszechświat zatrząsł się pod serią druzgocących skoków mocy. Potężna, niewidzialna ręka zawładnęła galaktykami, gwiazdami, okrętem żandarmerii... Pochwyciła wszystko w długotrwały uścisk, gwałtownie uderzając bezgłośnymi piorunami. Wstrząs sprawił, że na statku rozpadł się i tak już nadwerężony sprzęt.

Coul zapiszczał, zniknął i znów się na chwilę pojawił. Zamigotał niepewnie, co wskazywało, że pozostawał teraz w bezruchu, nieobecny w żadnym z wymiarów, w których dotychczas współistniał. Nienasycone pragnienie ujrzenia wydarzeń z perspektywy istoty ludzkiej okazało się na tyle silne, że zwabiło go z powrotem na ramię Wildheita. Zrobił to, mimo że wielka, boska mądrość ostrzegała go, iż dawno minął czas bezpiecznego odejścia. Wildheit rozumiał niezdecydowanie bóstwa, ale cieszył się, że wciąż czuje ulotne, choć wpuszczone głęboko w ramię korzenie symbiozy. Wiedział, iż gdy nadejdzie chwila odejścia Coula, na swoje własne nie będzie długo czekał.

Ten początek końca był imponujący, nawet jak na wymiary kosmiczne. Gigantyczna wibracja podmuchu powrotnego. Gdyby gwiazdy były bardziej od siebie oddalone, energia rozbłyskujących kolejno „nowych" rozproszyłaby się w przestrzeni. Znajdowały się jednak tak blisko, że na skutek wybuchu każda z nich utraciła swą tożsamość, roztapiając się w olbrzymim strumieniu rozżarzonej materii. Gęstość jej była tak wielka, że przyciąganie grawitacyjne zespoliło wszystkie gwiazdy w jedno. Blask powstałej całości przyćmił wszystko, co znajdowało się w tym kwadracie przestrzeni. Pomimo, że polaryzatory w kopule usiłowały osłaniać sterownię przed nadmiernym promieniowaniem, nic prócz masywnych grodzi nie mogło przesłonić tej przeraźliwej jasności.

Przez zupełnie teraz nieprzezroczystą kopułę widać było wyraźnie wspaniałą strukturę olbrzymiej kuli plazmy, przez którą przenikały słupy światła, wiry i leje. Pozostałości byłych słońc pędziły jak oszalałe na oślep, napędzane seriami kipiących reakcji nuklearnych. Promienisty krąg świetlny wraz z jęzorami ognia miał pięćdziesiąt milionów mil długości. Gdzieś w środku rozżarzone do białości kosmicznych rozmiarów serce biło spowolnionym pulsem konającego wszechświata.

W chwili, gdy na to spoglądali olbrzymie serce drgnęło konwulsyjnie i zamarło. Rozpoczęła się nowa seria reakcji. Gwałtownie rosła p...
...ciemności. Tworzył się fragment...
...materię, że z gorącego popiołu g...
Olbrzymia kula ognia połknęła...
...przez gigantyczną czarną dziurę. Słońca pospiesznie dołączały do świetln...
Wkrótce napierająca ciżba samobójczych gwiazd przewyższała apetyt...

...początkowo niezwykle małe, później coraz to większa kula kompletnej
...przestrzeni, w którym siły przyciągania tak straszliwie skondensowały
...wiazd zrodziła się zarłoczna czarna dziura.
...sama siebie, a jej tętniące życiem energia świetlna została wessana
...ego kręgu i zlewały się z nim.
...wygłodzonej czarnej dziury.

Ciężkie przedmioty zaczęły spadać z powierzchni choćby lekko nachylonych. Poruszanie się po pokładzie było równie niebezpieczne jak po wypolerowanej tafli lodu.

Siedzący na ramieniu Wildheita Coul zaczął drżeć. Nadinspektor zszedł na niższy pokład, gdzie mogli porozmawiać, przez nikogo nie obserwowani.

– Ile to jeszcze potrwa, Coul, zanim mnie opuścisz?

– Niezbyt długo. Jednak zostanę z tobą do ostatniej chwili. – Głos symbiotycznego bóstwa brzmiał posępnie. – Nas, bogów, bardzo to martwi. Moje odejście będzie zdradą łączącej nas więzi. Szkoda, że nie ma innego wyjścia.

– Nie uważam tego za zdradę – odparł Wildheit. – Nawet bogowie nie są nieomylni. Lepiej będzie, jeśli przynajmniej jeden z nas przeżyje.

– A gdyby odwrócić sytuację? Gdybyś ty był bogiem, a ja istotą ludzką, opuściłbyś mnie?

– Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Moje obecne myślenie kształtowane jest przez ludzkie emocje, których nie odczuwałbym, będąc bogiem.

– Zatem nie odszedłbyś. Dziękuję ci za to. Jestem w duchowej łączności z Tallothem. Chcesz rozmawiać z inspektorem Hoverem?

– Jeśli to możliwe.

– No to odpręż się...

– Jym, na miłość boską! – Głos Hovera rozległ się natychmiast i był zatroskany. – Gdzie jesteś i co teraz do diabła robisz?

– Ile czasu upłynęło od naszej ostatniej rozmowy, Cass?

– Całe dwanaście miesięcy.

– Z moich obserwacji wynika inaczej. Trzy tygodnie – to góra. Byłoby wspaniale móc podjąć te wszystkie zaległe pensje.

– Przestań się wygłupiać! Mamy wojnę. Udało ci się załatwić Broń Chaosu?

– Nie, za to ona załatwi mnie, i to zaraz. Jeśli będzie to dla ciebie pociechą, jestem tak zaprogramowany, że razem ze mną poleci wszechświat Ra. Jak ci się podoba taki finał?

– A teraz poważnie! Mam z tego wszystkiego napisać raport.

– Jeśli potrafisz przeliterować Wielki Wybuch, to nie będziesz miał problemu. Powiedz Sarai, że zaraz się zacznie. To wszystko, co będę w stanie dla ciebie zrobić. Czy dużo ich statków się przedostało?

– O wiele za dużo. Na szczęście niektóre wpadły w tarapaty – pobiły się z obcymi w pobliżu Obrzeża i dostały tęgie lanie – uratowało nas to przed koniecznością prowadzenia z nimi walki. Ich główna flotylla przyleciała z głębokiej przestrzeni. Wyruszyliśmy, żeby zagrodzić im drogę. Jednak po krótkim i bardzo zaciekłym starciu oni najzwyczajniej w świecie zniknęli.

– Co zrobili?

– Zniknęli. Dodali gazu jak szaleni i po prostu dali susa z tej przestrzeni.

– No nie!

– Cóż w tym zabawnego?

– Cass, ich statki mają typowe urządzenia podprzestrzenne, jednak gdy zachodzi rzeczywista potrzeba, mogą lecieć tam, dokąd ty nie chciałbyś ich ścigać – w strefę kurczącego się czasu. Możliwe, że jednostki ich flotylli są rozproszone w następnych dziesięciu stuleciach i oczekują na posiłki i zaopatrzenie – wsparcie, które nie nastąpi.

– Wiesz, Jym, właściwie dobrze, że zgłaszasz się tylko raz do roku, gdyż zawsze po rozmowie z tobą mam mętlik w głowie. Dopiero teraz zrozumiałem twój ostatni meldunek.

– Nie przejmuj się. Saraya ma rację. Początek końca wszechświata Ra – to kwestia godzin, a najdalej dni. To, co przewidział Saraya i to, co zgodnie z planem sprowokować miał jego katalizator, wynika z Chaosu. Pozostaje mi tylko żałować, że nie będę mógł być obecny na uroczystościach z okazji zwycięstwa. Jeśli idzie o katalizator, dopiero teraz zdałem sobie sprawę z jednej rzeczy.

– Co to takiego?

– Żeby okazał się skuteczny, Cass, musi znaleźć się w samym sercu reakcji.

Nawet kontury dużych przedmiotów na statku stawały się teraz zamazane. Tarcie butów Wildheita o pokład było mniejsze niż tarcie o siebie dwóch mokrych, lodowych powierzchni. Droga powrotna na

– Wspomagani?

– Tak jest, inspektorze. Myślę, że Saraya wziął nas wszystkich pod uwagę. Twój wróg jest również naszym odwiecznym wrogiem. My mamy nad nim przewagę w postaci wiedzy i możliwości poruszania się między obydwoma wszechświatami, ty przewagę pewnych powiązań z Chaosem. Proponuję, byśmy zjednoczyli nasze siły.

– Pod warunkiem, że odpowiesz mi na piekielnie dużo pytań. Kim właściwie jesteś, Kasdeya?

Zapytany westchnął.

– Mówiłem już, że będzie to najbardziej nieprawdopodobna historia, jaką kiedykolwiek ci opowiadano. No dobrze, oto ona. Przejście przez continuum, którego właśnie doświadczyłeś, jest zawsze trudne, niebezpieczne i przykre. Do niedawna budowa statków kosmicznych, które zdolne byłyby wykonać taki przeskok, trwała całe lata. Pojazdy o ograniczonej wielkości mogły pomieścić najwyżej dziesięć osób. Jeszcze kilka lat temu masowa wędrówka ze starego wszechświata do nowego była właściwie niemożliwa. Pionierzy przejść przez continuum zdawali sobie sprawę z tego faktu i dokonywali inwazji na nowy wszechświat z zapałem kolonizatorów. Niestety, musi istnieć określona minimalna wielkość samowystarczalnej kolonii, dlatego też wszystkie te pionierskie, ryzykowne przedsięwzięcia nie powiodły się. Kiedyś jeden ze statków oblatujących nowy wszechświat natknął się na krainę, którą zamieszkiwały stworzenia tak podobne do ludzi, iż problem kolonizacji został szczęśliwym trafem znakomicie rozwiązany. Pionierzy, stosując zabiegi genetyczne i krzyżowanie gatunków, przeszczepili, w metaforycznym sensie, człowieka na teren samowystarczalnej kolonii zwierzęcej. I ta przetrwała.

– Nie odpowiedziałeś mi na moje pytanie.

– Istotne jest przede wszystkim ustalenie, kim jesteś, nadinspektorze. A więc, świat nazywa się Terra, zwierzęciem – Neandertalczyk, a w wyniku skrzyżowania gatunków powstał Cro-Magnon – przodek Homo Sapiens.

ROZDZIAŁ 10

Wildheit walczył intensywnie z myślami, aż spytał.

– Uważasz, że Homo Sapiens nie rozwinął się na Terrrze?

– Jego ewolucja zatrzymała się na Neandertalczyku. Podobnie jak w przypadku wielu jego odmian, było to ostatnie stadium. Żaden z ziemskich ssaków naczelnych nie miał cechy, która dawałaby mu przewagę nad innymi. Tak, tak, inspektorze. Dopiero dzięki naszej interwencji Neandertalczycy obdarzeni zostali najpierw inteligencją, a później kulturą. Impuls ten sprawił, że zeszli z drzew i opuścili jaskinie, by udać się w przestrzeń.

– Ty również jesteś jednym z Ra?

– Cała piątka, i Saraya, i jeszcze paru innych. Wszyscy jesteśmy stamtąd. Stanowimy pozostałość ostatnich ekip, opiekujących się młodą kulturą pochodzącą ze skrzyżowania gatunków. Cro-Magnon przejawiał skłonności do łączenia się w pary ze swoimi bardziej zwierzęcymi braćmi, wielokrotnie kalając rasę. Kolonia przetrwała stulecia wyłącznie dzięki powtarzającej się ingerencji i selekcji w obrębie gatunku. Wreszcie batalia została niemal wygrana i ustaliła się jednolita genetyczna tożsamość Homo Sapiens. Za to zwycięstwo wyklęto nas.

– Wyklęto?

– W przenośni. Realia były o wiele bardziej przykre. Dawne załogi przechodzące przez continuum miały ocalić przyszłość człowieka przed masakrą grożącą ze strony kurczącego się wszechświata. Dokonały tego siejąc rozum w nowym wszechświecie. Jak już wspomniałem, ta praca trwała o wiele za długo. Tymczasem wśród Ra następowała zmiana nastrojów. I nagle okazało się, że nie chodzi już o przetrwanie rodzaju ludzkiego, ale ich samych.

– Całkiem ludzka reakcja.

– Prowadząca do nieprzewidywanych następstw. W miarę, jak zmniejszał się stary wszechświat, całe galaktyki pod wpływem rosnącego naporu zaczęły zrastać się w jedną całość. Granice dziesiątków tysięcy zaludnionych światów zacierały się. Czas się wyczerpywał. Czego właściwie dokonały ekipy pionierów? Masowe przekraczanie continuum wciąż było niemożliwe i okazało się, że w rzeczywistości ekipy te ofiarowały cały nowy wszechświat nie Ra, lecz nowej rasie ludzkiej.

– Sytuacja zrodziła zjawisko znane pod nazwą Wielkiego Gniewu. Załogi przekraczające continuum zostały doszczętnie zniszczone przez gwałtowny przypływ niewiarygodnej zawziętości i przemocy. Zaledwie kilku ekipom udało się uciec. Byliśmy jedną z nich, a po to, by przeżyć, musieliśmy czmychnąć przez styk w głąb nowego wszechświata.

– Kiedy się to wszystko działo?

– Około trzech tysięcy lat przed rozpoczęciem się ery obowiązującego u was czasu. Kiedy wybuchnął przeciwko nam Wielki Gniew, pracowaliśmy w pięciu przy zakładaniu sumeryjskich miast-państw.

– Przecież to było siedem tysięcy lat temu – zaprotestował Wildheit. – Czyżbyście byli nieśmiertelni?

– W takim samym stopniu jak i ty. Weź pod uwagę fakt, że przejście przez continuum wymaga bezpośredniego przekroczenia bariery prędkości światła, a nie jak przy waszych skokach w podprzestrzeni, omijania jej. Dlatego wszystkie pojazdy przechodzące przez continuum zdolne są do lotów z prędkością światła. Owszem, tropiono nas i ścigano, jednak zawsze mogliśmy się wymknąć. Jako ludzie bez domu, zdesperowani, byliśmy gotowi na jedno poświęcenie, na jakie naszych prześladowców nie było by stać.

– Co to takiego?

– Dylatację czasu. Nasze subiektywne poczucie czasu, przy 99,999% prędkości światła, redukowało każde przemijające w rzeczywistości stulecie do sześciu miesięcy. W ciągu siedemdziesięciu wieków które upłynęły, postarzeliśmy się tylko o trzydzieści waszych lat. Nasi prześladowcy, mając rodziny i dzieci w swym własnym czasie, nie mogli sobie pozwolić na tego rodzaju poświęcenie.

– Przecież oni wszyscy od dawna nie żyją. Z pewnością już cię nie ścigają.

– Wielki Gniew był tak potężny, że nawet ich potomków nauczono nienawiści do nas. Mniej więcej co sto lat porzucaliśmy nasz czas w nadziei, że już zapomnieli. Za każdym razem odnajdywali nas jednak i zmuszali do ucieczki w przyszłość. I to jest powód, dla którego proponujemy połączyć nasze siły, nadinspektorze. Po siedmiu tysiącach lat gonitwy nieśmiertelność już nas zmęczyła.

– Czy Saraya należał również do ekipy, która przeżyła?

– Saraya, Dabria, Selemia, Ethan i Asiel. Różnili się między sobą, ale wszyscy byli pełni poświęcenia. Pomimo że Wielki Gniew zmusił ich do ucieczki w strefę dylatacji czasu, nadal przez całe stulecia pielęgnowali stworzoną przez siebie młodą kulturę, aż do stanu jej dojrzałości. Wydaje mi się, iż ten czyn nadawał jakiś cel ich przekreślonemu życiu. Osiadali kolejno w przemijających stuleciach, by resztę życia przeżyć w normalnym tempie. Chyba jeszcze tylko Dabria i Saraya pozostali.

– Dlaczego sądzisz, że Saraya nie wie, co się dzieje?

– My nadal wyprawiamy się w stary wszechświat, a on tego nie robi. Zaszły wielkie przemiany, których może nie być świadom.

– Jakie przemiany?

– Ra udoskonalili przede wszystkim technikę Chaosu. Jest ona obecnie tak dobra, że pozwala przewi-

– Przyjmijmy, że rzeczywiście stamtąd powróciliśmy – powiedział Kasdeya. – Spróbujmy więc ustalić, gdzie teraz jesteśmy.

Ekrany były wciąż jasne, ale nie znajdowali na nich nic istotnego aż do chwili, gdy Kasdeya zaczął manipulować układem regulacji. Wtedy nagle pojęli, że obraz zanikł z powodu klasycznego przeciążenia. Niebawem ich oczom ukazał się niewiarygodny wprost widok – jeszcze bardziej nieprawdopodobny niż ten oglądany z pokładu statku Kasdei - zagęszczenie gwiazd i galaktyk było wprost niesamowite. Tworzyły całkowicie jednolity, rozciągnięty we wszystkich kierunkach, świetlny mur. Taka sceneria była możliwa do uchwycenia jedynie dzięki niewielkim różnicom odległości, temperatury i barwy. Stanowiła najbardziej baśniowy, najcudowniejszy i najstraszniejszy zarazem widok wszechświata. Jego zasięg, głębia i skala paraliżowały umysły i wprawiały w osłupienie.

– To z pewnością stary wszechświat – odezwał się wreszcie Penemue. – Gdzieś w pobliżu samego jądra. Wszystkie te gwiazdy przyciągają się wzajemnie. Wkrótce jakieś ich skupisko zacznie zlewać się w całość. Ta z kolei zwabi do siebie następne skupiska, a potem prosta grawitacja zmusi wszystkie pozostałe do połączenia się w jedną kaskadę, rosnącą tym szybciej, im bardziej jądro wszechświata będzie się powiększać. A wreszcie cała jego materia zewrze się w tej jednej, spójnej masie.

– Co wydarzy się potem? – spytał Wildheit.

– Nie wiemy. Możemy się tylko domyślać. Z pewnością zagęszczenie tej materii i energii stanie się tak silne, iż w porównaniu z tym czarna dziura wyda się próżnią. Powstanie tygiel nieznanych praw fizyki, znamionujących koniec Dzieła. Można przypuszczać i żywić nadzieję, że ostatecznie nastąpi Wielki Wybuch i narodzi się nowy wszechświat.

– Odrodzony feniks - odparł ze spokojem Wildheit. – Kiedy to wszystko się stanie?

– Tego nie sposób przewidzieć. Nawet Ra, posługując się przepowiedniami Chaosu nie potrafili precyzyjnie tego ustalić. Moim zdaniem sprawa jest taka, że zdarzenia tej skali zachodzą stosunkowo wolno, jeśli rozpatrywać je w czasie kosmicznym. Mogłoby się to zacząć już jutro, a trwać milion lat. Panuje bowiem taka równowaga sił, że to, co wyzwala jakieś zdarzenie jest na tyle małe i nieznaczne, iż w warunkach kosmicznych okazuje się nieuchwytne. To atom albo migotanie gwiazd...

– ... albo człowiek? – dodał pytająco Wildheit.

– Tak, myślę, że może to być człowiek – zgodził się Penemue. Podążał wzrokiem za spojrzeniem Wildheita, który wpatrywał się w kant stołu. Krawędź traciła swe ostre kontury. Otaczająca ją maleńka aureola, jak gdyby niewidoczna mgła, rozszczepiała częściowo smugę światła.

– Różdżka! – powiedział ciężko nadinspektor. – Powinniśmy się domyślić! W jakiś sposób mnie w to wpakowała – występuję w roli człowieka, który uruchamia mechanizm największej, najpotężniejszej, jaką można sobie wyobrazić, katastrofy. Wciąż tkwimy jak tarcza w zasięgu Broni Chaosu. Znajdujemy się w miejscu, gdzie skomasowana jest cała energia, którą przepowiedziały testy Chaosu – miliony, miliony słońc i galaktyk, które czekają tylko, aż pociągnięcie za spust da nieomylny znak nieuchronnego końca wszechświata.

– Przecież...

czasie Kasdeya, ze starannie wybranej pozycji, ostrzeliwał z ukrycia drzwi, uniemożliwiając żandarmom podjęcie jakichkolwiek decydujących kroków.

Strzały wreszcie umilkły i wszyscy trzej weszli do wnętrza statku. Zastali tam zwłoki zabitych przez próżnię żandarmów, które przeciągnęli do rękawa komunikacyjnego, po czym zamknęli za sobą drzwi śluzy. Penemue przede wszystkim zatroszczył się o to, by przywrócić na statku nadającą się do oddychania atmosferę. Na szczęście zapas powietrza był wystarczający. W tym czasie Wildheit z Kasdeyą, nadal w skafandrach, przeprowadzili szybką kontrolę zdobytego statku, aby upewnić się, że już nikogo na nim nie ma. Na koniec dotarli do sterowni, gdzie Kasdeya zaczął uważnie oglądać tablice ... znany układ sterowania.

nek zamieszkuje tylko jedną galaktykę – stanowiącą drobną cząstkę całości. Czy nie znalazłoby się tam również miejsce dla Ra?

– Nadinspektorze, techniczne problemy podróży międzygalaktycznych zostały już rozwiązane. Federacyjne statki kolonizacyjne przekraczają pustą przestrzeń. Wyobrażasz sobie, w jak fantastycznym ... jeden świat, będziesz za sto lat potrzebował ich tysiąc, a za pięćset lat wszechświat będzie na tyle duży, aby pom...

...ej przestrzeni i możliwościach? Zajmując dziś ... a dwa stulecia – milion. Chcesz się założyć, czy ... ieścić was i Ra?

...racowujesz taktykę bitwy, mając dostęp do spisanych historii z przyszłości. Usta...

– Przypuśćmy, że op... wycofujesz się, by jeszcze raz przemyśleć taktykę. Potem znów sprawdzasz historie.

Niebawem dołączył do nich Penemue. Ostatecznie powietrza szybko ... już dopomóc Kasdei w rozpracowaniu układu sterowania. Systemy cumujące rękaw komunikacyjny zostały odstrzelone awaryjnie i okręt wykonał zwrot, a potem uleciał w przestrzeń, oddalając się od stacji i od Broni Chaosu.

Wildheit nie potrafił pomóc przy tych operacjach, zaczekał więc aż atmosfera powróci do normy, po czym zdjął skafander. Ryk silników wzmagał się coraz bardziej, w miarę jak dwóch stojących przy sterach renegatów zwiększało tempo ucieczki na tyle gwałtownie, na ile pozwalała wytrzymałość urządzeń napędowych. Wkrótce nadinspektor mógł już obserwować rozjaśniające się stopniowo ekrany. W miarę, jak Kasdeya i Penemue wyznaczali kanały nawigacyjne i ożywiali resztę tablic kontrolnych, przyrządy dawały coraz lepszy obraz bezgwiezdnego styku i szybko oddalającej się Broni Chaosu.

To, co zobaczył wzbudziło w inspektorze nagły niepokój. Miał świeżo przed oczyma wycelowaną wprost w nich Broń Chaosu i nie odczuwał najmniejszej ochoty, by to zobaczyć powtórnie. Ale zanim trajektoria lotu ich statku została ostatecznie ustalona, potężna konstrukcja Broni została naprowadzona na cel i czekała na nich ustawiona tak, że Wildheit mógł spojrzeć w głąb sekcji.

Na dodatek widać było olbrzymie włókna niesplecionej jeszcze materii gwiezdnej, które na tle monotonnego sklepienia niebieskiego skręcały się w fantastyczne pętle i wiry, pożerane pospiesznie przez gigantyczny róg i przetwarzane w siłę, która powodowała tak wielkie katastrofy. Odrywano od układów całe słońca i splatano ich energię w świetlistą nić, którą skwapliwie, coraz szybciej wchłaniał gigantyczny lej.

– Czy historię przyszłości można odczytać z wzorów Chaosu?

– W najogólniejszym sensie tak. Możesz przepowiedzieć szczyty entropii i zlokalizować je. To ci nie odpowie, kto zwycięży, ale dowiesz się z pewnością, czy wielkie wybuchy nastąpią w obrębie twego świata, czy też ogień zapłonie u twojego przeciwnika. Historia ma swoje kaprysy – czas, zbiegi okoliczności, oddziaływania jednostek wpływają na skutki w sposób całkowicie niewspółmierny. Są katalizatorami zdarzeń. Jeśli uda ci się zlokalizować i opracować właściwą kombinację katalizatorów, możesz w dowolny sposób pokierować reakcją.

– I to właśnie robi Saraya?

– Tak. A Ra o tym wiedzą. Pokładają nadzieje w Broni Chaosu i liczebnej przewadze. Saraya, nie posiadając takich możliwości obrony własnej młodej kultury, zajął się badaniem katalizy.

Wildheit odnalazł regulator polaryzacji i przywrócił fantastycznemu polu gwiezdnemu nad kopułą poprzednią jasność. Stał wpatrzony w przyprawiającą o zawrót głowy konfigurację gwiazd. Różdżka także spoglądała w górę. Zachowywała całkowity spokój, w przeciwieństwie do nadinspektora, którego przygnębiła straszliwa perspektywa walki z tymi wszystkimi gwiazdami. Spokój Różdżki opierał się na przerażliwej pewności, że przewaga rzędu tysiąca miliardów do jednego nie jest specjalnym problemem. W tym właśnie momencie Wildheit miał okazję zastanowić się, dlaczego Dabria uznał za słuszne, by poświęcić resztę życia usiłowaniom zapanowania nad jasnowidzami.

Niepokój nadinspektora wzmagał się na myśl, że człowiek Broni został ustawiony prawdopodobnie ... że wszyscy troje spojrzeli nagle w górę. ... micznych. W sterowni i na całym statku ... rękami Różdżki, dzięki jej zdolnościom. Krzyknął, by ostrzec Kasdeyę i Penemue'ego lecz obaj sami już dostrzegli niebezpieczeństwo. Wyduszali z silników okrętu żandarmerii jeszcze większą moc, jak gdyby spinali konia ostrogami. Ich wysiłki zaczęły przynosić rezultaty mniej więcej w tym samym momencie, w którym odpalona ... została Broń Chaosu.

... drogi, następne cztery wielkie machiny przesłoniły widok gęsto rozsianych gwiazd.

Niedaleko od statku ukazał się szyk olbrzymich pojazdów kos...

...legało żadnej wątpliwości, strzał z Broni ich dosięgnął. Poczuli, że jakaś siła ciągnie ... ość zwiększyła się tak gwałtownie, że żaden silnik, o największej nawet mocy nie ... łać. Zaśpiew maszyn nagle zasilonych dodatkową energią, przeszedł w ryk, a przys... bezprecedensową wielkość do granic napinającą siły pola antygrawitacyjnego, dzię... owie statku nie zostali roztarci na miazgę wskutek konfliktu między bezwładnością i ... ą prędkością. Przejście przez styk wszechświatów znieśli jednakże bardzo ciężko, ... ałą przykrej ciemności. Ich nieprzytomne i bezwładne ciała runęły na pokład.

...o, ile go upłynęło, w każdym razie gdy Wildheit się ocknął, poczuł, że jest wyczerpa... ...by stan odrętwienia trwał wiele dni. Zobaczył, że Kasdeya usiłuje wstać z klęczek, ale ... i osłabione. Penemue był przytomny i starał się przeanalizować okoliczności, które ... prawie całą energię. Wreszcie Kasdeya zdołał dotrzeć do apteczki i podać wszystkim ... dy je rozgryźli, zaczął sączyć się z nich płyn, przypominający aromatyczną dekstro... ...ta cukrowa słodycz podziałała wzmacniająco. Nabrali dość sił, aby wstać.

– ... diabła? – spytał słabym głosem Wildheit.

– ... styk wszechświatów z taką szybkością, że musieliśmy je odkształcić – skrzywił się ... uszenie rzuciło nas tam, gdzie prawa fizyki przestają działać. Potem szybko cofnęło z ...

– Co się dzieje? – spytał Wildheit.

– Ra! Tym razem niszczyciele. Nie uda się ich wystrzelać jak kaczki. Nie mamy ani promieni, ani pocisków, które mogłyby przebić takie osłony.

Jequn i Asbeel wbiegli do pomieszczenia i zajęli pozycje przy przyrządach.

– Myślę, że tym razem, inspektorze, przybyli, aby zastrzelić konia – wykrzyknął Jequn z wymuszonym uśmiechem.

Kasdeya walił dłońmi po przyrządach kontrolnych. Potężny ryk nieznanych silników narastał, wznosząc się ku ultradźwiękom. W miarę, jak tony stawały się coraz bardziej piskliwe, wszystkich przeszył lekki dreszcz. W momencie osiągnięcia przez nie przełomowej częstotliwości wygasły światła gwiazd. Przedtem jeszcze statkiem wstrząsnął szereg potężnych, bezgłośnych wybuchów. W kilka minut później gwiezdne światło znów rozbłysło, lecz pochodziło już z innych gwiazd, z innych konstelacji. Po upływie kilku sekund olbrzymie okręty wojenne również zajęły swoje pozycje, a niemal równocześnie nastąpiła kolejna seria bezgłośnych wybuchów.

Kasdeya położył ręce na przyrządach, wysyłając statek w kolejny skok. Kiedy wyłonili się w normalną przestrzeń zastali niszczycieli na pozycjach gotowych do ataku. Silne wybuchy następowały bardzo blisko. Tylko cud sprawił, że przeżyli. Natychmiast powrócili do bezgwiezdnej strefy przejściowej, ale twarz Kasdei przybrała grobowy wyraz.

– Gdyby nie ta ich coraz większa dokładność, stałoby się to nudne – stwierdził Wildheit.

– Zgadza się! – skrzywił się Kasdeya. – Teraz widzisz, co miałem na myśli, mówiąc o ich biegłości w

Tym razem nie u... ich w górę. Szybko... zdołałby tego dokon... pieszenie osiągnęło... ki któremu pasażer... gwałtownie rosnąc... ogarnięci potężną...

Czas mijał.

Nie było wiadom... ny i głodny, jak gdy... nogi ma niepewne ... odebrały jego ciału ... miękkie kapsułki. G... ze. Okazało się, że ...

– Co się stało, do...

– Wpadliśmy w ... Penemue. – Wybrz... powrotem.

sprawach Chaosu. Przewidują nasze przybycie z dokładnością do kilku sekund, a pozycję co do kilku metrów. W najlepszym wypadku mamy szansę wynurzyć się jeszcze ze dwa razy, nim będą nas mieli na muszce. Jedynym sposobem, żeby się ich pozbyć, jest wejście w strefę dylatacji czasu.

– Nie! – ten okrzyk był pierwszym słowem, jakie po dłuższej przerwie wydała z siebie Różdżka. – Czy nie widzisz, że im właśnie o to chodzi?

– Co takiego? – Kasdeya gwałtownie podniósł wzrok.

– Oczywiście, że tak! To dla nich jedyna droga do zwycięstwa – skierowanie katalizatorów Sarai w tak odległą przyszłość, aby móc dokonać inwazji, zanim się ponownie uaktywnimy.

– Czy to coś gorszego niż zniszczenie wszystkich katalizatorów naraz? – dłonie Kasdei zawisły niepewnie nad przyrządami sterowniczymi. – Masz jakieś lepsze pomysły?

– Czy nie ma na pokładzie czegoś takiego, czym można by zniszczyć statki tam, w przestrzeni?

– Dysponujemy mnóstwem min, które zrobiłyby tę robotę. Tylko trzeba je porozmieszczać. To nie pociski, którymi można strzelać do celu. Ra z pewnością nie zamierzają wisieć w przestrzeni i czekać, aż obsiejemy minami cały sektor.

– Nadinspektorze Jym – dziewczyna zwróciła się do Wildheita – w jaki sposób możemy użyć tych min?

– Ile czasu zajmuje rozmieszczenie ich w przestrzeni? – ten z kolei spytał Kasdeyę.

– Są napędzane gazem, aby mogły szybko oddalić się od pojazdu. Potrzeba około minuty na to, żeby dotarły do miejsc, w których pojawią się okręty Ra.

– Zatem trudność polega na pojawieniu się w określonym punkcie na minutę przed czasem podanym przez przepowiednię Chaosu. Czy to jest do zrobienia, Różdżko?

– Mogę przewidzieć miejsca wyznaczone przez wzory Chaosu i powiedzieć Kasdei, jak dokonać wyprzedzenia. Aby równanie Chaosu zostało spełnione, będziemy musieli pozostać w tej pozycji przez całą minutę.

– Dlaczego?

– Ponieważ po to, by uzyskać zgodność z wzorem Chaosu, musimy tam być wtedy obecni. Jeśli nie spełnimy tej części równania, wzór Chaosu trafi poza rzeczywiste miejsce naszego wynurzenia się z przestrzeni, a nie w punkt, który chcemy upozorować.

– Ten wywód przekracza możliwości mojego pojmowania – powiedział Wildheit. – Spróbujmy jednak.

– Za duże ryzyko – przecząco potrząsnął głową Kasdeya. – Jeśli dziewczyna się pomyli, a my będziemy usiłowali przesiedzieć tam pełną minutę, równać się to będzie wyrokowi śmierci.

– W jaki sposób mogę się omylić, idioto! – głos Różdżki pozostał spokojny. Jednak Wildheit zauważył, że na jej twarzy pojawił się najzwyczajniejszy przebłysk gniewu. Nie mógł się zdecydować, czy była to młodzieńcza reakcja, czy też Kasdeya dotknął jakiegoś bolesnego punktu. Obawiał się, że stało się to drugie, więc przejął inicjatywę.

– Jequn, uzbrój miny – powiedział stanowczo. – Zawiadom mnie, jak będą gotowe. Kasdeya, ustaw czas według wskazań Różdżki. Różdżko, jak tylko Jequn będzie gotów, określ nam tę jedną minutę, której potrzebujemy.

– Czemu przypisać tę nagłą stanowczość? – Kasdeya wciąż nastawiony był krytycznie.

– Co za pożytek z katalizatora, jeśli nie ma on wpływu na reakcję? Nie jesteśmy na pozycji umożliwiającej odpieranie ognia ogniem, dlatego spróbujemy odeprzeć Chaos Chaosem.

Kiedy padł rozkaz Różdżki, ławice gwiazd ponownie znalazły się w polu widzenia, wielkie statki kosmiczne zniknęły ze sceny. Jequn, posłuszny instrukcjom Wildheita, odpalił serię min. Przez krótką chwilę widać było, jak smugi dymu wydostawały się ze statku śladem rozsiewającej się w przestrzeni śmiercionośnej broni. Potem nastąpiła cisza. Nikt nic nie mówił. Napięcie wyraźnie wzrastało w miarę mijających sekund. Przełomowa minuta upłynęła i nic się nie wydarzyło.

Rozczarowany Kasdeya wpadł w gniew.

– Mówiłem, że ta gęś jest pomylona! Teraz nie wiemy, kiedy, do diabła, znów na nas napadną.

– A może tchórzostwo zmusiło cię do wykonania dodatkowego czasowego skoku w przestrzeni? – spokojnie spytała Różdżka.

Wildheit postanowił zaryzykować, mimo iż przedwczesne nawiązanie kontaktu z nadlatującym pojazdem później mogło wywołać trudności. Dał znak Kasdei, iż powinni założyć skafandry i bezzwłocznie udać się do centralnej części statku. Nie było to łatwe, bo jeden z techników miał broń i przypierał ich do ściany za szafą ze sprzętem ratunkowym, aż Kasdeya wreszcie znalazł dogodną do strzału pozycję.

Od tego momentu nie natrafili już na dalszy opór. Ubrani w skafandry dotarli do drzwi, które jak się okazało, nie miały śluzy umożliwiającej przejście w próżnię i w związku z tym nie można było ich otworzyć. Jednak następne, znajdujące się nie opodal, wyposażono w to urządzenie, dzięki czemu wdarli się wreszcie do komory, gdzie Penemue z niepokojem oczekiwał ich przybycia.

ROZDZIAŁ 16

Penemue zdołał już odłączyć oświetlenie od głównego źródła zasilania. Pozostało jedynie światło o niskim napięciu, dostarczane przez źródło awaryjne. Wildheit stwierdził, że i tak było jaśniej niż przewidywał to jego plan. Za pomocą metalowego pręta rozbił jeszcze trzy z pasów oświetleniowych umieszczonych przy głównym wejściu do śluzy. Zainstalowane przy wejściu urządzenia ostrzegawcze sygnalizowały przylot statku kosmicznego, jednak układ sygnałów, poza wezwaniem oddziału straży, nie mówił nic na temat typu zbliżającego się do stacji pojazdu. Nie było również żadnych informacji na ten temat, gdy układ sygnałów wskazał na dokonujące się na zewnątrz komory śluzowej mocowanie rękawa komunikacyjnego.

Był to najbardziej krytyczny moment całej operacji. Bardzo wiele zależało od tego, czy załoga cumującego statku była już zaalarmowana o sytuacji na stacji. Wildheit zakładał najgorsze i postępował tak, jak gdyby ze śluzy mieli wyjść ludzie już o wszystkim ostrzeżeni i uzbrojeni.

Drzwi przepuściły sześciu mężczyzn pod bronią, w żółtych, charakterystycznych dla żandarmerii Ra skafandrach. Wyraźnie byli przygotowani na natychmiastowe kłopoty.

Znaleźli je, choć niezupełnie tak, jak sobie wyobrażali. Żandarmi ostrożnie przeszukali wnętrze śluzy i nie znalazłszy śladów rzekomych zbiegów, poszli w stronę magazynów. Dowódca podłączył się do ściennego komunikara i rozmawiał z kimś, kto przebywał w wypełnionej powietrzem strefie stacji. Wtedy właśnie to, co żandarmi błędnie uznali za komplet zamocowanych w ściennych uchwytach i napompowanych powietrzem skafandrów ożyło nagle za ich plecami. Wystrzeliwane pociski z gazem nie musiały być wymierzone zbyt precyzyjnie, ponieważ ubrania żandarmów nie były opancerzone. Próżnia dopełniła wkrótce dzieła śmierci, którego nie zdołało zakończyć sześć pocisków.

Kasdeya wetknął wtyczkę zainstalowanego w skafandrze komunikara do tego samego gniazda, z którego niedawno korzystał martwy teraz dowódca żandarmów.

– Mamy zdrajców, ale są ofiary w ludziach – mówił szybko. – Dlatego musimy natychmiast wracać na statek. Przekaż proszę tę informację naszym zwierzchnikom.

Podszedł do Wildheita i Penemue'go, którzy oglądali karabinki elektronowe wypuszczone przez żandarmów. Po dokładnym ich przejrzeniu wzięli ze sobą trzy jako dodatek do miotaczy gazu. Odczekawszy akurat tyle czasu, ile jak mieli nadzieję, trzeba było na przekazanie podanej przez Kasdeyę wiadomości, weszli do śluzy. Spodziewano się, że ktoś tu przyjdzie i śluza była tak nastawiona od zewnątrz, by mogli wejść do wnętrza rękawa komunikacyjnego. Tam czekało na nich dwóch ubranych na żółto ludzi, ale bez wyciągniętej broni. Niemal natychmiast upadli, trafieni nieoczekiwanymi strzałami z karabinków.

Trzech uciekinierów zaczęło szaleńczo gramolić się przez sprężyście miękki rękaw, aż wreszcie wpadli do wnętrza komory śluzowej okrętu żandarmerii. Mieli wrażenie, że coś jest nie w porządku. I rzeczywiście, wewnętrzne drzwi śluzy nie chciały się otworzyć, gdy nacisnęli automatyczny przełącznik. Penemue zaklął i chwycił ręczne pokrętło awaryjne. Wytężał wszystkie siły, żeby przezwyciężyć opór automatycznego mechanizmu. Wystrzał, który padł przez uchylone drzwi ostrzegł ich, iż dwaj obecni jeszcze na statku żandarmi, gotowi są walczyć.

Wildheit znalazł wreszcie wyjście z tej sytuacji. Podejrzewał, że żandarmi nie byli ubrani w skafandry. Odwrócił się więc i szybką serią pocisków gazowych przeszył znaczny odcinek rękawa. Dzięki temu powietrze uszło nie tylko z rękawa, lecz także przez na wpół otwarte drzwi śluzy, z wnętrza okrętu. Potem pomógł Penemue'mu przytrzymać pokrętło, odblokowując automat zamykania włazu. W tym

Problem ustalenia czasu pozostawał w dalszym ciągu nierozstrzygnięty. Kiedy się nad nim zastanawiali, Penemue doniósł o niezwykłym poruszeniu wokół strefy śluz. Dzwonki alarmowe zwoływały strażników, którzy mieli dozorować oddział zatrudniony przy nowo przybyłym statku. Niecodzienna procedura sugerowała, że jeżeli nawet nie przyleci okręt żandarmerii, to może jest nadzieja na ucieczkę czymś lepszym niż zwykłym statkiem towarowym. Z tego względu Wildheit powziął decyzję ataku, mimo że nie był to najkorzystniejszy moment.

Wraz z Kasdeyą natychmiast pobiegł uporać się ze strażą. Obecność więźniów we wszystkich rejonach stacji przyjmowana była życzliwie, dlatego trzech mężczyzn znajdujących się w służbowej kabinie przywitało ich przyjaznym gestem. Dwóch strażników, zanim w ogóle zdążyło się zorientować w zamiarach przybyszów, leżało już bez przytomności, a trzeci – martwy. Wildheit chwycił broń, załadował ją i strzelając wtargnął do przyległego pomieszczenia. Wewnątrz nie zastał nikogo, co znaczyło, że przynajmniej trzech strażników było na służbie i pod bronią znajdowało się gdzieś na obchodzie. Nie przewidywał takiej komplikacji, ale nie było już czasu na zmianę planu. Kasdeya chwycił pozostałe dwa miotacze i wyskoczył na zewnątrz, osłaniając wejście. Był skoncentrowany, gotów do szybkiego biegu na miejsca następnego etapu operacji.

Penemue, ubrany w skafander próżniowy, przechodził przez strefę magazynów w środkowym segmencie stacji, torując sobie drogę do pomocniczej komory śluzowej. Znając mechanizm śluzy, miał nadzieję, że uda mu się uruchomić fałszywy sygnał, informujący wewnętrzne blokady awaryjne, że od zewnątrz został przymocowany wypełniony powietrzem rękaw komunikacyjny, a ciśnienia wyrównane. W ten sposób można było odblokować cały system.

Z uwagi na niesprzyjający czas akcji, tylko przypadek sprawił, że w magazynach nie było w tym momencie ludzi. Penemue szybko zdarł osłonę z urządzeń sterujących. Przeklinał, napotkawszy nieoczekiwane utrudnienia, które zmusiły go do wprowadzenia kilku nieprzewidzianych zmian w pierwotnym planie działania. Uruchomił następnie główny nastawnik, modląc się, aby drzwi śluzy otworzyły się, ukazując próżnię styku wszechświatów.

Nic się jednak nie stało. Drzwi wciąż pozostawały zamknięte. Na tablicy sygnalizacyjnej zapaliła się seria światełek ostrzegawczych, powtórzona przez indykatory na terenie stacji, sygnalizująca cały szereg uszkodzeń mechanizmu sterowania śluzą. Wskaźniki, które powinny milczeć zdradzały, że Penemue dobierał się do śluzy. Bliski rozpaczy wykorzystał nadaną przez urządzenia ostrzegawcze informację do zanalizowania i naprawienia popełnionego przez niego błędu logicznego. Ten błąd mógł prowadzić do fiaska całego przedsięwzięcia.

Wreszcie drzwi otworzyły się. Towarzyszył temu głośny jęk i świst uciekającego powietrza. Penemue miał niezwykle mało czasu, by się zabezpieczyć i nie dopuścić do gwałtownego wyrzucenia swego ciała w absolutną nicość przestrzeni styku. Prowadzące do wyższych i niższych sektorów stacji drzwi bezpieczeństwa szybko zareagowały na spadek ciśnienia. Zamarły donośnie brzmiące dzwonki alarmowe. Uciekające powietrze uniemożliwiało przewodzenie dźwięku. Penemue ruszył w stronę głównej śluzy. Miał nadzieję, że Wildheit i Kasdeya spieszą mu na spotkanie.

Nadinspektor i renegat Ra również nie sądzili, że wszystko idzie po ich myśli. Niekorzystne umiejscowienie całej operacji w czasie sprawiło, że w niższych rejonach stacji przebywało znacznie więcej ludzi niż przewidywano. Początkowo nie zdawali oni sobie sprawy z jakiegokolwiek zagrożenia. Czterech z nich zostało zastrzelonych jeszcze przed alarmem, który, powiadamiając o sukcesie Penemue'go, postawił wszystkich w stan pogotowia. Pozostali trzej strażnicy na szczęście byli teraz w drodze do śluzy. Od razu zrozumieli co się dzieje i popędzili z powrotem, zaskakując Wildheita i Kasdeyę w jednej z wielkich sal laboratoryjnych.

Podczas gdy inspektor ściągał na siebie ogień, kryjąc się za dużym skupiskiem aparatury, Kasdeya desperacko wspiął się na jeden z potężnych sześciennych izolatorów Chaosu i leżał spokojnie, czekając aż trójka strażników zaryzykuje wejście. Niewiarygodnie celnym i szybkim strzałem powalił trzech wchodzących i wrócił, by pomóc Wildheitowi oczyścić korytarz z kilku dzielnych, nie zważających na niebezpieczeństwo techników, którzy zdecydowali się zagrodzić im drogę. Ta rzeź nie była przyjemna, jednak konieczna, by przeżyć. Starcie pochłonęło cenny czas, który winni byli przeznaczyć na zablokowanie łączności.

– Co?! – Kasdeya zamachnął się, by uderzyć ją grzbietem dłoni. Cios jednak chybił celu. Udaremniła zamach z niewiarygodną szybkością i wykręciła do tyłu rękę atakującego. Nagle pojawiły się okręty wojenne. Natychmiast rozpoczęło się niezwykle widowiskowe dzieło zniszczenia. Wszystkie jednostki eksplodowały tak świetlistym ogniem, że polaryzatory w kopule sterowni przysłoniły pole widzenia, usiłując odciąć gwałtowną i niebezpieczną falę promieniowania.

Upłynęły dokładnie dwie pełne minuty, zanim gwiazdy znów stały się widoczne. Ukazała się wówczas przestrzeń wypełniona olbrzymimi kulami rozżarzonego metalu, które buchały iskrami ognia. Były to jedyne pozostałości wielkich, posępnych okrętów.

– Wynośmy się stąd!

Asbeel zajął miejsce Kasdei przy sterach. Ten ostatni, blady i ponury, przyciskając silnie nadwerężone ramię, śmiało spoglądał na niewiarygodnie spokojną Różdżkę.

– Ty piekielna suko! Dlaczego to zrobiłaś?

– Myślałeś, że będę stać i czekać, aż mnie uderzysz? Zapamiętaj sobie, że potrafię przewidzieć twoje zamiary, zanim sam podejmiesz decyzję. Jeśli następnym razem ty lub ktokolwiek inny spróbuje czegoś takiego, pozabijam was.

– Co zrobisz? Ty nieopierzona gąsko! – Kasdeya nie mógł uwierzyć własnym uszom. Niemalże dławił się z niedowierzania. – Czyżbyś nie wiedziała, jaką opinią się cieszę? – Już zaczął podnosić drugą rękę i wygrażać nią, kiedy zorientował się, że spogląda właśnie na wylot lufy jednego z miotaczy Wildheita.

– Skończcie już z tym! – krzyknął nadinspektor. – Czy nie sądzicie, że z całym wrogim wszechświatem na karku mamy nie dość nieprzyjaciół? Nie potępiam cię za to, co się stało, Różdżko. Jednak dobrze byłoby, gdyby zostało nam kilku sprzymierzeńców, skoro teraz właśnie zabieramy się za Ra. Lepiej unieruchomić to ramię, Kasdeya. Jequn, pomóż mu.

– Wydajesz rozkazy na moim statku? – spytał Kasdeya wojowniczo.

– Nie dlatego, żebym miał na to ochotę, uwierz mi. Jeżeli nie przywrócimy między nami zgody, to jesteśmy zgubieni.

– Na jakiej podstawie uważasz, że potrafisz przejąć dowództwo?

– Posłuchaj, co powiem. Różdżka i ja w ciągu kilku godzin zlikwidowaliśmy więcej okrętów Ra, niż ty w ciągu siedemdziesięciu stuleci. Czy to nie wystarczający powód?

– Tak, ale...

– Jeżeli zostawimy ci zupełną swobodę działania, będziesz żył przez kolejne siedem tysięcy lat uciekając, aż wreszcie dogoni cię śmierć. A ja nie mogę sobie pozwolić na taką stratę czasu. Sam zaproponowałeś, abyśmy połączyli wysiłki. Zgadzam się, ale to ja będę podejmował decyzje i wydawał rozkazy, dopóki robota nie zostanie wykonana. Potem możesz pójść swoją drogą aż do samego piekła, w takim tempie, w jakim ci się spodoba.

Kasdeya skrzywił się cierpko. Najwyraźniej odczuwał straszliwy ból ramienia i nie był w nastroju do dalszej dyskusji.

– Doskonale! Spróbujemy po twojemu. Tylko niech ta głupia gęś nie wchodzi mi w drogę. W przeciwnym razie pokażę jej kilka sposobów użycia siły, których nie będzie w stanie przewidzieć.

Wildheit zobaczył kątem oka, jak Różdżka spręża się do skoku jak dzika tygrysica. Nagle zatrzymała się i zastygła jak znieruchomiały posążek. Przewidziała zamiary nadinspektora – by ją zatrzymać chciał użyć pocisku z ładunkiem obezwładniającym. Obróciła się i spojrzała na niego oczyma pełnymi tłumionej furii.

– Tak, to dotyczy również ciebie, Różdżko. – Wildheit był bezkompromisowy. – Może nie jesteśmy zbyt dobrze dobrani, ale w tym wypadku mamy cel nadrzędny – zniszczyć tę przeklętą Broń Chaosu. Nie myśl, że pozwolę, aby ktokolwiek stanął mi na przeszkodzie. Czy dałoby się jakoś nawiązać łączność radiową z Terrą? – zwrócił się do Asbeela.

– Żadnych szans. Przez styk continuum nie przedostanie się nic, co jest oparte na zjawisku wzajemnych oddziaływań. Chyba, że ma się dostęp do czegoś takiego, jak Broń Chaosu, która powoduje naprężenia w samym continuum. Łączność radiową dałoby się uzyskać jedynie wtedy, gdybyśmy powrócili do nowego wszechświata. Czy to aż tak ważne?

– Saraya stworzył ten nasz zespół katalizatorów, więc przypuszczam, że wie jak go wykorzystać.

Kłopot polega na tym, że zapomniał nam to powiedzieć. Nawet przy najbardziej bujnej wyobraźni byłoby bez sensu przyjąć wyzwanie całego wszechświata, dysponując jedynie naszą bronią. Dlatego należałoby dowiedzieć się, co wymyślił Saraya..

ROZDZIAŁ 11

– Mam duchową łączność z Tallothem. Nadinspektor Hover chce z tobą mówić, ale przedtem ja chciałbym zamienić kilka słów z Tallothem.

Wildheit, obudzony, zwlókł się z koi i zapalił światło w niewielkiej kabinie. Sprawdził chronometr, lecz chodziło mu raczej o przygotowanie własnej psychiki na niezwykły precedens – porozumiewania się symbiotycznych bóstw z ich własnej woli – aniżeli o ustalenie, która godzina.

– O co chodzi, Coul?

– To wszystko, do czego się przygotowujesz przeraża nawet nas – bogów.

– Świadomie do niczego się nie przygotowywałem. Ale proszę mów dalej.

– Już wcześniej zdarzył się taki kataklizm. Wielu z nas nie podołało tej ciężkiej próbie. Kiedy dochodzi do zderzenia wszechświatów, nawet wymiary się zmieniają, kształty wypaczają. Wielu z nas zginęło w czasie niezwykłych burz, których nawet my nie potrafimy zrozumieć.

– Opisujesz kosmologię, które przekraczają moje zdolności pojmowania. Czego chcesz ode mnie?

Obserwując kilka cyklicznych dyżurów załogi, Kasdeya dokładnie obliczył liczbę osób personelu. Odkrył, że w czasie przeznaczonym na odpoczynek, gdy dokonywano zmiany wachty, poniżej głównego segmentu śluz znajdowało się mniej niż pięciu ludzi. W tym samym czasie ponad setka była na górze. Zniszczenie w starannie dobranym momencie całości uszczelnień próżniowych strefy śluz pozwoliłoby zbiegom przejąć kontrolę nad prawie połową stacji, wraz z jej środkami łączności zewnętrznej.

Pozostawał jeszcze problem zatrzymania ludzi schwytanych w pułapkę w górnej połowie stacji. Szybko założywszy odpowiednią odzież, starali by się oni przejść strefę próżnią. Trudność tę rozwiązał Wildheit prostym sposobem. Zdołał niepostrzeżenie zniszczyć wszystkie znalezione na półkach ze sprzętem ratunkowym skafandry. Z każdego odłączył przewody doprowadzające powietrze, wyrzucając je do spalającego śmieci pieca. Takie same skafandry, znajdujące się w dolnej połowie stacji, pozostawił nietknięte, do własnego użytku.

Największy kłopot stanowiła synchronizacja w czasie. Plan zawładnięcia połową stacji mógł okazać się w pełni skuteczny jedynie wówczas, gdy przeprowadzony był w konkretnym momencie cyklu wachtowego. Przyszli uciekinierzy musieliby zostać zawczasu ostrzeżeni o przylocie okrętu żandarmerii lub innego stosownego pojazdu. Pewne było, że w razie wykonania jakiegokolwiek przedwczesnego ruchu, Ra schwytani w pułapkę na górnych poziomach stacji zdążyliby naprawić uszkodzone albo uzyskać wystarczającą ilość dobrych skafandrów, by przekroczyć próżniową barierę. Mogliby także wymyślić jakiś sposób skontaktowania się z innymi stacjami, niweczac próbę ucieczki.

Uzyskanie informacji o zbliżających się statkach bezpośrednio z pomieszczeń łączności, bez zwrócenia na siebie uwagi było jednak niemal zupełnie niemożliwe. W związku z tym cała trójka musiała poprzestać na obserwacji drużyn, obsługujących komory śluzowe w czasie bezpośrednio poprzedzającym przyloty statków z zaopatrzeniem. Ustalenie zakresu czynności każdego członka załogi śluzy oraz odnotowanie osób powoływanych wcześniej do poszczególnych drużyn, pozwoliłoby dość trafnie przewidzieć jakiego typu statek będzie rozładowywany.

Ostatni problem stanowiło zdobycie broni. Planujący ucieczkę odkryli, iż ta niewielka ilość broni, jaka znajdowała się na stacji, w całości należała do oddziału straży. Były to pociski gazowe o ograniczonym zasięgu, które mogły okaleczyć lub zabić, nie stanowiąc jednak zagrożenia dla szczelności kadłuba. W czasie obchodu obiektu strażnicy nosili tę broń przy sobie, kiedy indziej leżała ona rozrzucona niedbale po służbowej kabinie. Wildheit i Kasdeya byli zgodni co do tego, iż dopóki nie podejrzewano zagrożenia, mieli spore szanse wejść do służbowej kabiny i zabrać kilka miotaczy. Synchronizacja w czasie i w tym przypadku odgrywała decydującą rolę. Optymalny moment niekonicecznie musiał wypaść podczas zmiany wachty czy przylotu pojazdu kosmicznego, nadającego się do podróży w głębokiej przestrzeni.

Przy założeniu, że przybycie okrętu żandarmerii nie jest mistyfikacją, ułożyli śmiały plan, który wymagał precyzji działania. Technicy Ra, zakończywszy testy Chaosu, powrócili do swych normalnych zajęć, a nadzór sprawowany nad więźniami przez niewielki oddział straży stał się jeszcze mniejszy. Spiskowcy mieli więc łatwy dostęp do wszystkich stref stacji, z wyjątkiem kilku specjalnie strzeżonych. Wykorzystywali tę swobodę na zaznajomienie się ze szczegółami konstrukcji stacji i jej urządzeń, a szczególnie uważnie przyjrzeli się strefie zawierającej aparaturę łączności oraz wyposażeniu śluzy prowadzącej na zewnątrz kulistego kadłuba.

Penemue podkreślił, że stacja zbudowana była wyłącznie w celach naukowo-badawczych, a projektanci nie brali w ogóle pod uwagę ewentualności sabotażu. Cała konstrukcja podzielona była za pomocą hermetycznych grodzi na pięć głównych stref. Te z kolei podzielone były na poziomy w taki sposób, iż pęknięcie grodzi głównego segmentu, w którym znajdowały się magazyn i urządzenia śluzowe, spowodowałoby przecięcie statku na pół. Jednocześnie przejście z jednej części do drugiej byłoby możliwe wyłącznie dla osób ubranych w skafandry. W górnej części stacji zlokalizowano pomieszczenia mieszkalne i rekreacyjne dla personelu, a bezpośrednio pod nimi główne laboratoria. Jeszcze niżej znajdował się segment magazynów i śluz. Na najniższych poziomach mieściły się pozostałe laboratoria, pomieszczenia obsługi, kabiny łączności i te, w których usiłowano obiekty bombardować Bronią Chaosu.

– Pytanie dotyczy dalszej tego, czego ty oczekujesz od nas. W tym wymiarze jesteś moim wiernym i kochanym żywicielem. W zamian za to staram się od czasu do czasu ratować cię przed konsekwencjami twojej własnej głupoty. Jednak to, w co się pakujesz, wykracza poza wszelkie możliwości naszej interwencji. Nie odważymy się podążyć tam, dokąd zamierzasz wkroczyć.

– Innymi słowy, kiedy droga stanie się naprawdę wyboista, mam liczyć tylko na siebie?

– To właściwa interpretacja. Ludzie w swoim krótkim i jednowymiarowym życiu żywią pogardę dla śmierci. Nie mogą jej podzielać ci, którzy są nieśmiertelni i mają złożoną tożsamość. Dla wyrównania strat, zanim cię opuszczę, otrzymasz specjalne przywileje. Przez krótki okres czasu możesz mnie wzywać nawet w sytuacjach, które nie stwarzają śmiertelnego zagrożenia.

– Dziękuję za propozycję. Kiedy masz zamiar odejść?

– Pozostanę prawie do ostatniej chwili, a kiedy zorientujesz się, że już mnie nie ma na twoim ramieniu, będziesz wiedział, że nadciąga ostateczna katastrofa. Teraz, jeśli odprężysz się, przekażę ci przyziemne myśli nadinspektora Hovera.

– Jym! Dzięki Bogu, że żyjesz! – Głos Hovera wydobywał się z ust Wildheita. – Piekielnie trudno było namówić Tallotha do nawiązania łączności. Upierał się, że nie grozi ci niebezpieczeństwo, które by to sankcjonowało.

– Prawdę mówiąc, w tej chwili jest to chyba prawda. Jak się mają twoje nogi, Cass?

– Rosną lepiej niż syntetyczna cebula. Wczoraj przebiegłem milę w ciągu czterech i pół minuty. Przypuszczam, że pod koniec miesiąca zejdę poniżej czterech.

– To wspaniale, że sobie z tego żartujesz. Czy ustalili już datę ich zamontowania?

– O mój Boże!

– Co się dzieje?

– Jym, jak ci się wydaje, ile czasu upłynęło od naszej ostatniej rozmowy?

– Gdy złapaliśmy kontakt, byłem na statku ratunkowym, zaraz po opuszczeniu Mayo. Myślę, że jakieś trzydzieści godzin.

– Jym, mój chłopcze, posłuchaj mnie uważnie. Tamta rozmowa miała miejsce prawie dwadzieścia miesięcy temu, a nie przed trzydziestoma godzinami.

– W takim razie naprawdę masz już nogi?.

– Założone i sprawne. A na dowód mam nawet odciski. Co ci się u diabła, przytrafiło?

– Chyba się domyślasz. Wpadłem w towarzystwo paru typów, którzy nader beztrosko obchodzą się z prędkością światła. Przypuszczam, że niektóre ich manewry pociągają za sobą wymierną dylatację czasu.

W epoce podróży w podprzestrzeni? Gdzie ty teraz jesteś?

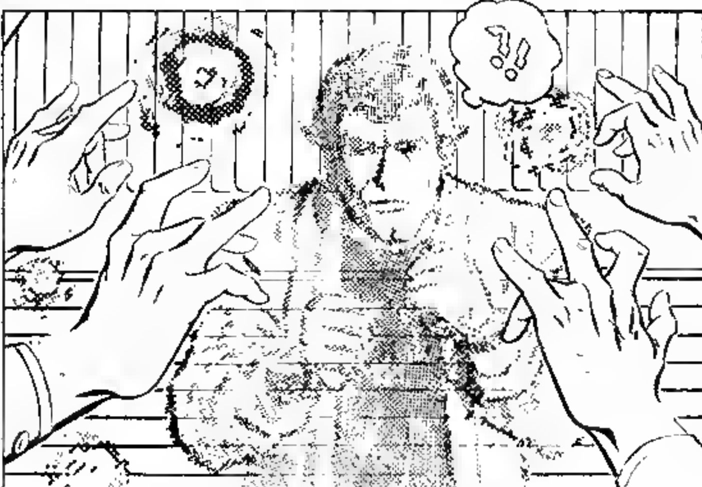
– Nie sądzę, abyś w to uwierzył, Cass.

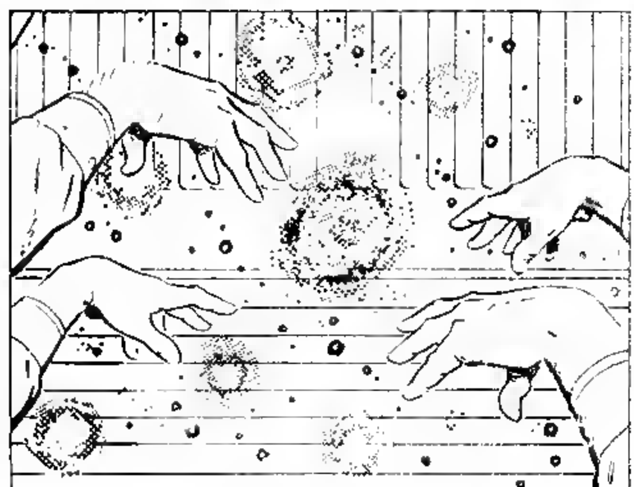

TEN GOŚĆ Z POLICJANTA - MI, SKĄDŚ ZNAM JEGO GĘBĘ ...
Z LISTÓW GOŃCZYCH, KOCHANIE. SZYBCIEJ, SZUKAJĄ CIĘ OD GODZINY.
EXIT
CHECK PRESSURE
INSUFFICIEN WEAR THE SCAPH
MACIE NAKAZ ARESZTOWANIA ? - NIE ?!


DALEJ NIE IDĘ DOPÓKI NIE WYJAŚNICIE O CO CHODZI !
WEJDŹ FUNKY, NIE UTRUDNIAJ.


PRZECIEŻ CHCIAŁEŚ ZOBACZYĆ SIĘ Z DRITT'ADRATTA ?
ŻADEN Z WAS NIE PRZYPOMINA MI GO.
POZORY MYLĄ... DAJ RĘKĘ KOVAL.


CO ZA WYGŁUPY ? W MARYNARZA GRACIE ?
SPOKOJNIE, FUNKY... JUŻ TYLKO CHWILA ..


?!



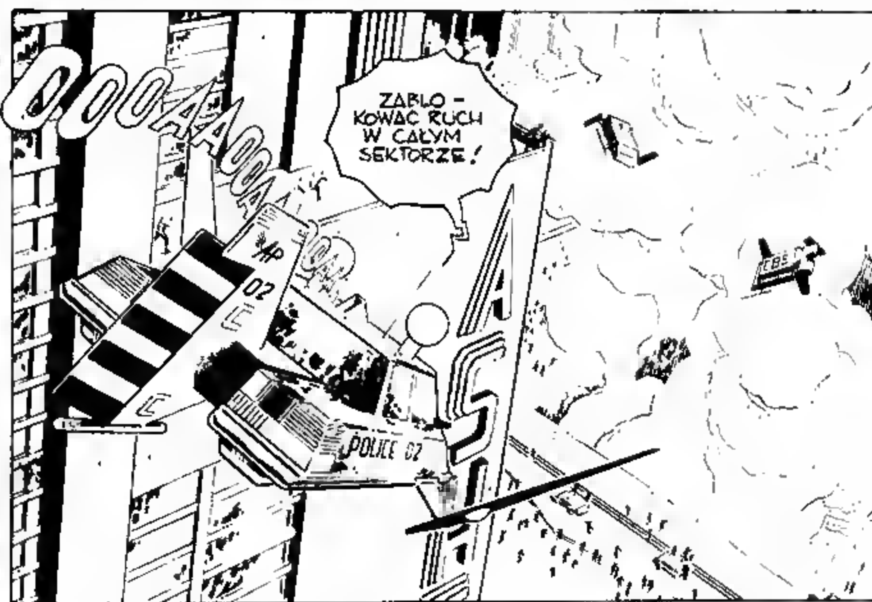

UFFF. GOTOWE.
TY, TRED'AAS ZDEZINTEGRUJ TE SKORUPY I ZNIKAJ W POSELSTWIE. WY DWAJ PRZEBIERZCIE SIĘ I ZLUZUJCIE OITR'PAA OSŁANIAJĄCEGO LILLY. JA ZAJMĘ SIĘ TĄ DRUGĄ.
TAK JEST, YARPS DRITT' ADR-ATTA.


-TAK. MIELI DUŻĄ LITERĘ V W ODZNACE POLICYJNEJ, WYSTAJĄCĄ PONAD OBWÓD GWIAZDY... KOŃCZĘ.
SŁYSZAŁ PAN, DEVRO. JAK PAN TO WYTŁUMACZY?...
V ?!.. CHOLERA... PANIE BARLEY, NIE MA TAKIEJ FORMACJI!


TYMCZASEM...
...LILLY RYE, TAK. Z KSIĘŻYCA... PANIE BARLEY... POWTARZAM, CZTERECH POLICJANTÓW... PRZED CHWILĄ, MIMO CERTYFIKATU, NA OCZACH ŚWIADKÓW...
ZWRÓCIŁA PANI UWAGĘ NA RODZAJ FORMACJI ?!


-BIP! BIP! BIP!
SZEFIE!... TO NIESAMOWITE!... BUDYNEK STELLAR FOX!... ON... ON... NO, NIE MA GO!!!
!?
ZARAZ TAM BĘDĘ!
-BIP! BIP! C.S.S. PREZYDENT DO PANA! ŁĄCZĘ.


...TAK, PANIE PREZYDENCIE... JEST TU DEVRO... JUŻ WIEMY O TYM. DZIĘKUJĘ, PANIE PREZYDENCIE. ZROBIMY, CO BĘDZIE MOŻNA.
-PIIP! T.U.I. PANIE PORUCZNIKU! ZNIKNĄŁ BUDYNEK STELLAR FOX!...
WIEM!
-LECIMY MOIM, BARLEY. BĘDZIE SZYBCIEJ.


OOOAAAA
ZABLOKOWAĆ RUCH W CAŁYM SEKTORZE!
POLICE 02


UWAGA! NIE ZBLIŻAĆ SIĘ, NIEBEZPIECZEŃSTWO WYBUCHU!
ODCIĄĆ DOPŁYW GAZU I WYŁĄCZYĆ PRĄD!
A WODA? TAM LECI UKROP!
NG!
POLICE


NIEBYWAŁE! DYWERSJA?... PRÓBA ZATARCIA ŚLADÓW? ZAMACH???... KTO I PO CO TEGO DOKONAŁ?... CZERWONOOKI DROLL?... ALE JAK???
WYBACZ, BARLEY, TO CHYBA OBSESJA: GDYBYM NIE WIEDZIAŁ, ŻE KOVALA PORWANO, ZAPISAŁBYM TO NA JEGO KONTO.
POLICE


...ŁĄCZNIE Z FUNDAMENTAMI, SZEFIE! TYLKO PODZIEMNE INSTALACJE PRĄDU, GAZU I WODY ORAZ KANALIZACJI POZOSTAŁY W GRUNCIE... RESZTA ZNIKNĘŁA!


...ZACZĘŁO SIĘ 5 MINUT TEMU, PANIE PORUCZNIKU. NIC. ŻADNEGO OGNIA, WYBUCHU, TYLKO TĄPNIĘCIE I... DZIURA W ZIEMI! ...ŻADNYCH OFIAR.
SZEFIE! DZWONI DR. VABUSE Z NASZEJ KLINIKI...


...POWTÓRZ, BO NIE ROZUMIEM. CO JEJ JEST? UMIERA? PORWANO JĄ?... MÓW JAŚNIEJ, DO CHOLERY!


NIE O TO CHODZI, PAUL... ONA ZNIKA!

28 h. PÓŹNIEJ...


ORACO. ŁEB MI PĘKA ...
...CO SIĘ DZIEJE ?... SPAŁEM ... ŚPIĘ ?... NIE ...


...HALUCY-NACJE ?... - ZARAZ, ZDJĘ-ŁA MNIE POLI-CJA !... DALI MI W ŻYŁĘ ?!!


TO *TEN* UKŁAD PLA-NETARNY !!! - AUUU ! BOLI, WIĘC NIE ŚPIĘ ...


ALE TO BZDURA ! TAKIE RZECZY SIĘ NIE ZDA-RZAJĄ !...


..ATMO-SFERA W PRÓŻNI ?... - *INNA* FIZYKA ?!
..CZYSTE SZALEŃ-STWO ...


CO ZNOWU ?... "EFEKT PAN-KRATZA"*!?... COŚ... KTOŚ PRZYBYWA.
A... MOŻE ZWARIO-WAŁEM ? ?

kluczone, że znaleźli coś jeszcze. Podejrzewam jednak inne rozwiązanie. Sądzę, że mała pokazała im metodę przedstawiania, dzięki której odnoszące się do ciebie równanie może być spełnione przez zniszczenie ciebie. Skutek, aczkolwiek gwałtowny, będzie miał czysto lokalny zasięg. Innymi słowy, to co się teraz stanie, nie oznacza ostatecznej katastrofy w ogóle, lecz ostateczną katastrofę przydarzającą się nadinspektorowi J. Wildheitowi.

– Wątpię, czy można czegoś takiego dokonać – zaprotestował Kasdeya. – Wyzwolono by za dużo energii. Jeśli na przykład w tej chwili zostałaby wyzwolona energia wszystkich znajdujących się na tej stacji urządzeń napędowych, z pewnością uległoby zniszczeniu kilka najbliższych stacji. Jeżeli Różdżka jest w jednej z nich, zginęłaby i ona.

– Nieprawda – zareagował Penemue. – W strefie styku skutki ulegają przestrzennemu ograniczeniu. Ta stacja uległaby zagładzie, a inna, oddalona zaledwie o metry, pozostałaby nietknięta. W obrębie styku nie istnieje wzajemny przepływ energii.

– Czy to możliwe, żeby zaplanowali właśnie coś takiego? Przypuśćmy jednak, że rzeczywiście zamierzają zniszczyć stację razem z inspektorem, by dokonać podstawienia entropii, spełniającego równanie Chaosu.

– Do zrównoważenia liczbowych wartości energii konieczny byłby piekielny wybuch.

– To prawda. Ale zmagazynowana energia, której nie wysłano by na styk musiałaby zostać odbita. Stacja ma kolisty kształt, a odbicia wewnątrz kuli wywołałyby w samym jej środku zjawisko indukcji.

– Co zatem robimy, inspektorze – spytał Penemue. Z brutalnych praw termodynamiki zaczyna wynikać, że ostateczna katastrofa może być upozorowana właśnie tu, na tej stacji.

– Powiem wam, co zrobimy: skoncentrujemy wszystkie wysiłki, by wydostać się stąd wszelkimi dostępnymi środkami. Jeżeli mnie tu nie będzie, przewidywany przez Chaos wybuch zostanie zastąpiony przez jakieś inne zjawisko. Największa szkoda, jaką możemy wyrządzić Ra – to kradzież statku nadającego się do lotu w głębokiej przestrzeni i wyprowadzenie go poza styk do starego wszechświata. I niech tam, gdzieś w samym środku flotylli Ra, dokonującej inwazji, dosięgnie nas katastrofa.

– Ten plan odpowiada mi całkowicie – stwierdził Penemue. – Tak, naprawdę, chociaż ma jedną słabość – nie mamy tutaj dostępu do żadnych jednostek, które można by ukraść.

– A ten okręt żandarmerii, który ma przylecieć? – przypomniał Kasdeya.

– Ciekaw jestem, czy to w ogóle prawda – Penemue pogrążył się w głębokiej zadumie. – Jeżeli zamierzają dokonać podstawienia, nie ma najmniejszego sensu, żeby przysyłali okręt żandarmerii. Wtedy, nawet jeżeli by tu przybył, nie będzie co zbierać. Jeśli natomiast pojazd rzeczywiście się zjawi, to bylibyśmy w błędzie co do podstawienia.

– W tej kwestii nie możemy się mylić. W żaden inny sposób nie da się wytłumaczyć różnicy między ustaleniem czasu katastrofy przez inspektora i przez nich.

– To paradoks. Sądzę, że mała potrafiłaby go rozwikłać.

– Zaczynam zastanawiać się, czy Różdżka nie ponosi za niego odpowiedzialności – oświadczył Wildheit. – Umie przepowiadać Chaos w czasie realnym. Zaś Ra potrzebują kilku megaton sprzętu i wiele czasu na obliczenia, aby uzyskać choćby ułamkową część danych, które ona odczytuje jednym spojrzeniem. Bije ich na głowę, jeśli chce.

– Do czego zmierzasz, inspektorze?

– Co by było, gdyby podstawienie zmajstrował nie Zecol, tylko Różdżka? Jeżeli ona wykorzystuje zarówno nas, jak i Ra dla swych własnych celów?

– Posuwasz się za daleko...

– Zastanów się nad tym. Dla pozoru dobiła targu z Zecolem, w zamian za co uzyskała obietnicę uwolnienia Mayo z jarzma Federacji. Przecież ta planeta nigdy nie znajdowała się pod panowaniem Federacji. Mayo sama narzuciła sobie izolację. Cóż zatem ta dziewczyna chciałaby osiągnąć usiłując wytargować coś, co nie jest jej potrzebne?

– Nie wiem. – Kasdeya był zaniepokojony. – Jednak czułbym się o wiele lepiej na statku, gdzieś w głębokiej przestrzeni. Teraz nikt z nas nie ma już nic do stracenia. Bez względu na podstawienie, teoretycznie wszyscy jesteśmy martwi. Zacznijmy zatem szukać sposobu wydostania się stąd.

– No to spróbuj!

– Jestem w zupełnie innym wszechświecie, razem z dzieckiem, które potrafi z głowy przepowiadać Chaos, z symbiotycznym bóstwem, które właśnie złożyło rezygnację i z pięcioma typami, którzy uprawiali socjologię około dwa tysiące lat przed naszą erą.

– Masz rację – nie wierzę ci. Chociaż...

– Chociaż co?

– Chociaż Saraya stoi tuż przy mnie i na wszystko, co mówisz, kiwa potakująco głową.

– Powinien. Przecież to on mnie w to wpakował. Spytaj go, co ma jeszcze w programie.

Wildheitowi przerwało głośne i natarczywe stukanie do drzwi kabiny.

– Poczekaj, Cass. Wygląda na to, że mamy kłopoty.

Za drzwiami stał Gadreel. Z czoła spływał mu pot.

– Inspektorze, Ra szykują się do zmasowanego ataku. W przestrzeni pojawiło się wiele tysięcy statków. Kasdeya chce się z tobą widzieć.

– Zaraz tam będę – odparł Wildheit, ponownie zamykając drzwi. – Cass, powiedz Sarai, że rozpoczyna się inwazja Ra.

– Tak jest! Klnie na czym świat stoi i mówi, że miał nadzieję, iż nie zrobią tego właśnie teraz. Przekroczywszy granicę między wszechświatami mogą sami wywoływać nieszczęścia, a potem rozszerzać ich zakres przy użyciu Broni Chaosu. Czy rozumiesz to Jym?

– I to bardzo.

– Dlatego trzeba koniecznie unieszkodliwić raz na zawsze Broń Chaosu. Czy jesteś w stanie to zrobić?

– Nie wiem jak, ale mogę spróbować.

– Saraya mówi, że samo próbowanie nie wystarczy. Bezwarunkowo musi ci się udać.

– Jeśli to leży w ludzkiej mocy, dokonamy tego.

– Świetnie! Talloth zaczyna się denerwować, wobec tego przerywamy łączność. Uważaj na siebie...

*

Wszyscy, łącznie z Różdżką, udali się do sterowni. Włączono ekrany monitorów, choć i bez nich można było dostrzec niezliczoną ilość świetlnych punkcików, poruszających się na tle gwiazd. Początkowa ocena Gadreela okazała się zaniżona, ponieważ tysiące statków przemieniło się w dziesiątki tysięcy, a potem w setki tysięcy. Wędrowcy wyroili się z przestrzeni jak złociste owady i niezwykłym, imponującym warkoczem podążali w kierunku swej ziemi obiecanej.

Ekrany ukazywały powiększony i znacznie bardziej złowrogi obraz. Między niczym nie wyróżniającymi się statkami, które Wildheit uznał za transportowce, leciały równie liczne, paskudnie wyglądające pojazdy, które były niewątpliwie silnie uzbrojonymi, nowoczesnymi okrętami wojennymi. Czoło całej armady stanowiły olbrzymie jednostki bojowe, podobne do tych, przed którymi cudem umknął pojazd Kasdei. Swą liczebnością już dorównały siłom Federacyjnych Wojsk Przestrzeni, a nic nie wskazywało, by potężny strumień kosmicznych jednostek miał się kiedykolwiek skończyć.

– Czy to wszyscy się tu pchają, cały wszechświat? – spytał Wildheit. W jego głosie pobrzmiewała żałosna nuta.

– Nie te proporcje, inspektorze – odezwał się Kasdeya z ponurym uśmiechem. – To siły pięciu układów gwiezdnych. Zaledwie zwiad. W tej galaktyce istnieje ze sto tysięcy zamieszkałych układów, a w tym wszechświecie co najmniej sto miliardów galaktyk. Masz przed sobą najcieńszy skrawek najmniejszego z możliwych wycinków wszechświata.

– I oni boją się Federacji?

– Ich jednostki nie mają możliwości uzupełniania paliwa, ani amunicji. Tylko niektóre z nich wyposażone są dość dobrze, by móc odbyć podróż między wszechświatami w tę i z powrotem. Z logistycznego punktu widzenia znajdują się w skrajnie niekorzystnym położeniu. Okręty Federacji mogą je zaatakować, a potem wrócić do bazy, gdzie zostaną naprawione oraz zaopatrzone w broń i paliwo. Ra muszą wozić ze sobą każdą najdrobniejszą rzecz. Dopóki nie uda im się założyć kolonii przemysłowo-

dostawczych, stanowiących oparcie dla lotów w przestrzeni, co zajmie im najmniej dwadzieścia lat, nie mogą liczyć na żadną pomoc znikąd. Dlatego ta pierwsza część floty jest spisana na straty i jej zadaniem jest tylko zdobycie i utrzymanie przyczółka.

Wildheit wrócił do monitorow, usiłując pogodzić widok uzbrojonych, potężnych wojsk z opinią Kasdei, uważającego je za spisany na straty zwiad. Musiał przyznać, że różnia poglądów mogła wypływać z odmiennej skali, jednak zdrowy rozsądek zawodził go na widok nieprzerwanego, złowistego potoku statków, który płynął, jak się wydawało, z nieskończoności.

– Gdzie jest Broń Chaosu? – spytał nagle.

– Chwilowo umieszczono ją gdzieś na styku wszechświatów. Co masz zamiar zrobić, inspektorze?

– Chcę ją unieszkodliwić.

– Jesteś równie pomylony, jak ta geś.

– Dlaczego? Czy sabotaż jest niemożliwy?

Z podejmowaniem decyzji zaczekaj, aż ją zobaczysz. Nie wydaje mi się, abyś zdawał sobie sprawę z rozmiarów tej Broni. Oni wysysają całe gwiazdy aż do jądra, aby dostarczyć jej energii. By zogniskować promień utworzyli stabilizowany pierścień z dziesięciu czarnych dziur – każda o masie dwukrotnie przewyższającej masę słoneczną. Kiedy Broń zaczyna działać, powoduje zniekształcenie wartości π w promieniu ponad pięciu lat świetlnych.

– Mimo wszystko musimy spróbować. Jeżeli ta flotylla przedostanie się do nowego wszechświata, a Broń Chaosu będzie ciągle sprawna, Ra mogą zwyciężać wszędzie, gdzie zaatakują.

Dlaczego?

– Czy możesz sobie wyobrazić bardziej morderczą kombinację, niż samobójcza flota w połączeniu z Bronią Chaosu? Gdy przedostana się na drugą stronę styku, będą mogli swobodnie inicjować katastrofy w dowolnych miejscach.

– To stwierdzenie świadczy o dużej spostrzegawczości, inspektorze. Zadziwiasz mnie, ponieważ do tej pory twoja wiedza na temat Chaosu była, najłagodniej mówiąc, powierzchowna.

– Mam opóźniony zapłon – odparł Wildheit, nie chcąc wdawać się w szczegóły. – Czy atak już się rozpoczął?

– Spytaj tego kurczaka. Wydaje się, że ona dość dokładnie widzi przyszłość.

– Czyżbym słyszał niechętne uznanie?

– Inspektorze, widziałem jak się zatrzymała, kiedy zaledwie pomyślałeś o tym, by skierować w jej stronę lufę granatnika. Przysiągłbym, że nie drgnął ci nawet jeden mięsień, a ona wiedziała o twoim zamiarze. Łatwo przekonują mnie fakty, które pomagają przetrwać.

– Różdżka?

– Wzory działają z większą gwałtownością, niż można to opisać słowami. Powoli nadciąga ostateczna katastrofa. Jest jeszcze czas na zaatakowanie Broni Chaosu i nie zachodzą poważne zmiany entropii. Myślę, że powinniśmy spróbować.

– Zgoda – powiedział Kasdeya. – Penemue, podaj wykres przebiegu styku wszechświatów. Chcę, aby inspektor sam zobaczył, na co się porywa. Osobiście nie widzę możliwości uporania się z obiektem o takich wymiarach, ale być może katalizatorzy Sarai zdolni są osiągnąć więcej niż logika.

*

– Gdzie jesteśmy? – spytał Wildheit, gdy skończyła się udręka szybkiego lotu.

– Dokładnie na styku, teoretycznie nigdzie. – Okazało się, że jedyną osobą kompetentną jest Penemue, na którego barkach spoczywał ciężar większości prac obliczeniowych. – W tym miejscu nie należymy do żadnego z wszechświatów. Znajdujemy się na styku, który oddziela dwa wszechświaty. Jest to teren jedyny w swoim rodzaju, bezgwiezdny, nie posiadający masy, teoretycznie nieskończony, gdzie obowiązują odwrócone zasady fizyki. Jego granice określa tylko prędkość światła. Nie jest to ani przestrzeń stojąca, ani wirująca, ani jakakolwiek inna, którą dałoby się określić. To w ogóle nic, w najbardziej dosłownym sensie.

– Jednak materia może tutaj istnieć? – Wildheit wysilał się, aby zrozumieć Penemue'go.

Ra przeżyli jednak chwilę triumfu, kiedy poświęcili swoją uwagę Różdżce. Dotyczące jej wzory pozostawały w całkowitej zgodzie z ich własnymi i nic nie wskazywało, by miała być wyzwalającym katastrofę katalizatorem. To, że napawający ich przerażeniem katalizator Chaosu dzielił się na dwie nieidentyczne składowe, zostało uczczone nocnym świętowaniem. Byli coraz bardziej przeświadczeni, że wkrótce uda im się rozwiązać problem.

Kasdeya także zmienił zdanie o Różdżce. Złościło go to, że chętnie współpracowała z Ra podczas testów, jak również i sposób prowadzenia uczonych dyskusji z technikami na temat wyników badań. Kiedy jej to zarzucił, udzieliła wymijającej odpowiedzi i wpadła w ponury nastrój. Gdyby Zecol ich nie pogodził, mogłoby dojść do ostatecznego rozłamu.

W godzinach przeznaczonych na odpoczynek przybyła grupa uzbrojonych strażników, którzy zabrali Różdżkę, Asbeela i Jequna do śluzy, gdzie potajemnie został sprowadzony wahadłowiec. Wyruszył ku nieznanemu miejscu przeznaczenia, pozostawiając Wildheita, Kasandrę i Penemue'go w rozpaczy i w gniewie. Wraz z odlotem Różdżki zostali pozbawieni klucza, dzięki któremu mogliby sprawdzać słuszność swych porzynań, konfrontując je z przepowiedniami Chaosu. Nagle cała kampania wydała im się daremna, a perspektywa szybkiego urzeczywistnienia się ostatecznej katastrofy mniej realna niż stosy wykresów, z których pozornie wynikało, iż wydarzy się ona w bardziej odległej przyszłości.

Nie mogli mieć pewności, czy podział był zamierzony, czy wynikał po prostu z przebiegu badań. Wizyta Zecola wzmogła jeszcze ich rozczarowanie. Był w ogromnie radosnym nastroju.

– Nasza misja ma się ku końcowi – oświadczył. – Wezwałem już okręt żandarmerii, który zabierze was do Bazy Wojennej. Kasdeya i Penemue staną tam przed sądem za udział w wydarzeniach, które sprowokowały Wielki Gniew oraz w licznych, późniejszych, świadczących o zdradzie zajściach. Na uniewinnienie nie ma szans. Co się tyczy ciebie, nadinspektorze, opór przyspieszy tylko twoją śmierć zresztą i tak nieuniknioną.

– Dziwię się, że zadajecie sobie taki trud – powiedział Kasdeya. – Baza Wojenna znajduje się daleko stąd. Czy ma sens zabieranie nas tam wyłącznie w celu wykonania wyroku?

– Nie rozumiesz istoty sprawy. Teraz, gdy cień, który nad nami wisiał został rozproszony, wasz pokazowy proces będzie jednym z ciekawszych punktów naszego święta.

– Gdy cień został rozproszony? – szybko zareagował Penemue.

– Pozostało jeszcze do załatwienia kilka drobiazgów, ale nie ma już problemów nie do rozwiązania. Dziewczyna z Mayo wykazuje w takich sprawach nadzwyczajną bystrość, zwłaszcza od czasu odseparowania jej od inspektora. Bez jej pomocy nie zaszlibyśmy tak daleko w tak krótkim czasie.

– Za jaką cenę kupiliście tę pomoc? – spytał nagle Wildheit.

– Nie twój interes. Zresztą skoro już pytasz, za obietnicę wyzwolenia ludu planety Mayo spod ucisku Federacji.

– Do licha! Powinienem się domyślić – Wildheit prawie się uśmiechnął. – Komandorze, przekonasz się, że dobiłeś najgorszego ze złych targów.

– Nie ma tam nic takiego, czego nie załatwiłoby kilka miotaczy – cynicznie odparł Zecol.

– Nie wydaje ci się, że Różdżka przepowiedziałaby to zawczasu? O nie, komandorze, nawet diabeł pomyślałby dwa razy, nim zdecydowałby się paktować z którymś ze Zmysłowców.

– Rozczarowujesz mnie, inspektorze. Oddaję ci cześć jako człowiekowi dzielnemu, ale przegranemu. Nie psuj wyobrażenia o sobie szukaniem dziury w całym. Nie planujemy już więcej żadnych testów. Możesz więc odprężyć się do czasu przybycia okrętu żandarmerii.

Kiedy komandor opuścił stację, Wildheit zebrał swoich ludzi.

– Coś tu nie gra – zaczął. – Penemue, widziałeś wyniki ostatniego testu? Czy cokolwiek wskazywało na zasadniczą zmianę wzorów?

– Wręcz przeciwnie. Doszły dwie cyfry istotne dla dokładnego określenia czasu.

– Wobec tego jaką grę prowadzi Zecol? Zapewne nie jest aż tak głupi, żeby polegać na tej małej. Z przepowiedni Chaosu nie dowie się, co ona knuje.

– Jak myślisz, dokąd zabrali Różdżkę?

– Pewnie nie dalej, niż do stacji sterowania Bronią.

– Mieli zatem dość czasu na wykonanie dodatkowych badań Chaosu – stwierdził Penemue. – Niewy-

walo kolejną fazę procesu, w trakcie którego w głąb każdego poziomego tunelu wystrzelono wiązki jakichś promieni, zeogniskowane na osobie nadinspektora.

Wildheit nie wiedział, jaki charakter mają te promienie. Przez chwilę odczuwał jedynie silne promieniowanie cieplne. Następnie został porażony jedynie ładunkiem elektrycznym. Włosy stanęły mu dęba. Iskry wyładowań z prętów klatki skakały mu po ciele. Cofnął się możliwie najdalej od prętów, lecz duże, strzelające iskry przeskakiwały mu między palcami, z ramion na klatkę piersiową, a z brody i uszu na szyję.

– No i jak? – spytał zaniepokojony Penemue.

– Kiedy piecze się mięso, powinno się dolać trochę sosu i wrzucić nieco jarzyn. Oni smażą mnie żywcem. Powiedz im, żeby wyłączyli tę piekielną maszynę.

– Spróbuję – głos Penemue'go brzmiał niepewnie. Nim zdążył przekazać prośbę inspektora, gdzieś z sali dobiegł dźwięk głośnego wybuchu. Maszyna zamarła.

– Nie musiałeś przedstawiać im tego tak przekonująco – powiedział Wildheit z drwiną.

– To nie ja, sam to zrobiłeś – odrzekł podniecony Penemue. – Kiedy zaczęli badać przyszłość, twój wskaźnik Chaosu podniósł się znacznie i nagle piął się w górę do nieskończoności. Jego wzmocnienie było tak silne, że nie zdołali zapobiec przeciążeniu. Rozsadziło im mnóstwo sprzętu. Zeroi odchodzi prawie od zmysłów. Gotów przysiąc, że zrobiłeś to by mu dokuczyć.

– Co z tego wynika?

– Na podstawie skutków, które do tej pory widziałem, sądzę, że twoja przepowiednia ostatecznej katastrofy pozostaje w mocy. To nie wszystko – przepowiednia wskazuje, iż w chwili wybuchu znajdziesz się gdzieś w pobliżu jego epicentrum. Dowodzi to rzeczywistego istnienia katalizatora sytuacyjnego, a ty jesteś pośrednikiem, który wywołuje reakcję. Nie są tu jednomyślni co do charakteru samej katastrofy, ani co do sytuacji, w której ją wyzwolisz.

– Wolałbym osobiście uzyskać trochę informacji. Czy oni mają zamiar mnie stąd wyciągnąć?

– Jeszcze nie. Próbują zamontować jakiś nowy sprzęt kontrolny, by dokonać jeszcze kilku prób ze zmianą niektórych parametrów. W jednym punkcie obliczenia czasowe są zupełnie niezgodne z pierwotnymi przepowiedniami. Według was katastrofa powinna wydarzyć się w ciągu kilku dni, podczas gdy oni uważają, że jest to sprawa lat. Jeżeli wy macie rację, a oni są w błędzie, bardzo niewielu Ra miałoby w ogóle jakąś szansę ujrzenia nowego wszechświata.

ROZDZIAŁ 15

Zakwaterowano ich w jednym ze skrzydeł stacji, gdzie czekał ich nieoczekiwany luksus – jednoosobowe kabiny i świetlica do wspólnego użytku. Nadzór ze strony strażników miał wyłącznie symboliczny charakter. Poza rzadkimi przylotami statków z zaopatrzeniem, nie było żadnych sposobów ucieczki. Z wyjątkiem kilku specjalnie strzeżonych stref, mogli właściwie poruszać się swobodnie po całej stacji. Wildheit zamierzał to wykorzystać.

Zaangażowanie wszystkich czterech renegatów Ra w charakterze tłumaczy oznaczało w praktyce, iż wspólnie mieli oni dostęp do większości wyników testów. Jednocześnie dysponowali wystarczającą ilością wolnego czasu, by zbadać stację i jej związki z Bronią Chaosu. Najcenniejszą informacją, którą uzyskali dzięki swobodzie poruszania się było to, że właśnie tu, na tej stacji, programowano obiekty bombardowań. Natomiast systemy sterowania Bronią były kontrolowane przez inną stację, znajdującą się nie opodal. Najbardziej przygnębiający był fakt, iż wszelkiego typu porozumiewanie się między orbitującymi stacjami odbywało się za pomocą komunikatorów. Prawie nigdy nie wymieniano między stacjami ludzi. Udaremniło to plan Wildheita, zakładający próbę sabotażu.

Tymczasem napięcie wśród technicznej załogi stacji rosło. Zgodnie z podejrzeniami Penemue'go potwierdzało się to, że katalizatorem Chaosu był splot okoliczności, a inspektor spełniał wyłącznie rolę pośrednika. Ra nie potrafili uzyskać rozstrzygających wyników z czegoś tak niematerialnego jak sytuacja teoretyczna. Przeprowadzane przez nich testy coraz wyraźniej wskazywały na istnienie związku przyczynowego między Wildheitem i ostateczną katastrofą. Dowodziły także znacznej niezgodności czasowej między przepowiedniami dokonanymi na podstawie wzorów Wildheita i tymi, które pochodziły z analizy Chaosu przez Ra.

– Z pewnością, ale nie daj się zwieść oczywistą prostotą tego faktu, inspektorze. Matematyka tej przestrzeni jest obłędna. Podstawową zasadą w odniesieniu do przedmiotów jest to, że prawo względności oddziaływuje tu wyłącznie w ich wnętrzu. Mówiąc przystępnie, to kadłub tego statku umożliwia zachowanie w jego wnętrzu podstawowych zasad fizyki. Na zewnątrz żadne ujednolicone prawa fizyki nie istnieją.

– Wydawało mi się, że obiecałeś używać prostych słów – poskarżył się Wildheit. – Jakie to ma znaczenie w praktyce?

– Takie, że jest to jedyne miejsce, w którym mogła zostać stworzona Broń Chaosu. Co do charakteru samego styku – masa nie ma tu ciężaru, bezwładności, ani pola grawitacyjnego. Człowiek mógłby tu ręcznie przesuwać planety, jak gdyby były wypełnionymi powietrzem balonikami. Poruszałyby się w tym kierunku, w którym zostały popchnięte i zatrzymywały w miejscu, w którym człowiek by je zatrzymał. Manipulować można nawet czarnymi dziurami. Bez względu na to, jak silne jest ich wewnętrzne pole grawitacyjne, poza ich skorupą siła przyciągania, zgodnie z definicją, przestaje działać. Te właśnie warunki, inspektorze, umożliwiły stworzenie i uruchomienie tego.

Penemue dramatycznym gestem nacisnął przycisk. Po chwili ożył jeden z największych ekranów, odsłaniając wyłaniającą się z nicości, zapierającą dech konstrukcję. Po lewej stronie ekranu, wokół niewidocznej osi, bez końca obracała się lśniąca metalicznie, ażurowa konstrukcja przypominająca gigantyczne łożysko kulkowe bez kulek. W centrum ekranu na tej samej osi, co obracająca się konstrukcja, widniała olbrzymia aparatura, która najbardziej kojarzyła się Wildheitowi z wnętrzem starodawnej lampy elektronowej. Zespoły płytek odchylających i toroidalnych pierścieni wyraźnie sterowały trzonem tego dziwnego urządzenia.

Po prawej stronie ekranu, również na tej samej osi, widniała olbrzymia, szeroka tarcza, która obracała się zgodnie z kierunkiem ruchu metalowej klatki. Ze środka tarczy sterczał olbrzymi złoty lej, którego otwarty koniec rozszerzał się, jak jakiś niezwykły, kosmiczny róg. Nie koniec na tym. Poniżej, wokół całej konstrukcji orbitowały migocząc niewielkie stacje satelitarne. Całą scenerię oświetlały cztery niewielkie słońca, wiszące nieruchomo, jak gdyby powiązane niewidzialnymi nićmi.

– I to jest Broń Chaosu? – spytał wreszcie Wildheit.

– Tak, inspektorze. A teraz przedstawię ci niektóre szczegóły. W tej konstrukcji znajduje się, choć nie możesz tego zobaczyć, dziesięć czarnych dziur, z których każda ma średnicę około dwóch kilometrów i masę dwukrotnie przewyższającą masę twojego ziemskiego słońca. Średnica konstrukcji wynosi około dwudziestu pięciu kilometrów. W centrum znajduje się sekcja akceleracyjna, która liczy ponad sto pięćdziesiąt kilometrów długości, a z prawej strony umieszczony jest reaktor wirowy o wysokości piętnastu i średnicy trzydziestu kilometrów. Róg spełnia funkcję kolektora. Gwiezdne tworzywo ze starego wszechświata jest do niej wciągane z szybkością ponad dziesięciu mas gwiezdnych na sekundę.

– Do licha!

– Wiązka promieni, wychodząca z tej konstrukcji – to czysta entropia, oczyszczona ze wszystkich ubocznych zjawisk. Jej energia jest tak ogromna, że pomimo kolosalnego tłumienia podczas przechodzenia przez styk, nadal zachowuje zdolność modyfikowania zdarzeń w dowolnym punkcie nowego wszechświata.

– To nie ma sensu – powiedział Wildheit. – Tak potężna aparatura i energia, by osiągnąć tak ograniczone efekty?

– Efekty są czymś względnym, zależnym od punktu widzenia i potrzeb, inspektorze. Widzisz, oni nie zajmują się pojedynczymi zdarzeniami. Dokonują serii obliczeń Chaosu i próbują przekształcać łańcuchy zdarzeń, które wydają im się niebezpieczne zarówno w teraźniejszości, jak w przyszłości. Skala efektów fizycznych jest niewspółmierna do rzeczywistych skutków. Liczy się ilość zmian, które udaje im się zręcznie przeprowadzić.

Kasdeya, który dotychczas przysłuchiwał się rozmowie stojąc z tyłu, zbliżył się teraz.

– Czy nie widzisz, inspektorze, że zniszczenie planety może znaczyć tyle, co strata gwoździa do podkowy, gdy w grę wchodzi zwycięstwo lub klęska w rozstrzygającej bitwie? W rzeczywistości, zawsze, gdy była użyta Broń Chaosu największe katastrofy powodował raczej efekt podmuchu powrotnego, nadmiernie naprężonego continuum, a nie użyta energia. Jak już wcześniej bardzo trafnie zauważyłeś,

z chwilą, gdy statki przeciwników znajdą się po drugiej stronie styku, atak zyskuje nowy wymiar. Mogą wówczas wywoływać niewielkie katastrofy i potęgować ich działanie za pośrednictwem efektu podmuchu.

– Inspektorze! – wykrzyknął Gadreel, śledząc uważnie obraz na ekranie. – Zdaje mi się, że będziemy mieli pokaz.

Wszyscy stłoczyli się wokół ekranu, a Gadreel wykreślał tor szybko przemieszczającej się cieniutkiej nici, która jak gdyby niesiona przez jakąś trąbę powietrzną, szukała na oślep wejścia do potężnego rogu. Odnalazłszy je, włókno skręciło się w naprężoną spiralę, która stawała się coraz grubsza. Przemieniła się w młotek, a później w sznur wibrującej energii, która wydostając się z odległych krańców nicości, gorączkowo szukała wejścia do wnętrza kielicha złocistej trąby. Wkrótce olbrzymia, ognista nić zaczęła pulsować, gdy przypominające perły skupiska czystej energii ze wzrastającą częstotliwością wślizgiwały się w gigantyczną paszczę nieprzerwanie wirującego reaktora.

– Wygląda na to, że szykują coś wielkiego – Penemue wyraźnie był pod wrażeniem. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – to zasilanie, z taką szybkością! Ciekawe, co oni knują? Jeśli uwolnią całą tę energię w jednym tylko wybuchu, to wstrząs przerzuci każdego na drugi kraniec rzeczywistości.

– Zmieniają namiar – powiedział Kasdeya. – Spójrz w jak skoordynowany sposób to wszystko się obraca. Tylko tutaj, na styku, można osiągnąć tak wielką manewrowość.

Wildheit nie słuchał ich. Coul był niepokojąco spięty. Nadinspektor odwrócił się, by popatrzeć na Różdżkę. Wstrząsnął nim widok przerażenia malującego się na jej twarzy. Mimo iż spazmatycznie poruszała rękoma [illegible] strach, że nawet nie była w stanie krzyczeć.

my mamy zestawy wielu zmiennych o potencjalnie różnorodnych interpretacjach i zamierzamy je wykorzystać.

– Tonący brzytwy się chwyta – powiedział Wildheit.

– Nie sądzę. Stwierdzono u was obojga niezwykle potężną moc katalityczną. Jestem świadomy faktu, iż zabicie was nie musiałoby przerwać katalizowanej reakcji. Niekiedy, w przypadku wydarzeń społecznych o charakterze martyrologicznym, śmierć przywódcy może właśnie wyzwolić reakcję. Dlatego zamierzamy przeprowadzić na was analizę Chaosu, by określić charakter waszej katalizy i pokierować nią tak, by zmniejszyć rozmiary zniszczeń.

– To się nie uda – odparł Wildheit. – Wzory są już ustalone i nie ma w nich przyszłości dla Ra.

– Wobec tego trzeba ją tam wpisać, inspektorze. Chcemy się właśnie dowiedzieć, jak to zrobić. Dzięki temu, co uzyskamy poddając was badaniom, nie tylko będziemy mogli przetrwać, lecz także z góry zapisać kształt własnej historii. Myślę jednak, że lepiej będzie, jeśli zajmiemy się teraz praktyką, ponieważ czas płynie, a mamy wciąż mnóstwo do zrobienia.

*

Klatka, w której umieszczono Wildheita, pomyślana była nie tyle jako sposób na uwięzienie go, ile jako winda, za pomocą której można by przenosić go do olbrzymiego aparatu w jednej z sal ze sprzętem naukowo-badawczym. Nadinspektor, zamknięty jak ptak w kulistej klatce został uniesiony wysoko w górę. Nie mógł oprzeć się myśli o średniowiecznych sposobach karania. Polegały one właśnie na win-dowaniu uwięzionego w klatce człowieka wysoko ponad ziemię i pozostawianiu go tam, by umarł z [illegible] pożywieniem dla padlinożernych ptaków. Miejsce przez-[illegible] klatki z Wildheitem było znacznie mniej eksponowane.

Wildheit, gorączkowo próbując zorientować się w sytuacji, znów odwrócił się w stronę ekranu. Natychmiast powód przerażenia Różdżki stał się dla niego oczywisty. Zorientował się, że spogląda na wycelowaną w nich Broń Chaosu...

ROZDZIAŁ 12

Kasdeya również to zobaczył. Rzucił się do przyrządów sterowniczych, zamierzając wyprowadzić statek z zasięgu działania Broni, nim zdąży ona wystrzelić. Różdżka w niewytłumaczalny sposób otrząsnęła się z szoku, krzyknęła na znak protestu i wcisnęła się między Kasdeyę i tablicę z przyrządami. Odepchnął ją i chwycił za stery, lecz ona natychmiast wróciła i zaczęła szarpać jego dłonie tak gwałtownie, że jej paznokcie wbijały mu się w skórę.

– Nie wyprowadzaj statku! – krzyczała, niemal płacząc.

– Zjeżdżaj stąd, durna babo! – Kasdeya odtrącił ją na bok, odzyskując miejsce przy tablicy sterowniczej. Po krótkiej chwili znów była przy nim, jeszcze bardziej zdecydowana mu przeszkodzić. Niespodziewanym ciosem, wymierzonym grzbietem delikatnej dłoni, powaliła go nieprzytomnego na pokład.

Gadreel, jak w hipnotycznym transie, obserwował kierującą się w ich stronę Broń Chaosu. Odgłosy awantury zmusiły go do obejrzenia się. Natychmiast skoczył, by zająć miejsce zwalonego z nóg Kasdei.

– Co ty wyprawiasz, mała? Chcesz nas pozabijać?! – krzyknął. Odwrócił się w stronę Różdżki, w pełnej gotowości, przygotowany na odparowanie każdego ciosu. Okrążyła go ostrożnie, a gdy dotknął sterów wrzasnęła:

– Nie! Nie dotykaj tego!

Gadreel chcąc ją odpędzić, udał, że atakuje i jednocześnie wezwał Penemue'ego na pomoc. Na ekranach przyrządów sterowniczych ukazała się Broń Chaosu wycelowana w sam środek statku... Wciąż z zawrotną szybkością gromadziła energię... W żaden sposób nie można było stwierdzić, ile sekund pozostało jeszcze do odpalenia.

Ta chwilowe odwrócenie uwagi dało Różdżce szansę, której tak potrzebowała. Dziewczyna zadała zręczny cios w ramię Gadreela, zmuszając go do zasłonięcia się. Robiąc zwrot, stracił jednak równowagę, a kończące uderzenie – tak szybkie, że nie dawało się nadążyć za nim wzrokiem – sprawiło, że runął

W olbrzymim bloku, o ścianach o powierzchni pięćdziesięciu metrów kwadratowych, wyk[illegible] jakiegoś materiału ochronnego, przewiercony był pionowy szyb. Pod kątem prostym do ścian [illegible] przeciwległymi płaszczyznami sześcianu, wydrążono okrągłe tunele. Dźwig zwiózł więźnia o[illegible] powoli na dno szybu, aż do miejsca przecięcia się tuneli. Kulista klatka została ustawiona [illegible] trzech wymiarów. Do wnętrza przedostawało się jedynie przytłumione światło z góry. Podcza[illegible] jazdy nadinspektor zauważył, iż na końcach poziomych tuneli zainstalowane były głowice, kt[illegible] dopodobnie miały napromieniować klatkę i zarejestrować uzyskane wyniki.

– Słyszysz mnie, inspektorze? – spytał nagle rozbrzmiewający echem w tunelu głos.

– Kto tam jest?

– Penemue. Będę tłumaczem podczas tego seansu.

– Co zamierzają ze mną zrobić?

– Zostałeś osłonięty, najbardziej jak to możliwe, przed ubocznym promieniowaniem entrop[illegible] ny będziesz teraz zmianom stanu entropii w celu określenia twoich widm Chaosu. Mają na[illegible] wydedukują wówczas charakter twojego katalitycznego oddziaływania.

– Czy to im dużo powie?

– Nie sądzę. Jeżeli Saraya należycie wykonał swoją robotę, prawdziwym katalizatorem staje [illegible] cja, a ty jesteś zaledwie pośrednikiem, z którym ta sytuacja się łączy. Myślę, że Ra również [illegible] się, że to prawda, co nie przeszkadza im próbować udowadniać, że jest inaczej.

– Czy należy spodziewać się bólu?

– To zależy od pola, jakie zastosują i od wyników, jakie uzyskają.

– Powiedz im, żeby się pospieszyli, bo w tej klatce dla papugi drętwieją mi mięśnie, których [illegible] prawie nie czuję.

Penemue nie miał raczej możliwości przyspieszenia programu, aczkolwiek przyrządy niema[illegible] miast zaczęły działać. Najpierw nastąpił silny podmuch powietrza, wtłaczanego poziomymi t[illegible] wylatującego przez szyby pionowe. Wildheit znalazł się w samym centrum miniaturowego h[illegible] Wicher hulał ze świstem między drążkami klatki. Następnie wprowadzono do akcji aparaturę [illegible] Na końcach tunelu rozbłysła czerwona, pulsująca jasność. Nieprzerwane, jękliwe buczenie s[illegible]

Nadinspektór długo obserwował widoczne na ekranie szczegóły Broni Chaosu. Kasdeya ustalił, jak obsługiwać regulator zbliżenia obrazu i jak zmieniać kąt teledetektora, aby uzyskać obraz całej Broni. Konstrukcja techniczna Broni była imponująca, ale dwa razy bardziej fascynowały jej gigantyczne rozmiary. Całość urządzenia, łącznie z przerwami między poszczególnymi częściami składowymi, osiągała długość blisko dwustu pięćdziesięciu kilometrów. Teraz było nieczynne. Widok wnętrza części wielkiego rogu, do którego wpuszczana była wirowo materia gwiezdna, odsłaniał olbrzymie spiralne zwoje i leje. Materiał, z którego to wszystko było zbudowane, uległ poważnemu zniszczeniu wskutek stykania się z zabieraną gwiazdom plazmą.

Zecol, gdy powrócił, zastał Wildheita nadal pochłoniętego studiowaniem obrazu na ekranie. Z uznaniem pokiwał głową.

– Jeśli zlokalizujemy kiedyś jakiś uszkodzony statek z nadinspektorem na pokładzie, wydam rozkaz, by go natychmiast zniszczyć. Nie sądzę, bym mógł znieść jeszcze jedno takie spotkanie – powiedział komandor, zwracając się wyraźnie do Kasdei. – Inspektora i dziewczynę przekazujemy właśnie do laboratorium naukowego Chaosu, by poddać ich doświadczeniom. Pozostała czwórka dotrzyma im towarzystwa, pełniąc rolę tłumaczy. W ten sposób, być może, zyskacie niewielkie odroczenie egzekucji.

– Rozumiem – powiedział Kasdeya grobowym głosem.

– Nie myśl sobie, że uda się wam zbiec. Nie macie dokąd uciekać. Szansa przeżycia jest wprost proporcjonalna do stopnia waszego współdziałania. W komorze śluzowej czeka na was wahadłowiec. Zbierz resztę i zgromadźcie się tam.

Kasdeya, z lekka oszołomiony nieoczekiwanym udzieleniem mu pewnej swobody, udał się po Asbeela, Jequna i Penemue'go. Następnie całej szóstce zezwolono na przejście do śluzy. Towarzyszył im Zecol i dwóch strażników. Po kilku minutach unosili się już w przestrzeni, uczestnicząc w zawiłych operacjach, mających na celu zrównanie ich prędkości i pozycji z prędkością i pozycją jednej ze stacji na orbicie Broni Chaosu.

Manewr wejścia na nową orbitę został wykonany doskonale. Wkrótce stąpali po rozległym wnętrzu czegoś, co ze statku wyglądało na miniaturowy, sztuczny świat. Ciągnące się bez końca metalowe korytarze i metalowe ściany prowadziły do olbrzymich sal, wyposażonych w sprzęt, którego wygląd mówił Wildheitowi niewiele albo w ogóle nic. Wyraźnie jednak dowodził, iż nauka Ra uczyniła postępy, które znacznie przewyższają dokonania Federacji. Oglądane w przelocie laboratoria i pomieszczenia obsługi, ze względu na dostosowanie konstrukcji do potrzeb człowieka, sprawiały wrażenie czegoś raczej futurystycznego niż obcego.

Różdżka, Wildheit i Kasdeya zostali wkrótce odseparowani od reszty i wprowadzeni do obszernej sali, wypełnionej zwartymi rzędami krzeseł, które przywodziły nadinspektorowi na myśl amfiteatralną salę wykładową. Przy półokrągłym stole, umieszczonym na najniższym poziomie, siedziała gru[...] siedziała grupa cywilów.

Nadinspektorowi, Różdżce oraz ich tłumaczowi polecono stanąć przed nimi.

Przesłuchujący wstał i obejrzał uważnie Wildheita.

– Czy wiesz, dlaczego tu jesteś, nadinspektorze? – zapytał.

– Oczywiście. Jestem tu po to, żeby was zniszczyć – odpowiedział Wildheit lekko.

Wśród zebranych przeszedł szmer. Zecol ze smutkiem potrząsnął głową.

– Skąd bierzesz pewność, że jesteś w stanie nas zniszczyć?

– To jest zapisane we wzorach Chaosu.

– Wzory można różnie interpretować. Istnieją różne techniki manipulacji i sposoby podstawiania, dzięki którym spełnione zostaje równanie Chaosu bez potwierdzenia konkretnej przepowiedni.

– Ale nie w tym przypadku – oświadczył Wildheit.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Ponieważ stoicie w obliczu ostatecznej katastrofy – powiedział nadinspektor spoglądając na Różdżkę. – To będzie klęska, przy której zbledną wszystkie inne nieszczęścia. Tu niczego nie da się podstawić ani zmienić. Nic z was nie pozostanie.

Nastąpiło długie, przytłaczające milczenie. Potem podniósł się kolejny mówca.

– Możesz mi wierzyć albo nie – powiedział – ale wasza przepowiednia pokrywa się z naszą. Jednak

jak kłoda. Widok jego nienaturalnie przekręconej głowy nie pozostawiał żadnych wątpliwości, iż Gadreel był martwy. W tej samej chwili pod sufitem wybuchł jeden z obezwładniających minipocisków Wildheita. Różdżka spiralnym ruchem osunęła się na pokład. Reszta, zamknięta w niezwykle ograniczonej przestrzeni, także została na chwilę ogłuszona. Penemue był pierwszym, który dosięgnął przyrządów sterowniczych. Kiedy jego dłonie gorączkowo tańczyły po pulpicie, wciąż jeszcze oszołomiona Różdżka usiadła i ostatnim wysiłkiem bezskutecznie usiłowała chwycić go za nogi. Zaraz opadła gwałtownie do tyłu, szlochając. Wildheit, mimo narastającego huku silników, dosłyszał jej słowa. Przeszyły go jak włócznia, rodząc wątpliwości, czy zrobił mądrze popierając Kasdeyę.

– Wy skończeni głupcy! – mamrotała dziewczyna. – Czyż nie widzicie, że w tym miejscu nie mogą nas tknąć? Tak jest zapisane we wzorach.

Na przerwanie lotu było jednak za późno. W tej właśnie chwili statek opuścił strefę, w której logika Chaosu uniemożliwiała jakiekolwiek oddziaływanie. Kiedy wyskoczyli z niezwykłej przestrzeni między wszechświatami, Wildheit spojrzał po raz ostatni na ekrany monitorów, które przekazały obraz wystrzelonych w ich kierunku promieni świetlistej energii Broni Chaosu. Gdzieś na granicy prędkości światła potężna wiązka czystej energii ugodziła w statek i grzmotnęła nim o sprężyste ściany wszechświata. Nawet Coul zaskomlał z przerażenia.

Tego, co nastąpiło potem, nie da się opisać. Do przenikliwego drżenia, spowodowanego przekroczeniem granicy prędkości światła, dochodził jeszcze nowy typ wieloplaszczyznowej wibracji. Wildheit przypuszczał, że był to jakiś rodzaj rezonansu powstającego na styku wszechświatów, po którym statek się ześlizgiwał. Bez względu na charakter zjawiska, jego siła groziła wszystkim pasażerom statku zagładą.

Posuwisto zwrotne naprężenia konstrukcji i wyposażenia statku zaczęły dosłownie rozdzierać go na kawałki. Spoiny pękały złowieszczo, a połamane, metalowe sworznie strzelały z wręg jak pociski. Stelaże na sprzęt wyłamywały się ze śrub i zamocowań, odchylając się od pionu jak pijane. Tańczyły po pokładzie jakby w takt przedziwnego walca. Na popękanych złączach pojawiły się iskry i dym, a zapach ozonu i gryzący swąd przepalonej izolacji wprost zatykał, prawie uniemożliwiając oddychanie.

W samym środku tego koszmaru Wildheit poczuł, że Różdżka dotyka jego ramienia.

– Pomóż mi, inspektorze. Tam... – wskazała na pulpit sterowniczy.

Nie wiedział, co chciała zrobić, ale starał się ułatwić jej przejście po straszliwie rozedrganym pokładzie, odwalając kawałki sprzętu potłuczonymi, proszącymi o litość nogami.

Różdżka zamknęła oczy, koncentrując się i po omacku zaczęła szukać dźwigni sterujących. Trwało to dopóty, dopóki wniknęła w Chaos na tyle, by wiedzieć, jaki odzew wywołają poszczególne czynności. Jej dłonie były dotkliwie potłuczone wskutek wibracji kluczy, którymi usiłowała manipulować.

Wreszcie zaczynało jej się udawać. Wyszukując łagodniejsze wiry mieszających się wzorów Chaosu, powoli wprowadziła statek w trochę spokojniejszy prąd, by doprowadzić go w końcu do stanu tego spoczynku, gdzieś w cichym, osłoniętym od burz i wiatrów entropii zakątku przestrzeni.

[...] gdy operacja kończyła się, Kasdeya odzyskał przytomność i osłusznie p[...] mował jej instrukcje, stopniowo, w miarę zmniejszania się i ustępowania harmonicznych wstrzą[...] przejmując stery.

– Inspektorze – Kasdeya zmarszczył czoło – jestem winien tej małej przeprosiny. Gdybym jej od[...] posłuchał, uniknęlibyśmy całego zamieszania. Na dodatek, bez niej w ogóle byśmy z tego nie wyszl[...] wiem, jak ona to zrobiła, ale uratowała nam wszystkim życie. – Powodowany nagłym odruchem u[...] nął i ucałował opuchnięte palce Różdżki.

– Ja również popełniłem błąd – powiedział Wildheit. – Jednak sama mnie sprowokowałaś, Róż[...] Jesteś pewna, że bylibyśmy bezpieczni, gdybyśmy tam pozostali?

– Oczywiście! Broń Chaosu bez potencjalnej katastrofy, którą może manipulować, w ogóle ni[...] żadną bronią. Może być użyta tylko wówczas, gdy sami postawimy się w sytuacji potencjalnego z[...] żenia.

– Wobec tego co cię tak przestraszyło, kiedy skierowano ją przeciwko nam?

– Zobaczyłam nagły wybuch Chaosu w chwili, kiedy Kasdeya wpadł w panikę. Ale ujrzałam rów[...] coś więcej – przyszłość.

– I co tam dostrzegłaś?

– Ostateczną katastrofę. Tego nie da się opisać słowami, inspektorze.

Penemue przyglądał się leżącemu na pokładzie ciału Gadreela.

– Nie żyje – powiedział, a w jego głowie brzmiały zaduma i podziw. – Sądziłem, że nikt nigdy nie zdoła pokonać Gadreela, a co dopiero go zabić. Cóż za straszni mistrzowie uczyli tę małą na Mayo, inspektorze. Ta dziewczyna jest przerażająca.

– Ostrzegano mnie – odparł Wildheit. – Podejrzewam jednak, że to, co zobaczyliśmy, to tylko przedsmak przyszłych wydarzeń. Gdybym był jednym z Ra, bałbym się okrutnie

wstrząsów. Swoją drogą nie wydaje mi się, by wielu więźniów zaszczycono zamknięciem w kabinie komandora. To świadczy o wrażeniu, jakie wywarłeś na Zecolu. Bardzo chciałbym usłyszeć, jak będzie próbował odeprzeć zarzut ulegania wpływom złotych bestii.

Wildheit z uwagą przyglądał się jakiemuś pulpitowi. W jego górnej części znalazł wmontowany sześcian, przypominający ekran.

Kasdeya przestał wreszcie sterować i przy pomocy ocalałych przyrządów sprawdzał stan jednostki. Jego ostateczny wniosek był zasmucający.

– Kadłub jest w całkiem dobrym stanie i mamy dość powietrza – oświadczył. – I na tym mniej więcej koniec. Większość aparatury nie działa, a chociaż silniki pozostały nietknięte, nie odważymy się ich uruchomić bez sprawnych mechanizmów kontrolnych. Wręga wzmacniająca konstrukcję nawet przy prędkościach mniejszych niż prędkość światła rozpadnie się na kawałki. Krótko mówiąc, jesteśmy w niebezpieczeństwie. Znajdujemy się wewnątrz wraku, który stoczył swój ostatni bój. Możemy liczyć najwyżej na przetrwanie.

– To niewiele – powiedział Wildheit. – W którym wszechświecie teraz jesteśmy?

– W nowym, sądząc po zagęszczeniu gwiazd. Za to nie ma możliwości ustalenia, w której galaktyce. Biorąc pod uwagę kąt, pod jakim przekroczyliśmy styk, możemy być w dowolnym punkcie przestrzeni.

– Jak w takim razie mam się dostać z powrotem do Broni Chaosu?

– Nie uda ci się. Doczłapiesz rozbitym statkiem na jakąś nadającą się do zamieszkania, a w najlepszym razie na zamieszkałą planetę i przeżyjesz resztę swoich dni w rzeczywistym czasie, próbując zorganizować na tamtejszym terenie jakąś obronę na wypadek, gdyby Ra kiedyś cię odnaleźli. Istnieje druga możliwość – w ogóle nie dotrzesz na nadającą się do zamieszkania planetę, tylko gdzieś w opuszczonym zakątku przestrzeni zginiesz albo z rąk Ra, albo swoich własnych.

– A więc bitwa jest przegrana. W jednym i w drugim przypadku. Nie mogę się poddać bez walki. Masz jakiś pomysł, Rożdżka?

– Nie widzę możliwości podjęcia jakichkolwiek sensownych działań. Wzory nie naprowadzają na ślad żadnego miejsca w przestrzeni, w którym można by przeżyć. Dlatego proponuję zaczekać na Ra. Tylko oni będą nas szukać i tylko oni zdolni są nas znaleźć.

– Czekać na Ra? – powtórzył osłupiały Kasdeya. – Nic bardziej by ich nie ucieszyło, jak odnalezienie nas na pokładzie uszkodzonego statku. W oka mgnieniu by się nas pozbyli.

Będziemy ich interesować. Myślę, że raczej wezmą nas do niewoli.

– To jeszcze gorzej. Wiesz, jak Ra traktują swoich jeńców? Wielki Gniew nigdy nie był tak silny jak obecnie. Nie po to przez siedem tysięcy lat uciekałem przed nimi, żeby teraz dać im okazję do ostatecznej zemsty.

– Nie masz wyboru.

...zasiadł się wygodnie w fotelu. Jego uwaga osłabła, aż w końcu zapadł w lekką drzemkę.

Obudził go jazgot rozbrzmiewających na całym statku sygnałów alarmowych. Gdy jego spojrzenie padło na ekran monitora, gwałtownie wyprostował się i przywołał Rożdżkę i Kasdeyę.

– Chodźcie tu i zobaczcie, dokąd zdążamy – powiedział.

Obaj zwrócili się w stronę ekranu. Ich oczom ukazała się fantastyczna konstrukcja Broni Chaosu. Jej szczegóły z sekundy na sekundę stawały się coraz bardziej wyraziste, w miarę jak statek podchodził do...

Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności!

– Nie wiem, czy naprawdę szczęśliwy – powiedział zamyślony Kasdeya. – Powinniśmy byli wcześniej się nad tym zastanowić. Fakt, że aparatura naukowo-badawcza znajduje się w bezpośredniej bliskości potężnej Broni ma dla ciebie istotne znaczenie. Jednak najważniejszy jest charakter samego styku. W strefie granicznej między wszechświatami nie zachodzą żadne zjawiska fizyczne, stanowi więc ona spokojne podłoże, dzięki któremu dokładnie można obserwować zdarzenia Chaosu. Podejrzewam, że przede wszystkim dlatego Zecol wprowadził swój statek do styku.

Trwali w bezruchu, czując respekt przed ogromem Broni Chaosu. Upłynęło kilka godzin, w czasie których między statkiem i jednym z satelitów, krążących zawzięcie wokół wyglądającego jak olbrzymi dysk reaktora gorączkowo kursowały promy kosmiczne. Do kabiny podano posiłek. Przyniesiono również kombinezony, które jedynie na wpół skrywały złotą barwę skóry.

ROZDZIAŁ 14

Na twarzy Kasdei stojącego już obok inspektora malowała się zmieszana z niedowierzaniem ulga.

– W ogóle cię nie rozumiem – powiedział do Wildheita. – Dlaczego naraziłeś ją małą na takie ryzyko? – padło pytanie, w którym zabrzmiała nuta oskarżenia.

– Ryzyko było niewielkie, Kasdeya. Przypominasz sobie, jak pokonała Gadreela? Zrobiła to na sposób Ra. Dabria musiał osobiście [illegible]

pobliże, przedostać się przez styk wszechświatów może tylko statek Ra. Dlatego zaczekamy na Ra, a potem zobaczymy co się da zrobić.

– Tylko wy dwoje, inspektorze. To moje ostatnie słowo.

– Nie, my wszyscy – ręce Wildheita niedwuznacznie krążyły wokół granatników.

Kasdeya patrzył wilkiem, a zmarszczone czoło świadczyło, że zastanawia się nad wystawieniem inspektora na próbę. W końcu z posępną miną odwrócił się tyłem, by sprawdzić przyrządy, a chwilę później rozłożył ręce na znak porażki.

Ra. Dabria musiał osobiście przyłożyć rękę do jej wyszkolenia. Wiedziała, jakie zadawać ciosy i jakich oczekiwać.

– Tak, ale jedna dziewczyna przeciwko trzem...

– ...to nieuczciwe, ale nie w takim sensie, jak sobie wyobrażasz. Ona ma jedną wielką przewagę, której żaden Ra nie posiada. Potrafi przewidzieć czas i miejsce każdego ciosu, a nawet wykryć powstanie decyzji, która nim rządzi. W porównaniu z nią Ra, których pokonała byli ślepcami. Na dodatek Ra są zabójcami jedynie dzięki treningowi, zaś w przypadku Różdżki jest [illegible] regos dnia będzie próbowała zabić również i mnie.

Komandor Zecol, którego twarz spochmurniała od gniewu, ujął Wildheita pod ramię. Aby do niego podejść, musiał przedrzeć się przez tłum członków załogi i techników, powołanych na świadków walki. Wszyscy oni zajęci byli teraz dyskusją, wyrażając krzykliwie wielką sympatie i podziw dla złotej bestii.

– Inspektorze, zabierz ze sobą dziewczynę i chodź za mną – zadysponował Zecol. – Mam z tobą do pomówienia.

... czysto akademicka – powiedział. – Ra już tu są.

... ym ekranie na pół działającego monitora, który przekazywał obraz z zewnątrz, ukazała ... da. Zwartym szykiem nadciągał co najmniej tuzin olbrzymich okrętów wojennych, a ... kszy pojazd leciał tak blisko, że z łatwością można było dostrzec szczegóły konstruk-

... ał na sprzęt bojowy w kabinie pilota. Jego brzmienie ... lem nastąpiła długa cisza, w czasie której jednostki Ra ... [illegible] Komandor Zecol [illegible] próbę kontaktu. Potem pojawiła się, widoczna przez kopułę sterówki, bladoniebieska łuna, która zaczęła się rozrastać, aż otoczyła statek Kasdei szczelnie zamkniętą sferą.

– Jak ci się wydaje, co oni robią? – spytał Wildheit.

– Tworzą zabezpieczającą powłokę energetyczną – odpowiedział Penemue. – Jeżeli ...

– Dyskusja jest ...

Na przyćmiony ... się ponura prawd... jeden jeszcze wię... cyjne kadłuba.

Kasdeya spojrzał ... dów mówił sam za siebie – brakowało energii. Po... zajmowały pozycje, otaczając ich ciasnym pierś...

... zespół silników może eksplodować, więc najpierw zabezpie... ... tem już możesz robić, co ci się podoba. Teraz niczego nie ... zebiłby się przez nią nawet wybuch.

... a im się największa wygrana stulecia, na pewno niezwykle ...

... iarów jest bardzo słabo uzbrojony. Może to jakiś statek nau... ... iemy...

... pierścień okręty wypuściły nagle jasnoniebieskie promienie, ... yciły niewielki pojazd i zaczęły prowadzić go w kierunku ... zczę i widać było, że jego ładownia łatwo pomieści cały statek ... promienie dosięgnęły schwytany statek i zaczęły wprowa... ... hwili zetknięcia się obu jednostek zniknęło pole siłowe. Kas... ... sterowania zespołem silników.

... żył stojący z tyłu Penemue. – W ten sposób zniszczymy tylko ...

... wnętrza statku drzwi. W końcu otworzyły się i wyszła z nich ...

... vjny? – spytał Asbeel.

... ającym napięcie głosem. – Gdyby mieli zamiar nas zniszczyć, ...

... vierdzono coś, co wydało głośny, metaliczny brzęk. Przez ... em, którego Wildheit nie znał.

... tłumaczył Kasdeya. – Mamy dwie minuty. Potem zamierzają ... system nerwowy. Każdy, kto pozostanie w środku, skona w ...

... ildheit.

... ciągliwe. Zazwyczaj najpierw rozpylają gaz, a dopiero potem ... ch ochoczo. Mają olbrzymi dar perswazji.

... ch – stwierdził Wildheit. – To nieuprzejme kazać czekać goś-

Wildheit dał znak Różdżce, by do nich dołączyła. Kilku strażników chciało im towarzyszyć, ale Zecol odprawił ich zniecierpliwionym ruchem ręki i ruszył w szalonym tempie. W ślad za nim podążyli nadinspektor, jasnowidz i Kasdeya. Komandor, po wejściu do obszernej i dobrze wyposażonej kabiny, zatrzasnął drzwi i zwrócił się gniewnie do Wildheita.

– Dojdźmy do porozumienia, inspektorze. Możliwe, że masz jakiegoś opiekuńczego ducha, ale jestem pewien, że zabicie ciebie nie jest czymś niemożliwym. Nie kuś mnie, bym spróbował. Zgodnie z naszymi obliczeniami Chaosu, oboje stanowicie najpotężniejszy ze znanych dotychczas katalizatorów. Osobiście mogę zaświadczyć, że siła waszego oddziaływania jest całkowicie niewspółmierna do siły dwóch normalnych osób. Ale ta indywidualna przewaga jest wszystkim, czym dysponujecie. Cała gadanina o złotych bestiach jest kłamstwem, czystym wymysłem.

– Możesz wierzyć, w co chcesz – powiedział Wildheit. – Ręczę jednak, że wśród niższych rangą członków załogi statku legenda działa znacznie silniej. W każdej kulturze istnieje tajemne umiłowanie własnych szatanów, ponieważ jednostki nigdy nie są w stanie dorównać własnym świętym.

– Aha! – Zecol natychmiast przystąpił do rzeczy. – Sądziłem, że trąci to jakąś socjologiczną tresurą. A tymczasem sprawiłeś mi duży kłopot. Zaraziłeś moich strażników zabobonami i naruszyłeś dyscyplinę, dzięki której dowodzę tym statkiem. Wywierasz zgubny wpływ, którego nie mogę tolerować, ale nienawidzę również myśli, by cię zlikwidować. Musimy bowiem włożyć wiele pracy, aby odwrócić skutki twojej katalizy.

– To rzeczywiście dylemat – stwierdził Wildheit.

– Istotnie, ale wkrótce dam sobie z nim radę. Zamierzałem przeprowadzić analizę twoich zdolności katalitycznych na pokładzie mego statku. Zostaniesz jednak przekazany do stacji naukowej Chaosu, gdzie utrzymanie dyscypliny jest mniej istotne. Jeżeli będziesz z nimi współdziałał, to może uda ci się przeżyć. Ale jeżeli wytniesz jeszcze jakieś sztuczki, podobne do tych, które oglądaliśmy dzisiaj, zniszczę cię bez względu na wszystko. Ostrzegam cię, nadinspektorze, zostań w tym pomieszczeniu i nie próbuj urządzać już żadnych przedstawień, bo w przeciwnym razie osobiście dopilnuję, żeby cię wyrzucono w przestrzeń, jak śmieć.

Komandor wyszedł, trzaskając drzwiami. Zamknął je za sobą na klucz. Wildheit wzruszył ramionami i zaczął chodzić po kabinie, badając jej wnętrze.

– Mówiłem ci, że wszystko potoczy się po mojemu, Kasdeya.

– Byłbym szczęśliwy, gdybym wiedział, co to znaczy „po twojemu". Nie tylko Ra przeżyli dzisiaj parę

... bity statek, nigdy nie wiesz czy lub kiedy z... czysz się, otaczając go polem siłowym. Po... ryzykują. To bardzo silna powłoka. Nic pr...

– Kiedy nawiążą kontakt?

– Sądzę, że w każdej chwili. Skoro trafi... starannie obmyślą sposób postępowania.

– A ten wielki okręt? Co to takiego?

– Nie wiem. W stosunku do swych rozm... bojowo-badawczy? Zresztą wkrótce się dow...

W czasie, gdy Penemue mówił, tworzące ... które delikatnie, ale zdecydowanie pochw... olbrzyma. Ten otworzył swą ogromną pasz... Kasdei. Wychodzące z wnętrza dodatkowe ... dzać go do obszernej śluzy. Dokładnie w c... deya przyglądał się w skupieniu układowi ...

– Eksplodowanie ich nic nie da – zauwa... samych siebie.

Wszyscy popatrzyli na prowadzące do w... grupka osób w mundurach.

– Komitet powitalny czy pluton egzekuc...

– Ekipa śledcza – odparł Kasdeya zdradz... mogli to zrobić jeszcze tam.

Do zewnętrznej strony kadłuba przytw... kadłub przeniknął czyjś głos. Mówił językie...

– Każą nam wyjść nago i bez broni – prze... wypełnić wnętrze gazem paraliżującym s... straszliwych męczarniach.

– Sympatyczni ludzie – skomentował W...

– Jak na Ra, to zachowanie bardzo powś... ostrzegają. Dzięki temu jeńcy biegną do ni...

– Może wobec tego lepiej zejdźmy do nie... cionym gospodarzom.

Wszyscy rozebrali się do naga. Rożdżka bardzo niechętnie, ustępując jednak na widok srogiej miny Wildheita. Kiedy wyłonili się z włazu, Kasdeya okazał właściwą dla poddających się postawę, idąc z podniesionymi rękoma i szeroko rozczapierzonymi palcami, żeby nie było żadnych podejrzeń, iż ukrył w dłoniach jakąś broń. Kiedy doszedł do oczekującego oddziału, na szyję i na ramiona zarzucono mu masywne, białe jarzmo przytwierdzając do niego przeguby, łokcie i ramiona. Wszyscy, łącznie z Różdżką, zostali skrępowani w ten sam sposób.

Wydano rozkazy, które Kasdeya natychmiast przetłumaczył.

– Teraz maszerujemy. Każdy, kto okaże się nie dość posłuszny i uległy, oberwie lanca.

– Co?

Kiedy ich spojrzenia spotkały się, była spokojna i próbowała zachować obojętny wyraz twarzy, ale nie udało jej się powstrzymać śmiechu.

– Jesteś starym, przebiegłym lisem, inspektorze Jym – powiedziała.

– Muszę, biorąc pod uwagę towarzystwo, w jakim przebywam.

– Przebiegłym czy nie – powiedział Zecol – ale tym razem padniecie ofiarą własnych krętactw.

Komandor wezwał straż i wydał serię rozkazów. Wkrótce zebrana załoga zaczęła formować dwuszereg. Naturalną wesołość z powodu tej nieoczekiwanej rozrywki powstrzymała nieco obecność srogiego Zecola. Kiedy już wszyscy ustawili się wzdłuż ścian pomieszczenia – według oceny Wildheita sprowadzono tu około setki ludzi – komandor kazał

...ąc swoim mistrzem. Szli rozbawieni. Byli muskular-
...ruchów. Śmiejąc się od ucha do ucha, żartowali jak

– Myślę, inspektorze, że można to nazwać złośliwą akupunkturą, wykonywaną za pomocą podskórnych sterów...

ni, a lekki chód świadczył o ich szybkości i pr...
...przed jej zabiciem.

...nadchodzą. Tylko oczy
...waniu było coś co spra-
...wu ruszyli w kierunku

...wód, raczej starając się
...a który drogo zapłacił.
...egalnych ruchów. Wy-
...powietrzu, a następnie
...ym krzyżem. Jego oczy
...ystkich widzów.

...ne niebezpieczeństwo,
...eczywiście okazała się
...ód, przybierając bojo-
...otowanej do jakiejkol-
...ty cios, który powinien

...kół niego, wykonując
...zedzaniu ruchów wal-
...kutecznego uderzenia,
...ich jak ukłucie żądłem
...zyna zaczęła walić już
...nik bez przerwy walił
...łamek sekundy. Mimo

...się znaleźć za plecami
...a uwłaczające komen-
...użane przez Różdżkę
...za nią Ra o słuszności
...wniczce kręgosłup. W
...jednak, jeden z prze-
...ętymi rękoma uciekał z

...óżdżka uniosła w górę
...łego dezertera. Gdyby
...walki z połamanymi
...odjąć decyzję. Okrzyki
...szył w stronę Różdżki.

Kasdeya, wypełniając rozkaz, jako pierwszy przeszedł przez śluzę do wnętrza położonej w głębi metalowej komory.

Wildheit zastanawiał się przez chwilę, dlaczego jeńców uwięziono w jarzmach, zamiast po prostu związać im ręce i nogi albo zakuć w kajdany. Teraz zrozumiał. Zakończenia jarzma umocowane zostały do metalowej ramy, którą podniesiono w górę tak, iż wszyscy zawiśli na ramionach z głowami na tej samej wysokości. Po dokonaniu tego, oprawcy wyszli z komory. Po chwili ze wszystkich ścian, z pokładu i z sufitu zaczęły tryskać gorące strumienie jakiegoś płynu. Ich uderzenia sprawiały, że nieszczęśnicy kołysali się jak kukły.

– Cóż to jest, do diabła? – Wildheit przekrzykiwał przeraźliwy gwizd rozpylanej cieczy.

– Połączenie upodlenia z odkażaniem i identyfikacją – Kasdeya z trudem odkrzyknął odpowiedź. – Zaraz będzie jeszcze ciekawiej.

Gdy rozpylacze przestały działać, komorę zaczął wypełniać jasny, słomkowy płyn. Jego poziom szybko się podnosił, a temperatura stawała się nie do zniesienia. Ciecz wydzielała organiczny, silny zapach, który drapał ich w gardle, utrudniając oddychanie. Pompowano go pod takim ciśnieniem, że od ścian komory odbijały się wysokie, rozkołysane fale. Jeńcom zaczęło grozić utopienie, gdyż poziom cieczy podniósł się aż do gardeł.

Wskutek kolejnego, potężnego przypływu pompowanej cieczy, poziom jej wzrósł tak gwałtownie, że zakryła im głowy. Trwało to przez chwilę i byli już przeświadczeni, że się utopią, lecz ciecz równie szybko ustąpiła i nadeszła pora na wspomniany przez Kasdeyę proces identyfikacji. Wildheitowi udało się przetrzeć piekące oczy, spojrzał i aż dech mu zaparło ze zdumienia – on i jego współtowarzysze ufarbowani zostali na świecący, żółtozłoty kolor. Wisieli teraz jak pozłacane posążki.

To jeszcze nie był koniec. Wildheit, wciąż uwięziony w jarzmie, został ustawiony na kole obrotowym, w świetle całej baterii reflektorów i poddany działaniu wielu urządzeń, które uznał za sprzęt do diagnostyki medycznej. Zespół ludzi badał wszystkich za pomocą sprawiającej szalony ból sondy, na którą reagował dosłownie każdy mięsień ciała. Wildheit, mimo iż oddzielony od reszty, chwilami mógł dojrzeć pozostałych, których poddawano identycznym zabiegom. Odczuwał szczególne współczucie dla Różdżki, gdyż i ona poddana była tej ciężkiej próbie.

Wreszcie całą procedurę zakończono. Odprowadzono nadinspektora do niedużej celi. Dano mu skąpe żółte ubranie, a jarzmo przytwierdzono do ściany, używając specjalnego uchwytu. Znajdował się on na takiej wysokości, że uwięziony, chcąc odciążyć ręce, musiał stać w niewygodnej pozycji na czubkach palców. Kasdeya i Penemue, pozłoceni i śmiertelnie przerażeni, poddawani byli tym samym katuszom, co Wildheit. Asbeela i Jaquna umieszczono tu wkrótce potem, a Różdżkę wprowadzono trochę później. Z nich wszystkich tylko ona zachowywała równowagę i pewność siebie. Zawisła przed nimi jak złota nimfa, swoim opanowaniem wprowadzając spokój, łagodząc strach.

– Dlaczego pomalowali nas na złoto? – spytał Wildheit Kasdeyę.

– Przede wszystkim dlatego, że jest to jedyny kolor skóry, który dla narodów Ra nie jest naturalny. Historycznie symbolizuje degradację i ma związek z legendarnymi złotymi bestiami, które w prehistorii wniosły do natury ludzkiej prymitywne instynkty zwierzęce. Z psychologicznego punktu widzenia jest

Różdżka stała pośrodku niskiego, okrągłego podwyższenia i obserwowała, jak...
zdradzały jak bardzo jest skupiona. Twarz była wciąż spokojna. W tym opanow...
wiło, że mężczyźni zatrzymali się na chwilę. Zecol jednak warknął rozkaz i zno...
dziewczyny.

Jeden z nich przejął inicjatywę i wskoczył na podium, czyniąc wystudiowany z...
chwycić dziewczynę, aniżeli ją zaatakować. Było to z jego strony idiotyzmem, z...
Różdżka niszczycielsko spożytkowała jego rozpęd. Wykonała kilka ledwie dostrz...
korzystując nierozważny skok przeciwnika, podrzuciła go w górę, obróciła w p...
uderzyła jego ciałem o kant podwyższenia. Mężczyzna potoczył się z przetrącon...
stały się szkliste i nieruchome. Rozległo się pełne przerażenia westchnienie wsz...

Pozostali dwaj uczestnicy walki, uświadomiwszy sobie grożące im śmierteln...
natychmiast spoważnieli. Zabawa, której się spodziewali, straciła swój urok, r...
walką na śmierć i życie. Odbyli krótką naradę, po czym jeden z nich ruszył napr...
wą postawę. Różdżka obserwowała, jak się zbliża. Sprawiała wrażenie nie przyg...
wiek obrony. Nie dał się zwieść – przyjął doskonałą pozycję, by zadać jeden, jedyn...
ją zabić.

Straszliwy cios trafił w powietrze. A potem ona była przy nim, za nim i w...
fantastyczny taniec, którego choreografia oparta była na przewidywaniu i wypr...
czącego. Zbity z tropu i zdezorientowany, że nie może wyprowadzić ani jednego s...
wpadł w złość i zrobił się trochę nieostrożny. Zadana przez Różdżkę seria krótk...
ciosów, których nie mógł odparować, wprawiła go w furię. Wtedy jednak dziewc...
na serio, chcąc zmasakrować ciało, zanim wymierzy ostateczny cios. Jej przeciw...
na oślep, usiłując trafić, ale ona za każdym razem wyprzedzała go o drobniutki u...
swej zaciekłości nie był w stanie nic jej zrobić.

W tym czasie, ostatni z wyznaczonych do walki krążył bezustannie, starając...
Różdżki. Czekał na okazję, by zaatakować ją od tyłu. Ta niegodna taktyka wywoła...
tarze kolegów stojących pod ścianami. Jednak mistrzowskie, umyślnie przed...
masakrowanie człowieka, którego miała przed sobą, przekonało czającego się...
obranego sposobu walki. Nagle dał susa, by zadać cios łokciem i złamać przec...
powstałym nagle zamieszaniu, nikt nie zdołał dostrzec, co się stało. W rezultacie...
ciwników Różdżki leżał krztusząc się własną krwią, a drugi z dziwnie wywichni...
pola walki na złamanie karku.

Ryk protestu, który podniósł się pod ścianami, powstrzymał zbiega, a kiedy R...
rękę, zapanowało kompletne milczenie. Bez słowa kiwnęła palcem na niedosz...
zbiegł przed złotą bestią, naraziłby się na pogardę kolegów. Gdyby powrócił d...
rękoma, naraziłby się na prawie pewną śmierć. Stanął, rozpaczliwie usiłując p...
kolegów przechyliły szalę. Z beznadziejną rezygnacją niepewnym krokiem ru...
Ona zaś jednym, dobrze plasowanym ciosem przetrąciła mu kark.

conymi, niewidocznymi mackami. Jakieś osobliwe siły unosiły w górę wszystkie nieumocowane przedmioty, które obijały się z łoskotem i brzękiem o metalowe ściany. Następnie spirala podmuchu zacisnęła się jeszcze mocniej, usypując wszystko w jeden stos na środku pomieszczenia. Znalazły się tu także ciała dwóch strażników. Ich twarze były szare jak popiół, a przyczyna śmierci niewyjaśniona.

Strażnik, który opuścił pomieszczenie, aby sprawdzić, skąd biorą się grzmoty, wrócił teraz do drzwi. Stanął jak wryty. Ogarnął spojrzeniem obraz śmierci i zniszczenia, i chwycił broń, by zabić tego, którego uznał za winowajcę – inspektora. Głos z zewnątrz, który był głosem Zecola, wydał gwałtowny zakaz. Uzbrojony mężczyzna potrząsnął głową na znak sprzeciwu i strzelił. Broń wypaliła mu w twarz i runął jak długi obryzgując drzwi krwią. Pojawił się w nich Zecol i zamarł, bojąc się przekroczyć próg. W jego oczach malowała się głęboka powaga, kiedy usiłował zrozumieć, co zaszło.

– Jak na człowieka skrępowanego posiadasz, inspektorze, nadzwyczajnie niszczącą moc. – Kasdeya musiał przezwyciężyć osłupienie, by móc przetłumaczyć słowa Zecola.

– No cóż – powiedział Wildheit. – Powinieneś zobaczyć, jakie szkody potrafię wyrządzać, kiedy mam wolne ręce!

Jakby na dowód jego mocy, jarzmo rozleciało się nagle na kawałki, a klamry spinające ramiona utworzyły coś w rodzaju naramienników. Żelaza, do których przytwierdzone były jego stopy oderwały się od pokładu tak gwałtownie, że poszczególne kawałki rozleciały się daleko po wszystkich kątach pomieszczenia. Na dodatek ogniwa łańcucha krępującego mu kostki, pospadały na pokład oddzielnie, nietknięte. A nadinspektor nie poruszył nawet jednym mięśniem.

– Czy to wystarczy? – spytał Zecola. – A może mam zademonstrować ci coś więcej?

– Myślę, że już swoje udowodniłeś, inspektorze. Co z ciebie za stwór? – gniewne spojrzenie komandora zwiastowało burzę.

– Jak już powiedziałem, uosabiam, komandorze, zarówno twoich przodków, jak i następców. Jestem jedną ze złotych bestii, które zadręczały was w przeszłości, dręczą obecnie i będą dręczyć w przyszłości.

Zecol, potrząsając głową, poprowadził Wildheita z powrotem do obszernego, białego pomieszczenia i oparł się o stół, zamiast za nim usiąść. Rozstawieni po kątach strażnicy nerwowo manipulowali przy broni, ale tym razem już nie kierowali jej ku więźniom. Najwyraźniej dotarła do nich wiadomość o losie ich kolegi po fachu, który próbował strzelać do nadinspektora. Przez kilka sekund Wildheit badawczo przyglądał się oficerowi.

– Rozumiem, że nie przekonałem cię jeszcze dostatecznie, Komandorze. To nieroztropne z twojej strony, że podejrzewasz mnie o jakieś sztuczki, chociaż nie potrafisz wykryć, w jaki sposób ich dokonałem. Co byś powiedział na jeszcze jeden przykład, który wykaże, jak wielka różnica klas nas dzieli?

– To szaleństwo!

– Czy masz jakichś ludzi wprawnych w walce wręcz?

– Wielu, doskonałych.

– Wyznacz trzech, którzy staną do walki na śmierć i życie. Wezwij także pięćdziesięciu z załogi na świadków. To dla ciebie jedyna szansa. Tylko tak możesz zabić rozwijającą się legendę.

– Tylko trzech ludzi przeciwko tobie i twojej magii, inspektorze? Czy to jest ta pułapka, którą na mnie zastawiasz – Zecol, zamyślony, uniósł swą wielką głowę.

– Wcale nie! Proponowałem trzech twoich ludzi przeciwko jednej dziewczynie.

– O ile wiem, ona nie dysponuje legendarną bronią nadinspektorów. – Oczy Zecola wyrażały poważne wątpliwości. Spojrzał na strażników, którzy z zainteresowaniem przysłuchiwali się rozmowie, udając, że nie dociera do nich ani jedno słowo – A jeśli odmówię, to oczywiście jeszcze bardziej podtrzymam legendę. Przystaję na twój blef, inspektorze. Walka będzie przebiegać tak, jak powiedziałeś, aczkolwiek nie wiem, co chcesz przez to osiągnąć.

– Zapytaj raczej, co masz do stracenia, jeśli trzech twoich ludzi nie zdoła pokonać jednej dziewczyny. Różdżko, czy odpowiada ci taki układ?

to perfidne usprawiedliwienie dla zbrodni. Ra nie czują wyrzutów sumienia maltretując i zabijając złotą ofiarę. Fakt, że sami przedtem ją pomalowali na ten kolor, jest oczywiście przemilczany i ignorowany.

– Nadaj komuś złe imię, a będziesz mógł go powiesić – skomentował Wildheit.

– Ach! Możesz być szczęśliwy, jeżeli cię powieszą. Ra nie lubią tak pobłażać swym wrogom.

ROZDZIAŁ 13

Po upływie godziny ogromny statek ruszył. Narastające odgłosy pracy silników przekroczyły w końcu próg słyszalności. Wildheit podejrzewał, że przelatywali z powrotem przez styk wszechświatów. Przynajmniej z tego był zadowolony, ponieważ tylko Ra posiadali możliwości przetransportowania go w bliskie sąsiedztwo Broni Chaosu. Uwięziony i skrępowany, nie mógł sobie wyobrazić, jakim cudem zdoła wykonać swoje zadanie. Reakcja Ra na przewidywane katalityczne oddziaływanie Różdżki i jego samego dowodziła wyraźnie, że pisane im było zadać potężny i rozstrzygający cios. A cóż mogło być bardziej rozstrzygające niż zniszczenie Broni Chaosu?

Już od dawna czuli się dość osobliwie, tak samo, jak na statku Kasdei w czasie zbliżania się do granicy prędkości światła. Tym razem jednak, gdy wnikali w strukturę świetlnego muru, doznania okazały się o wiele silniejsze. Stali w niewygodnej pozycji, na czubkach palców, co znacznie zwiększało ich cierpienia. Wszyscy odczuli ulgę, gdy ogromny statek wśliznął się wreszcie w przestrzeń pomiędzy wszechświatami i nieznośne doznania ustały.

Zaraz potem Jegun, Asbeel, Penemue i Kasdeya zostali wyprowadzeni przez strażników.

– Co widzisz we wzorach, Różdżko? – spytał Wildheit, przygryzając wargi.

– Ostateczną katastrofę. Umysł nie jest w stanie pojąć jej ogromu. To klęska, przy której bledną wszystkie inne nieszczęścia.

– Czy jej źródłem jest zniszczenie Broni Chaosu?

– Trudno przewidzieć, ale myślę, że nie.

– Jak to możliwe?

– Wzory są zbyt złożone, by być czegokolwiek pewnym. Wiem tylko tyle, że to się stanie.

Wildheit jakoś zasnął.

Od czasu do czasu budził się, by zobaczyć, że Różdżka w ogóle nie śpi, lecz obserwuje go ze spokojem. Podziwiał wewnętrzną siłę, pozwalającą jej organizmowi funkcjonować, podczas gdy on, przypuszczalnie silniejszy fizycznie, był tak wyczerpany, że spał bez względu na wszelkie niewygody. Za którymś razem obudził go jakiś mężczyzna, przypuszczalnie lekarz. Obejrzał Wildheitowi ramię, na którym siedział Coul, po czym porównał to, co udało mu się zobaczyć z jakimiś zapiskami na białej kliszy. Nie znalazł niczego godnego uwagi, pewnie dlatego, że jego postrzeganie było zbyt niedoskonałe, by mógł zobaczyć siedzące na ramieniu nadinspektora bóstwo.

Później przyprowadzono z powrotem Kasdeyę, już bez jarzma na ramionach. Fizycznie najwyraźniej nie ucierpiał, jednak oczy miał przestraszone, jak gdyby to co przeżył, odebrało mu jakąś część jego człowieczeństwa.

– Inspektorze, teraz twoja kolej. Twoja i tej młodej. Zgłosiłem się na ochotnika jako wasz tłumacz. Wytargowałem w ten sposób parę godzin życia.

– A tamci trzej?

– Ucierpieli, ale przyjdą do siebie. Widać nie jesteśmy teraz ważni. Wielki Gniew przeistoczył się w Wielką Ciekawość – ciekawość ciebie, tej małej i zagrożenia, które według nich stwarzacie dla Chaosu. Nie mogą uwierzyć w istnienie tak potężnych efektów katalitycznych ani też podać w wątpliwość prawdopodobieństwa spełnienia ich własnych przepowiedni.

– Powiedz im – odezwał się Wildheit – że domagam się, by zdjęli nam z ramion te jarzma.

– Ukarzą cię za sam pomysł – odparł zaniepokojony Kasdeya.

– Mimo wszystko powiedz im. Powiedz im również, że muszą zawiadomić dowódcę.

– Co masz zamiar osiągnąć?

- Wydaje mi się, że dzięki przepowiedniom Chaosu i zeznaniom, które z ciebie wydusili, Różdżka i ja jesteśmy już dla nich czymś w rodzaju legendy. A dobra legenda musi pozostać żywa.

- Mam nadzieję, że mnie też zachowają przy życiu, żebym mógł ją przekazywać - powiedział niepewnie Kasdeya. - Jednak trzeba próbować. - Zwrócił się w stronę strażników. Tłumaczył szybko i drobiazgowo. Wreszcie jeden ze strażników wyszedł, przypuszczalnie, by porozumieć się ze zwierzchnikiem. Wrócił po bardzo długich dziesięciu minutach. Za nim podążał mężczyzna, który sądząc po okazywanym mu szacunku był znacznie starszy rangą.

- Wprawiłeś ich w zakłopotanie - powiedział spokojnie Kasdeya. - Jarzma mają być usunięte.

- Świetnie! Bądź wiernym tłumaczem, Kasdeya! Nie tylko tłumacz to, co mówię, ale oddawaj także nastrój wypowiedzi. I nie dziw się niczemu.

- Chciałbym wiedzieć, do czego zmierzasz, inspektorze.

- Zamierzam wykorzystać nasze atuty tak, jak się tylko da. W tym właśnie nadinspektorzy są najlepiej wyszkoleni. Czy nigdy nie wydało ci się dziwne, że Federacja by rozstrzygnąć wojnę, ogranicza się do wysłania jednego tylko człowieka?

Wyższy rangą oficer, który nadszedł w towarzystwie strażnika, przyglądał się uważnie, jak uwalniano z jarzma Różdżkę i Wildheita. Ręce, tak długo skrępowane, zupełnie im zdrętwiały. Nadinspektor dokładnie przyjrzał się oficerowi i obmyślił sposób postępowania. Twarz mężczyzny porysowana była głębokimi bruzdami. Masywna jak skała czaszka, pokryta stalowoszarymi włosami, zapowiadała potężny intelekt. Oficer niewątpliwie był człowiekiem nieluzinkowym pod każdym względem.

Różdżka i Wildheit przeprowadzeni zostali pod bronią do obszernego pomieszczenia o oślepiająco białych ścianach. Kazano im stanąć na niskim, okrągłym podwyższeniu, znajdującym się pośrodku wnętrza. Oficer zajął miejsce przy stole z przezroczystym blatem i zamyślony oparł podbródek na złożonych dłoniach. Uzbrojeni strażnicy, po trzech pod każdą ścianą, trzymali jeńców na muszce. Kasdeya przezornie stanął poza linią ognia, na wypadek, gdyby to prowokowanie Ra przez nadinspektora miało doprowadzić do logicznego, gwałtownego finału.

- Z kim rozmawiam? - Wildheit pierwszy rozpoczął przesłuchanie.

Oficer skrzywił się z wyraźnym rozbawieniem.

- Masz przed sobą Dowódcę Floty, Komandora Zecola z Formacji Naukowej Sił Wojennych Ra. Jestem specjalistą od Chaosu, nadinspektorze Wildheit.

Kasdeya tłumaczył dosłownie, starając się oddać zarówno znaczenie słów, jak i intonację głosu.

- Wobec tego znajdziemy wspólny język - odparł Wildheit, skubiąc w zamyśleniu podbródek. - My również jesteśmy łachowcami: Różdżka - od Chaosu, a ja - od obrony Federacji. To szczęście dla ciebie, ...

- Ty cholerny głupcze! - wykrzyknął Kasdeya z wściekłością. - Dotknąłeś go w czułe miejsce, mówiąc o złotych bestiach. Czy naprawdę sądziłeś, że on to zniesie?

- Teraz jeszcze nie, ale niedługo tak - odparł Wildheit. - Na początek trzeba, by trochę zmiękł.

Strażnicy z powrotem założyli Wildheitowi jarzmo na ramiona i zabrali go do przyległego pomieszczenia. Tam powieszono jarzmo na uchwytach i skrępowano jeńcowi stopy. Jeden z Ra, o wyglądzie fachowca wysokiej klasy, zaczął do czerwoności rozgrzewać w palenisku długie metalowe szpile. Potem odwrócił się do bezbronnej ofiary i z uwagą obejrzał udo i ramię.

- Inspektorze, radzę ci, abyś już teraz zaczął błagać o litość - powiedział Kasdeya. - Wtedy, być może, skończy się na minimalnym bólu.

- Tłumacz dalej - powiedział Wildheit. - Nie zrozumiesz tego, ale wszystko idzie po mojej myśli.

- O anioły przestrzeni! Chyba wiesz, co on z tobą zrobi?!

- Wiem, ale on nie wie, co ja mam dla niego w zanadrzu.

Oprawca zacisnął uchwyty na rozżarzonych szpilach, podniósł w górę jedną z nich i przybliżył do oczu inspektora.

- Zobaczymy, złota bestio, ile wytrzymasz, zanim się ugniesz. Większość wytrzymuje tylko trzy, cztery. Widzisz, sztuką jest wiedzieć, gdzie to przyłożyć, aby uzyskać najlepszy rezultat.

- Nie radziłbym ci próbować - powiedział chłodno Wildheit.

- Inspektorze, zaklinam cię na wszystkie demony przestrzeni! - Kasdeya, pełen desperacji spojrzał na Różdżkę oczekując wsparcia, lecz twarz jej jak zwykle wyrażała jedynie spokój.

Ra rofnął stygnącą igłicę, by ponownie rozgrzać ją do odpowiedniej temperatury. Następnie wybrał miejsce na udzie Wildheita i wbił szpilę precyzyjnie i z premedytacją. Rozszedł się swąd przypalanego ciała, zabrzmiał jęk bólu, ale to Ra był tym, który się zatoczył, gdy szpila w całości wbiła się w jego własne ramię. Przez ułamek sekundy gapił się na nią ogłupiały, a jego mózg odmawiał pojmowania tego, co zmysły odebrały jako przerażliwą prawdę - że to, co przeszył igłą to jego własna ręka. Gdy ostatecznie fakt ten dotarł do jego świadomości, zawył z przerażenia. Może właśnie wtedy mignęła mu sylwetka brzydkiego, ulotnego bóstwa, które żyło na ramieniu Wildheita. Trudno odgadnąć, czy zrozumiał to, co zobaczył, w każdym razie wykrzyknął coś w dialekcie, którego nie znał nawet Kasdeya i uciekł.

- Dzięki ci, Coul - odetchnął z ulgą Wildheit. - Zrobiłeś dobrą robotę.

- Obiecałem ci przecież specjalną dyspensę, skoro wkrótce mam cię opuścić. Myślę jednak, że jeszcze będziesz mnie potrzebował.

Niebawem zjawiło się trzech strażników Ra, a wśród nich niedoszły oprawca Wildheita z rozpylo... na ręce opatrunkiem chirurgicznym. Wszyscy trzej wdali się w namiętną ...

... Wildheita z rozpylonym ...
... dyskusję. Wreszcie dwóch ...
... każdym razie mówił ci za złe, że tak nas potraktował ...
... potrzebę zachowania ostrożności, ale brak ci podsta...
... bardziej. - Rozumiem, masz coś przeciwko temu, że ...
... się oddać sarkazm w głosie komandora.
... heit. - To był błąd, który gra na naszą korzyść. Złote ...
... torii. My jednak wciąż nie wyrośliśmy z naszych ...
... istot żywych przetrwają bestie. W ten sposób dopo...
... ków, lecz również następców. Dlatego wypada, byś ...
... nał gniew. Popatrzył na Kasdeyę, by sprawdzić czy ...
... a stole stos zapisanych białych kliszy.
... na megalomanię, ani też na nadmiernie rozwinięte ...
... prowadzisz ze mną jakąś grę. To bardzo nierozsąd...
... dajcie jakiemuś zabiegowi, który wyleczyłby go z ...
... planach, błagającego. Zabierzcie również dziewczy...
... e dalsze przesłuchanie.

... podeszło do skutego inspektora a trzeci, pełen obaw, pozostał z tyłu.

- Dyskutują na temat możliwości... że siedzi na tobie... - Sam Kasdeya nie rozumiał jeszcze istoty zaistniałego zdarzenia.

Dwaj strażnicy dokładnie obejrzeli szyję i ramiona Wildheita. Niczego oczywiście nie znaleźli, chociaż Coul pozostawał nadal ulotnie obecny. Pierwszego strażnika zachęcano do dalszego torturowania jeńca, lecz odmówił, tłumacząc, że nie jest w stanie pracować z powodu odniesionych obrażeń. Wobec tego jeden z pozostałych wyciągnął szpilę z paleniska i z groźnym narzędziem w dłoni pospieszył w stronę Wildheita. Zraniony strażnik cofnął się natychmiast przekonany że, zobaczył przycupniete, złowrogie wcielenie bóstwa. Krzykiem przestrzegł swojego kolegę ze szpilą, który to zlekceważył. Wildheit poczuł gwałtownie wzmagający się ból ramienia. Wstąpiła w niego odwaga. Czekał na niespodziewane wypadki.

Gdzieś w oddali dał się słyszeć podobny do grzmotu odgłos. Mężczyzna z rozżarzoną igłą zatrzymał się i potrząsnął głową, jakby podejrzewał, że dźwięk ma swoje źródło we wnętrzu jego własnej czaszki. Następny grzmot był bardziej donośny i bliższy. Metalowe ściany komory zareagowały silną wibracją. Jeden ze strażników, sądząc, że wszystko to dzieje się gdzieś na statku, wybiegł by ustalić przyczynę. Mężczyzna ze szpilą nie zatrzymał się. Potem uderzył piorun.

Coś czarnego, co jakby eksplodowało na środku pomieszczenia, wymierzało dookoła miękkie, ale obezwładniające ciosy. Palenisko natychmiast wygasło, a szpila, którą strażnik trzymał w dłoni, wbiła mu się głęboko w rękę. Czarna trąba powietrzna, czy coś w tym rodzaju, oplotła wnętrze swymi skrę...

... Komandorze, iż uważam się lojalnego, w przeci...
... waliście. Rozumiem twoją wprost rozrzewniającą p...
... wowego zrozumienia tego, co czynisz.
- Orb? Doprawdy? - Zecola rozbawiło to jeszcze b...
... zostałeś pozłocony. - Kasdei z dużą wiernością uda...
- Ależ wcale nie! - szyderczo uśmiechnął się Wild...
... bestie istniały również i w naszej zamierzchłej his...
... legend. W ostatecznym rozrachunku, ze wszystkich ...
... magasz nam wyobrazić sobie nie tylko twoich przod...
... okazał pokorę.
Zecol zmarszczył brwi. Przez jego twarz przemk...
... przekład był wierny. Następnie przerzucił leżący n...
- Tego się nie spodziewałem. Nic tu nie wskazuje ...
... pragnienie śmierci. Wnioskuję, nadinspektorze, że ...
... ne. Z pewnością będziesz żałował.
Skinieniem ręki przywołał strażników.
- Zabierzcie stąd inspektora - powiedział - i pod...
... nieposłuszeństwa. Po powrocie chcę go widzieć na k...
... ne, by była świadkiem tej lekcji. Później poprowadz...

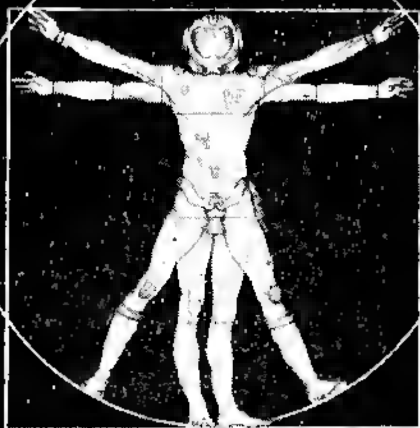
JANUSZ A. ZAJDEL

Kiedy 19 lipca ubiegłego roku zmarł Janusz A. Zajdel, gdy rozeszła się już ta smutna wiadomość, rozdzwoniły się redakcyjne telefony. Przyjaciele Janusza, fanowie, klubowicze, bezimienni czytelnicy z całej Polski przekazywali nam wyrazy współczucia, pytali o okoliczności nieoczekiwanej i przedwczesnej śmierci, by niemal natychmiast, bez zmiany tonu przejść do innego problemu – co Janusz ostatnio napisał?

Co zostawił w brulionach? Czy coś z Jego nowych, a nieznanych tekstów jest właśnie w drodze do czytelnika? ...Nie ma chyba nic złego w takiej czytelniczej reakcji. W każdym razie Janusz, który swą publiczność lubił i często się z nią spotykał, i którego cieszyły dowody poczytności, na pewno nie zmartwiłby się taką bezceremonialnością.

Odpowiemy wszystkim jednocześnie. Istnieją cztery nieznane szerszej publiczności opowiadania Janusza: „Chrzest bojowy", „Utopia" i dwa opowiadania bez tytułu (jedno z nich napisane dla wydawcy zagranicznego, Frederika Pohla). „Utopia" przedstawiona już przez poznańskiego „Kwazara", ukaże się w zeszycie-antologii „Bliskie spotkanie" (Wyd. Iskry). Zostały jeszcze notatki, rozproszone myśli, zostało kilkadziesiąt stron rozpoczętej książki, parę wierszy i kilka konspektów powieści, które Janusz zamierzał napisać. Zbliżała się nieubłagana śmierć, a Janusz planował, zapisywał pomysły, spotykał się z wydawcami, budował literackie teorie i opowiadał o wszystkim kolegom-fantastom. Za zgodą żony Janusza, Jadwigi Zajdel (serdecznie dziękujemy), przedstawiamy dziś Państwu trzy konspekty powieści. Przyjęte za życia Autora przez oficyny wydawnicze: Iskry, Alfa i Wydawnictwo Poznańskie. Nie wiemy, nikt nie wie, jaki kształt ostateczny przybrałyby te pomysły. Ale i w tych wstępnych konstrukcjach powieściowych światów rozpoznajemy Starego Dobrego Zajdla, już któryś raz z rzędu biorącego się za bary z diabelskimi problemami przyszłości człowieczeństwa, swobód jednostek i społeczeństw. Jak każdy rasowy pisarz miał Janusz swój temat, swoją obsesję – drążył to, pogłębiał, a wraz z nim wgryzali się w ten problem i Jego czytelnicy. Spróbujemy wkrótce przedstawić Państwu któryś z wierszy bądź któreś z opowiadań Janusza. Będziemy na pewno wracać na tych łamach do Jego osoby i do Jego Dzieła, tak jak czyniliśmy to gdy żył. Przypominamy, że w „Fantastyce" ukazały się recenzje z następujących książek Janusza Zajdla: „Limes inferior" (nr 5/83), „Wyjście z cienia" (3/84), „Cała prawda o planecie Ksi" (5/84), „Paradyzja" (4/85). Ponadto wydrukowaliśmy wywiad z Januszem („Dwie strony lunety"; 7/83), wspomnienie o Nim (8/85), a w bieżącym numerze na str. 47 Jolanta Tambor omawia użycie neologizmów w powieści „Limes inferior".

(mp)



Powieść ma być pierwszym tomem cyklu powieściowego powiązanego osobami głównych bohaterów. Są nimi przedstawiciele, a raczej inspektorzy Federacji Planet, która zrzesza większość istniejących od stuleci, rozproszonych po Galaktyce ośrodków ludzkiej cywilizacji. Wiele z tych społeczności od dawna jest izolowanych od macierzystego Układu Słonecznego lub utrzymuje z nim tylko luźny i sporadyczny kontakt. Federacja, której centrum stanowi stara Ziemia, usiłuje utrzymać i zacieśnić powiązania pomiędzy planetami, na których ongiś, w epoce intensywnej ekspansji w Kosmos, osiedli ludzie. Ponowne obudzenie poczucia związków gatunkowych pomiędzy ludźmi należącymi do różnych, nieraz dalece różniących się systemów społeczno-ekonomicznych i światopoglądowych, nie jest łatwe. Ludzie z różnych planet posiadają nieraz dość odmienne poglądy i dążenia, rozbieżne interesy, swoiste obyczaje. Federacja usiłuje uratować w nich wszystkich te pierwiastki, które stanowią o ich człowieczeństwie. Warunkiem przynależności do Federacji oraz korzystania z jej pomocy ekonomicznej i wsparcia moralnego jest zobowiązanie do przestrzegania pewnych postanowień statutowych. Członkowie Federacji nie zawsze wywiązują się z tych zobowiązań i stąd potrzeba okresowej, w miarę dyskretnie przeprowadzanej inspekcji warunków lokalnych na planetach. Także w przypadku, gdy jakaś planeta zgłasza chęć przystąpienia do Federacji, inspektorzy muszą upewnić się co do szczerości i wiarygodności kandydatów.

Cele kulturalno-ekonomiczne nie są jedynymi w działalności Federacji. Tylko nieliczni członkowie najwyższych władz Federacji znają najważniejszy powód, dla którego próbuje się skonsolidować ludzkość rozproszoną po sporym obszarze Galaktyki. Otóż, niedawne obserwacje wykazały istnienie innego centrum cywilizacyjnego, odległego wprawdzie, lecz niewątpliwie zdolnego zagrozić humanoidom, rozproszonym po planetach i uwikłanym w swoje partykularne interesy i lokalne międzyplanetarne konflikty i animozje. „Obcy", co do których brak na razie dokładnych danych, są najwyraźniej znacznie lepiej zjednoczeni niż ludzie. Nic nie wiadomo o ich zamiarach, lecz najprawdopodobniej wiedzą oni o istnieniu ludzi. Trudno przewidzieć, czy i w jaki sposób mogliby zagrozić ludziom; być może, spróbują otwartej agresji wobec słabszych, peryferyjnych ogniw ludzkości; albo może zaczną działać subtelniej, wykorzystując i wygrywając wewnętrzne rozczłonkowanie i rozgrywki między „ludzkimi" planetami

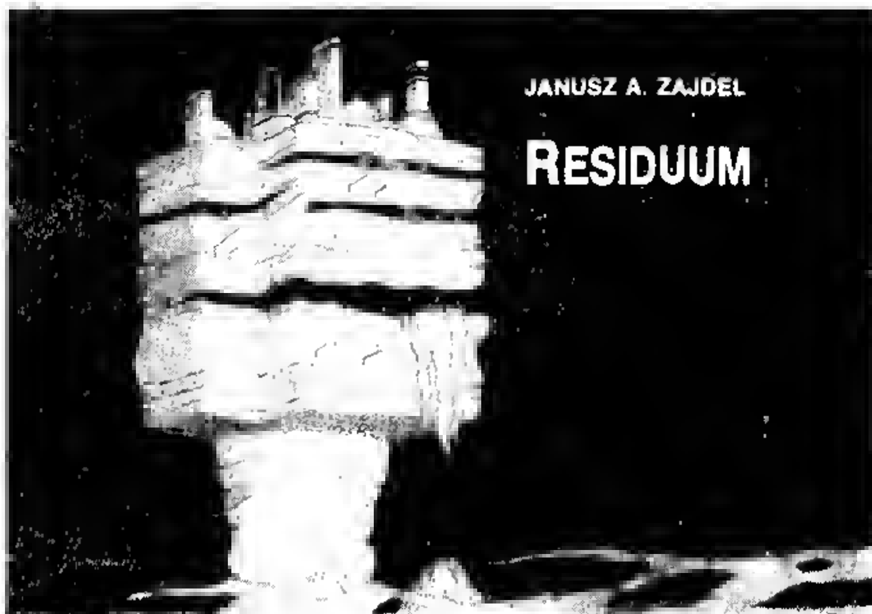
istnienie „Obcych" jest z różnych strategicznych względów utajnione, przynajmniej w chwili, gdy rozpoczyna się akcja powieści.

Ekipa inspekcyjna – posługując się prototypem unikatowego (i także utajnionego) kosmolotu nadprzestrzennego (zdolnego do przenoszenia się prawie natychmiast w odległe rejony Galaktyki) – jest w stanie zaskoczyć kontrolowanych, zanim ich służby wywiadowcze na Ziemi zdołają donieść (w normalnym, radiowym trybie) o zamierzonej kontroli. W ten sposób, uzyskany obraz sytuacji jest w miarę prawdziwy i nie ma możliwości preparowania rzeczywistości dla oszukania inspektorów.

Ekipa inspekcyjna wyrusza do odległego układu zawierającego dwie planety, które zgłosiły chęć przystąpienia do Federacji. Układ leży na peryferiach obszaru zaludnionego i może być terenem działania forpoczt wywiadowczych „Obcych" – a więc ekipa ma także poufne zadanie zbadania sytuacji pod tym względem. Jej oficjalnym celem jest ocena warunków na planetach oraz próby mediacji między nimi – bo każda z planet zastrzega, iż jej udział w Federacji uwarunkowany jest nieprzyjęciem... tej drugiej planety. Świadczy to o jakichś głębokich rozdźwiękach między bliskimi sąsiadami – które to animozje mogą być wykorzystane przez „Obcych" dla uchwycenia przyczółka w obszarze działania humanoidów.

Inspektorzy badają stosunki na obu planetach, stwierdzając na pierwszy rzut oka sytuację zupełnie znośną. Dopiero po bliższym zbadaniu sprawy okazuje się, że obie – każda na swój sposób – oparte są na niezbyt uczciwym traktowaniu społeczeństwa: jedna utrzymuje je w posłuszeństwie drogą dobrze zamaskowanego terroru (broń masowego rażenia, wymierzona permanentnie w skupiska ludzkie, gotowa zniszczyć, na zasadzie zbiorowej odpowiedzialności, całe miasto w odwecie za indywidualne lub grupowe protesty); druga – stwarza swym obywatelom iluzję praworządności i odpowiedzialności władców za ich czyny: co pewien czas karze się i zamyka w odosobnieniu nieuczciwych urzędników wysokiego szczebla, ludzie są usatysfakcjonowani i choć warunki bytowania są dość surowe, z ufnością obdarzają zaufaniem nowych urzędników, których przecież można będzie rozliczyć z ewentualnych nadużyć. Tylko że – jak stwierdzają przybyli inspektorzy – domniemane odosobnienie, pilnie strzeżone i niedostępne z zewnątrz, okazuje się enklawą dobrobytu i „prawdziwego świata", gdzie emerytowani złodzieje publicznego dobra spędzają czas na spożywaniu prywatnych owoców swej publicznej działalności, utrzymywani, jako „więźniowie", przez ciężko pracującą resztę społeczeństwa.

Inspektorzy stwierdzają, że żadna z dwu planet nie dorosła do przyjęcia do Federacji. Jednakże – ze względu na podejrzenie, iż cała ta sytuacja jest inspirowana i stymulowana przez „Obcych" – dla ich strategicznych celów, inspektorzy uważają, iż należy roztoczyć kontrolę nad tym układem gwiezdnym. Z uwagi na wyższe racje, związane z bezpieczeństwem całego „ludzkiego" obszaru Galaktyki, agenci Federacji posuwają się do stosowania metod i środków, sprzecznych wprawdzie z zasadami, którym hołduje sama Federacja, jednak... niezbędnych z pragmatycznych względów. Podejmując swe działania, nie mogą oni usprawiedliwiać się jawnie prawdziwymi motywacjami, co stawia ich wobec niechęci i krytyki nieświadomych sytuacji ludzi. Inspirując przemiany społeczne na kontrolowanych planetach, starają się pokrzyżować domniemane plany Obcych. ■



Grzegorz Komorowski

Od dłuższego czasu Wyspa odcięta jest od reszty świata. W pierwszych dniach globalnego konfliktu odleciały stąd wszystkie samoloty, odpłynęły większe jednostki morskie, zdolne dotrzeć do odległych wybrzeży kontynentu. Nie powróciły nigdy więcej. Zamilkły satelity komunikacyjne, rozgłośnie radiowe i telewizja przestały nadawać programy. Mieszkańcy Wyspy mogą tylko domyślać się strasznej prawdy: ludzkość przestała istnieć, tylko oni, na dalekiej zapomnianej Wyspie, z dala od ośrodków cywilizacji, dziwnym trafem ocaleli.

Śmiałkowie, którzy próbowali opuścić Wyspę w małych łodziach nigdy nie dotarli do kontynentu – albo zaginęli bez wieści, albo wracali, gdy opuszczała ich odwaga.

Życie Wyspy – zdanej na własne zasoby i zaradność mieszkańców – ukształtowało się w coś w rodzaju szczęśliwej utopii. Wstrząs psychiczny wywołany świadomością zagłady świata na długo wygasił skłonności do konfliktów między ludźmi. Człowiek stał się cenny dla człowieka, każdy jest każdemu potrzebny. Wyspa żyje jeszcze dawnymi obyczajami, ale stopniowo ulepszają się stosunki społeczne, kwitnie dobrobyt, wszystko nakierowane jest na zaspokajanie ludzkich potrzeb. Oczywiście, nie wszystko można wyprodukować na Wyspie – ale wkrótce okazuje się, jak wiele rzeczy dawnego świata było zbędną fanaberią, potrzebą sztucznie wywołaną u konsumentów...

Młody mieszkaniec Wyspy, A., dostrzega jednak pewne symptomy zachwiania ładu na Wyspie. „Coś" antagonizuje ludzi, pojawiają się nie występujące dotychczas, niepożądane zjawiska społeczne, zaczątki czegoś niedobrego.

A. stwierdza, że źródłem zła są pewne osoby, pojawiające się i znikające wśród tłumu innych mieszkańców. Próbuje rozgryźć tajemnicę – przypisuje rodzące się zło „siłom nieczystym" – akcji „Szatana", który nie może ścierpieć, że nie powiodły się jego plany unicestwienia całej ludzkości, do czego przez wieki historii cywilizacji zmierzał.

A. staje się obiektem kpin, jego „manicheizm" jest przez znajomych traktowany jak aberracja umysłowa – lecz on sam znajduje się coraz więcej dowodów działań „diabelskich" w przyzwoitym, unormowanym życiu Wyspy. Jeśli nie ma świata poza Wyspą – któż, jeśli nie Szatan, sieje zło, godzące w jej mieszkańców?

Jednak świat istnieje, ludzkość przeżyła konflikt – lecz jedna ze Zwalczających się Stron całkowicie zdominowała drugą i zaprowadziła na Ziemi Jednolity Ład.

B. jest jednym z tych, których wysłano na Wyspę w celu wykonania specjalnego zadania. Przerzucony tam, jest zaszokowany zastanym obrazem świata, diametralnie różnym od tego, który zna. Ale wkrótce poczucie obowiązku każe mu przystąpić do wykonywania zadań.

C. jest młodym uczonym, delegowanym do czuwania nad przebiegiem eksperymentu „Wyspa". Wykrywa działania B. zmierzające do zakłócenia przebiegu eksperymentu, sfałszowania jego wyników.

Eksperyment „Wyspa", zapoczątkowany w chwili opanowania świata przez przedstawicieli Jednolitego Ładu, ma na celu wykazanie, że istnienie społeczeństwa samorządnego, demokratycznego i wolnego od zbędnych ograniczeń jest mrzonką i utopią, wymysłem rzeczników starego Porządku. „Wyspę" celowo izolowano od świata, stwarzając wśród jej mieszkańców przekonanie o samotności na planecie. W tych niezakłóconych warunkach prowadzony, eksperyment „Wyspa" ma potwierdzić słuszność metod zarządzania stosowanych wobec całej reszty świata. Wyspa jest ostatnią enklawą, rezerwatem starego porządku w oceanie Jednolitego Ładu reszty świata.

Jednak eksperyment zaczyna trwać zbyt długo – przynajmniej tak sądzą teoretycy, którzy założyli z góry wynik doświadczenia. Eksperymentatorzy uczciwie dochowują warunków doświadczenia, wyniki zdają się jednakże świadczyć, iż utopia Wyspy przejawia cechy trwałości.

Teoretycy są niezadowoleni i gniewają się w duchu na eksperymentatorów, niektórzy nawet proponują wywrzeć na nich na-

cisk, by wyniki zaczęły potwierdzać teorię o niemożności utopii. Korzystniej jednak będzie, jeśli negatywny wynik doświadczenia nadejdzie od samych eksperymentatorów. Dlatego – w tajemnicy przed nimi – w świat doświadczalnego poligonu Wyspy infiltrują agenci do zadań specjalnych, którzy mają „pokierować" biegiem rzeczy we właściwą stronę.

A., mieszkaniec Wyspy, zbyt wścibski, znika w tajemniczych okolicznościach.

B., zdemaskowany przez C., robi wszystko, by nie wracać do Zewnętrznego Świata – tu podoba mu się bardziej, o wiele bardziej. Będzie odtąd gorliwie wydawał innych agentów, działających na Wyspie, współpracując z C.

C. zdaje sobie sprawę, że nie wygra z teoretykami w otwartej konfrontacji. Aby uratować eksperyment i uzyskać rzetelne wyniki, prawdziwą odpowiedź na pytanie o realności utopii – C. musi neutralizować działania agentów i raportować o sytuacji na Wyspie w taki sposób, jakby ich... nie było.

Dowódca jest zniecierpliwiony, gromi szefa tajnych służb za nieudolność jego ludzi. Raporty z rezerwatu są wciąż pozytywne – a więc negatywne dla tych, którzy chcą wykazać słuszność swych oligarchicznych metod rządzenia.

Usunięty z Wyspy A., ogląda świat, którego nieistnienie zakładał uprzednio. Wydaje mu się, że jak Dante zwiedza Piekło. Tylko to ratuje jego hipotezę o działaniu szatańskich sił na Wyspie – a do tej hipotezy przywykł już obsesyjnie.

Dowódca, niezadowolony z rozwoju sytuacji, wydaje rozkaz dla oddziałów desantowych. Podpisuje decyzję o likwidacji eksperymentu.

Ludzi z Wyspy trzeba izolować, by nie zatruli umysłów społeczeństwa. Uczonych-eksperymentatorów należy potraktować podobnie. ■



W normalność świata z jego codziennymi problemami, plagami społecznymi i międzyludzkimi konfliktami, wkracza dodatkowy czynnik pochodzenia zewnętrznego. Nie wspominają o tym massmedia, lecz znaczna część społeczeństwa Ziemi zdaje sobie sprawę z faktu, iż ich planeta penetrowana jest przez agentów innej cywilizacji. Lepiej poinformowani wiedzą nawet, że Ziemią interesuje się nie jedna, lecz d w i e obce cywilizacje. Jakie są ich cele – można się jedynie domyślać. Istnieje na ten temat kilka hipotez. Mówi się np., że gra idzie o opanowanie Systemu Słonecznego, który leży mniej więcej pośrodku drogi między dwoma innymi ośrodkami cywilizacyjnymi.

Nic jednakże nie jest pewne poza tym, że ludzkość jest już w poważnym stopniu zinfiltrowana przez agentury dwóch rywalizujących ze sobą sił, cywilizacyjnie zaawansowanych o tyle od Ziemi bardziej, że ziemska cywilizacja nie liczy się w tej rozgrywce. Należy się spodziewać, że nie będzie w stanie obronić suwerenności, a może nawet – uratować istnienia, gdy którakolwiek z obcych sił (lub co gorsza, obie na raz) zechce zawładnąć jej układem planetarnym – np. jako bazą pośrednią dla obrony przed drugą lub jako przyczółkiem dla planowanego ataku.

Spekulacje na temat istoty i celów obu obcych sił nie są głównym tematem powieści. Kreśli ona raczej obraz sytuacji w ludzkim społeczeństwie w o b e c niejawnej, lecz wyczuwalnej infiltracji Obcych.

Trzeba tu wyjaśnić, że jedni i drudzy Obcy posługują się w swych wywiadowczo-dywersyjnych celach wyłącznie agentami-ludźmi, zwerbowanymi do współpracy i opłacanymi korzyściami, jakie są w ramach naszej wiedzy i techniki – innym ludziom niedostępne (np. środki odmładzające i przedłużające życie, przywracające męskość, stymulatory przyjemności i niezwykłych wrażeń, bezśladowe bronie, niezwykłe urządzenia techniczne, etc.).

Obcy – prawdopodobnie różniący się znacznie od ludzi – muszą posługiwać się agentami-ludźmi, a wśród ludzi zawsze znajdą się chętni do współpracy z kimkolwiek, w zamian za doraźne korzyści, bez względu na perspektywiczne zgubne tego skutki dla całej ludzkości. Powieść przedstawia, na tle społeczeństwa, indywidualne postawy i motywacje różnych osób, działających na rzecz Obcych lub przeciw Obcym obu maści.

Jedni np. są zdania, że należy wesprzeć Obcych, którzy są moralnie „lepsi", by to oni właśnie mieli szanse zapanować nad Ziemianami w ostatecznej rozgrywce. Inni mówią, że należy popierać silniejszych Obcych, bo zwycięży, jak zwykle, nie lepszy, lecz silniejszy – i zawczasu należy sobie zyskać przychylność przyszłego zwycięzcy. Jeszcze inni wreszcie twierdzą, że w ogóle nie należy kierować się takimi kryteriami, lecz brać od tych, co lepiej płacą, bo dni dalszego istnienia są policzone: Ziemianie nie przetrwają konfliktu dwóch potęg, walczących nad ich głowami. Trzeba zatem korzystać ile się da i dopóki można, bo wkrótce i tak nikogo nie będzie.

Tylko nieliczna grupa naiwnych idealistów jest zdania, że trzeba przeciwdziałać jednym i drugim Obcym i utrudniać ich akcje. Reszta – w większości bierna lub nieświadoma sytuacji jeśli nawet nie popiera wrogów, to na ogół sądzi, że wszelkie próby oporu są bezcelowe. Nawet służby kontrwywiadowcze są bezsilne wobec technicznych środków, w jakie wyposażeni są agenci Obcych. Do tego kontrwywiady ziemskie też nie są wolne od agentów Obcych...

Powieść koncentruje się na zagadnieniu postaw i motywacji indywidualnych, przedstawiając jednostki o różnych poglądach i różnych praktycznych postawach wobec problemu hipotetycznego zagrożenia ludzkości. Całość ujęta jest w formę powieści z elementami sensacyjnymi, z wielowątkową akcją pokazaną na tle realiów świata w niezbyt odległej przyszłości. ■

neologizmy SF

Janusz A. Zajdel: Limes inferior

wydrwipunkt – żartobliwe określenie oszusta. Nazwa zbudowana na wzór istniejącej *wydrwigrosz*. W świecie, w którym miejsce pieniędzy (stąd: *grosz*) zajęły *punkty*, nastąpiła wymiana członu drugiego – rzeczownikowego, człon pierwszy – czasownikowy pozostał nie zmieniony.

ogłupiacz – wyraz ten można potraktować jako odczasownikową nazwę środka czynności. Oznacza on specyfik dodawany do najtańszego piwa i najtańszej żywności w celu spowodowania pewnych zmian w mózgu *(ogłupienia)* konsumentów. Przyrostek *-acz* służący między innymi tworzeniu nieosobowych nazw środków czynności jest niezwykle produktywny we współczesnej polszczyźnie, w przeważającej większości też motywuje nazwy od podstaw czasownikowych (tu: *ogłupiać*).

sexomat – automat zaspokajający potrzeby seksualne człowieka. Końcowa cząstka *-omat* została sztucznie wydzielona z niemotywowanego słowotwórczo wyrazu *automat* (z gr. *automatos* – samoczynny). Wyraz *automat* potraktowano więc jak złożenie z pierwszym członem powtarzalnym *aut*, istniejącym faktycznie w polskich złożeniach i znaczącym między innymi: samo-, sam, samoczynny, natomiast wydzielona cząstka druga miałaby oznaczać maszynę. Wobec tego *sexomat* to maszyna służąca do uprawiania *seksu*.

daltonizator – urządzenie powodujące „daltonizm" – zaburzenia rozróżniania kolorów punktów w automatach kasowych. Przyrostek *-ator* służy w języku polskim przede wszystkim do tworzenia nazw skomplikowanych urządzeń, które same wykonują czynności (np. *synchronizator*) głównie od podstaw czasownikowych. W przypadku *daltonizatora* podstawą jest rzeczownik *daltonizm*, chyba że założymy istnienie w świecie Argolandu czasownika *daltonizować*, co nie musi przecież być poświadczone w tekście, ukazującym tylko wycinek tego świata.

patrzawka – przyrząd służący do *patrzenia* (jak *słuchawka* do *słuchania*). Wyraz utworzony przyrostkiem *-awka* od podstawy czasownikowej – *patrzeć*. Odczasownikowe nazwy narzędzi to jedna z najliczniejszych grup derywatów tworzonych przez przyrostek *-awka* w języku polskim.

mieszkaniowiec – wyraz ten ilustruje proces charakterystyczny dla słowotwórstwa polskiego po II wojnie światowej. Pisze na ten temat Danuta Buttler: „Odosobniony po wojnie i uderzający swą niezwykłością rzeczownik *szybkościowiec* »dom budowany metodą szybkościową« dziś ma liczne »rodzeństwo« – ciąg nazw budynków utworzony według tego samego wzoru" (D. Buttler: Tendencje rozwojowe współczesnej polszczyzny (w:) Współczesna polszczyzna. Warszawa 1981, s. 197). W nowych strukturach słownych tego typu uwzględnia się różne ich cechy, np. funkcję budynku. Tak powstał *biurowiec* i funkcjonujący w tekście *mieszkaniowiec*.

tester – urządzenie służące do testowania i człowiek je obsługujący. Przyrostek *-er* derywuje we współczesnej polszczyźnie nazwy wykonawców czynności od czasowników obcych (tu: *testować*). Nazwy w ten sposób utworzone często charakteryzują się zniesieniem opozycji osobowości i nieosobowości, co też cechuje rzeczownik *tester*.



GALERIA

Wojtek Siudmak



neologizmy SF

worzony typowym
owiek trudniący się
mówiony przy rze-

zania czy-
noszenie,

czy przyrostek -arz,
twie do obcego -er,
nymi w budowaniu
alnie Nazwa liftciarz
windziarzem – utwo-
rem od czasownika
Angielski wyraz lift
nujący faktycznie w
z utworzony jest od
człowieka obsługu-

...czowniku tester, lifterka – nazwa żeńska utworzo-
na przyrostkiem -ka od nazwy męskiej lifter, lif-
ciarz – pogardliwa nazwa liftera („Drobny liftciarz z
dolnych klas, wyciągający jakichś tam szóstaków
i piątaków”). Oprócz kontekstu, o negatywnym

w których temat informuje o jakiejś cesze charak-
terystycznej. Przykłady z tekstu Zajdla należą do
grupy derywatów odliczebnikowych, są wszak
niejednorodne ze względu na podstawę. Dla
nazw szóstak, piątak, czwartak podstawami są
liczebniki porządkowe (szósty, piąty, czwarty), dla
nazw trojak, dwojak, – liczebniki zbiorowe (troje,
dwoje), natomiast dla nazwy jedynak – wyjątkowo
rzeczownik jedynka. W tym ostatnim przykładzie
mamy do czynienia z derywacją wymienną –
przyrostek -ka został zastąpiony przyrostkiem

-ak. Wszystkie te wyrazy istnieją rzeczywiście w
języku polskim z innym jednak znaczeniem. Na-
zwa zerowiec utworzona jest przyrostkiem -owiec
(mogącym spełniać tę samą funkcję co -ak) od

**szóstak, piątak, czwartak, trojak, dwojak, jedy-
nak, zerowiec** – nazwy określające osoby we-
dług cechy, która stanowi przypisana im klasa
intelektu (6, 5, 4 itd.). Przyrostek -ak jest produk-
tywny między innymi w zakresie tworzenia nazw

sony do języka polskiego, podobnie jak inne
angielskie wyrazy kończące się na -ing: camping,
surfing, dubbing, skauting. Obok formy dłuższej
lifting funkcjonuje w świecie przedstawionym po-
wieści także krótsza lift (mająca też swój pierwo-
wzór w języku angielskim). Podobna sytuacja ist-
nieje faktycznie w języku polskim: surfing, surf.
Wśród innych nielegalnych specjalności wymie-
nia Zajdel: downing, digging. O zadomowieniu
się liftu w języku świadczy jego zdolność do mo-
tywowania licznych derywatów: liftować – cza-

sownik odrzeczownikowy u...
przyrostkiem -owac, lifter – cz...
liftem. Przyrostek -er został ...
czowniku tester, lifterka – ...

liczebnika głównego zero.

lifting – nielegalny proceder podwyżs...
jej klasy intelektu (z ang. lifting – po...
lift – podnosić, też: ...

zabarwienia derywatu świad...
typowo polski w przeciwień...
specjalizujący się między i...
nazw zabarwionych emocjon...
stosowana jest wymiennie z...
rzonym tym samym przyrost...
windować (kogoś w górę) ...
znaczy także winda. Funkcj...
polszczyżnie wyraz windzia...
rzeczownika winda i oznacz...
jącego windę.

anta Tambor

Jo...

Zajęciem Ptasznika było polowanie na różne ptaszki, zwłaszcza niebieskie, i dostarczanie ich na planety, gdzie obowiązywało znacznie surowsze prawodawstwo. Tam podejrzane indywidua były sądzone i jeśli dowiedziono im winy, skazywane zgodnie z obowiązującymi przepisami, zaś Ptasznik brał swoją dolę za umacnianie racji bytu odnośnych instancji.

W tym miejscu należy podkreślić, że Ptasznik działał wyłącznie na własną rękę, sam wybierał swoje ofiary lub też, jak kto woli, jednostki niepraworządne, nie przyjmował żadnych zleceń czy propozycji pomocy, nie dawał się do niczego nakłonić ani niczego sobie nie pozwalał zasugerować. Inne pobudki jego aktywności na polu ornitologii poza hedonistycznymi nie są znane.

Ponadto warto dodać, iż w obrębie Imperium Galaktycznego nie istniały w czasach Ptasznika żadne umowy pomiędzy państwami planetarnymi, co do ekstradycji przestępców. Ruch osobowy między tymi planetami ograniczony był do zera, mimo wysoko rozwiniętej tech-

ornitologia

Andrzej Zimniak

nologii z transportem zero-przestrzennym włącznie. Jedynym powodem dziwnej sytuacji były różnice ustawodawcze. Albowiem już po upływie minuty do zakończenia międzygwiazdowej podróży jednych przybyszów zamykano by w areszcie za rozmaite niegdyś popełnione przestępstwa, innych zaś w szpitalach psychiatrycznych w celu leczenia apatii, uporczywych stanów lękowych lub ciężkich przypadków manii prześladowczej. Wobec takich perspektyw najlepiej już było przecierpieć całe życie na rodzimej planecie.

Chlubnym wyjątkiem lub jak kto woli, space-trotterem był Ptasznik. Przyjrzyjmy się niektórym jego akcjom.

Nad strumieniem w leśnym parku bawią się dwie dziesięcioletnie dziewczynki. Ptasznik przemykający cienistą alejką odczuwa na ich widok ciepłe drgnienie w piersiach, zwykle poprzedzające odruch łkania lub niespodziewaną radość. Z dziećmi ma zawsze najwięcej przyjemności.

Dziewczynki bawią się zupełnie swobodnie, rozbryzgując wodę i rzucając błotem, co świadczy o dużym oddaleniu rodziców lub opiekunów. Uwadze Ptasznika nie uchodzi również fakt, że obydwie są starannie uczesane, we włosach mają błyszczące kokardy, a powalane teraz gliną sukienki na pewno zostały włożone po raz pierwszy po praniu i były dodatkowo starannie odprasowane. Podchodzi cicho, depcząc swój bezkształtny cień, i staje nad nimi zwalisty jak góra. Przybiera srogi wyraz twarzy.

– Co wy tu robicie, urwisy?!

Dwie otwarte buzie kierują się w jego stronę, oczy stają się okrągłe, lecz ta odruchowa lustracja nie trwa dłużej niż chwila zaskoczenia; dziewczynki opuszczają głowy, tak jakby w dziobanej końcami palców glinie nagle zauważyły coś niezwykle interesującego.

– Niiic... my tylko taak... bawimy się – bąkają jedna przez drugą.

– To widzę – mówi Ptasznik już mniej groźnie, wprawnie rozpogadzając czoło. Podwija połę płaszcza i siada na kępie trawy, włączając ukryty w zegarku rejestrator. – Dokąd miałyście iść?

– To ona, to przez nią! – oskarżają się wzajemnie dziewczynki trochę już płaczliwymi głosami.

– Spokój! Umówmy się tak – zniża tajemniczo głos – że nie poskarżę rodzicom, jeśli powiecie mi wszystko. Tylko zaraz, bo się rozmyślę!

– Na rytmikę. Po drodze ona, nie, właśnie ona – znów zaczęły się przekrzykiwać – chciała iść na lody. Potem już było za późno, więc...

– Czy wasze mamusie płacą za lekcje rytmiki? Dobrze. Czy pracują? Ciężko? Doskonale. Czy nie mogłyby wpłacić tych pieniędzy na konto Wyższej Użyteczności Publicznej? Nie wiecie? A czy wasze mamy nie decydują o wydatkowaniu swoich zarobków? No więc. Byłyście grzeczne, więc macie po cukierku. Chcecie jeszcze? To musicie pojechać ze mną do sklepu.

Ptasznik nadał sygnał przywołania i po chwili wylądowała na łące kabina komunikacji zero-przestrzennej. Kluczem walutowym odblokował drzwi, wszedł i zrobił miejsce dla oblizujących się dziewczynek. Zdmuchnął kurz z tablicy łączności międzygwiazdowej i zastanowił się.

Zdjął zegarek i polecił wbudowanemu weń mikrokomputerowi wykonanie szacunkowych obliczeń dla kary dziesięciu lat internatu reedukacyjnego. Mógł oczywiście wybrać światy o ostrzejszych represjach, lecz nie lubił przesady. Zauważył bowiem już dosyć dawno, że rozkosz zadawania sprawiedliwości zakłócana bywa wtedy jakimś mdłym niesmakiem, który pozostaje w świadomości dłużej niż właściwa przyjemność. Ptasznik był zatwardziałym racjonalistą: nigdy nie pił więcej niż ćwiartkę wódki na raz, bo stwierdził, że w tym przypadku pro-
porcja
kształt-
Wyb
przych
odnow
ziarnista masa innego wymiaru. Nie
dy i oto stali w ponurym gmaszysku
– Przybywam na zaproszenie Sędzi
jaśnił Ptasznik tyczkowatemu urzę
świadomy wrażenia, jakie zawsze ro
tym razem nie stało się nic.
– Horrik nie jest już Sędzią – uśmie
sem urzędnik, obciągając poły czarneg
tymi epoletami. – Przedwczoraj został
kowym Przedstawicielem audiowizua
rze Mgławicy Andromedy. Co pan wi
– Ja... nic... tylko te dwie podejrzane,
te – jąkał się Ptasznik.
– Zwolnione od cła – powiedział ur
opieczętował czoła dziewczynek ok
Proszę przejść do odprawy testowej.
– Ja... nigdy tutaj... Ja protestuję!
– Przypominam, że za korzystanie
mięci lub testu podstawowego podcz
sankcje wymienione w paragrafie 19
miar kary: wymóżdżenie i wieczysta
– Też bym takiego wypędził – mru
nierad, przeszedł przez antyterrorys
kabiny odpraw testowych. Niebieskie
rzały go od stóp do głowy, potem uv
obie dziewczynki.
– Paragraf Pierwszy Ustęp Pierwszy
deksu dla Nieletnich – warknął głośni
Ptasznik odetchnął z ulgą. Pocza
wszystkich kodeksów znał na pamięć
– Paragraf Pierwszy – wyrecytował
mu dziecku, które zawsze żyje na ko
zezwala się na trzy kopnięcia w ciągu
kowe kopnięcie będzie karane w duch
nentnej.
Ustęp Pierwszy. Pierwsze dodatkow
będzie klapsem przez powłoki brzusz

błogostanu i nieodłącznie związanego z nią kaca
uje się najkorzystniej.
rat planetę, na której urzędował nad wyraz mu
ylny Sędzia-Opiekun. Musnął końcami palców
iednie przyvrił się
minęły trzy sekun-
Urzędu Celnego.
ego Horrika – wy-
dnikowi, w pełni
biły te słowa. Lecz

chnął się pod wą-
o munduru ze zło-
mianowany Posił-
lnym w XV sekto-
ezie?
no i rzeczy osobis-

zędnik i starannie
ągłym stemplem.

z podręcznej pa-
as odprawy grożą
91. Najniższy wy-
banicja.
knął Ptasznik i rad
yrzną bramkę do
oczy kamer obej-
ażnie złustrowały

, Drugi i Trzeci Ko-
k.
tkowe fragmenty

– Nie narodzone-
szt społeczeństwa,
doby. Każde dodat-
u edukacji perma-

e kopnięcie karane
ne.



Wojtek Siudmak

Ustęp Drugi. Drugie dodatkowe kopnięcie karane będzie szokiem chemicznym poprzez wprowadzenie do organizmu par amoniaku.

Ustęp Trzeci. Trzecie dodatkowe kopnięcie będzie karane szokiem elektrycznym, realizowanym za pomocą elektrod, przykładanych do warg...

– Wystarczy – znów warknął głośnik. – Proszę podejść do konsoli oficera testowego.

Ptasznik odsłonił ramię i na nagiej skórze przybito mu pieczęć kontroli granicznej. Był wolny.

– Gdzie jest ten sklep z cukierkami? – dopytywały się zniecierpliwione dziewczynki, gdy cała trójka opuściła mroczny gmach, mrużąc oczy w słonecznym świetle.

– To tam – wskazał pokaźnych rozmiarów budynek, w którego fasadzie wykuto napis „BIURO USŁUG ŚLEDCZYCH". Wziął dzieci za ręce i wprowadził do przestronnego holu. Przy ścianie stały automaty spożywcze; do jednego z nich włożył klucz walutowy i obrócił go dwukrotnie. W nadstawione dłonie dziewczynek, pośród pisków radości, posypały się kolorowe cukierki.

– Nie myślcie, smarkule, że was nabierałem – mruknął pod nosem. – No, a teraz musimy zapytać o dalszą drogę – to mówiąc studiował tablicę informacyjną. Nie zwracał najmniejszej uwagi na dwóch cywilów w szarych płaszczach, nie spuszczających go z oczu od chwili zakończenia procedury kontroli granicznej.

Skorzystali z windy i niebawem stanęli przed przymilnie uśmiechniętym starszym panem.

– Przywiozłem dwie podejrzane – Ptasznik od razu przystąpił do rzeczy. – Byłoby dla mnie prawdziwą przyjemnością przyczynić się...

– Darujmy sobie frazesy – przerwał mu tamten. – Proszę o dane – uśmiech nie znikał z jego twarzy, widocznie była to maska na godziny urzędowania lub też utrwalony częściowym paraliżem lik.

Ptasznik podał mu końcówkę swojego minikomputera, którą urzędnik umieścił w biurkowym łączu. Z uwagą obserwował ekran, po czym stuknął w płytkę kontaktową.

– Tu Terrik – powiedział półgłosem. – Mam coś ciekawego.

Kilkanaście sekund ciszy wypełniły tylko pochlipywania dziewczynek. Potem starszy pan nagle wyprostował przygarbione plecy, wyszedł zza biurka i uścisnął Ptasznikowi dłoń.

– Doskonale. Co zamierza pan z nimi zrobić? – spytał dla formalności.

– Są do pana dyspozycji.

– Dobra robota. Na ile pan ją wycenia?

– Drobiazg, szkoda gadać.

– Pan wie doskonale, że uchylanie się od obowiązku wynagrodzenia za pracę jest karalne, i to dla obu stron. Słucham więc.

– Gdybym mógł dostać psychodyski zespołu sędziowskiego z procesu tych dzieci...

– Ach, rozumiem – dziwny grymas zniekształcił na moment uśmiechniętą twarz starszego urzędnika. – To naprawdę nic trudnego. Jeśli pan reflektuje, możemy nagrać komputerowe wrażenia symulacyjne z wiernością sięgającą 98%. Dyski będą gotowe za minutę.

– Dobrze – zgodził się Ptasznik. – Chociaż chętnie odtworzyłbym także oryginalne.

– W porządku. Prześlemy je panu. Teraz jeszcze poproszę o klucz. Przelejemy na niego tysiąc bezpodatkowych interdolów.

W dziesięć minut później Ptasznik z ulgą opuszczał planetę. Palce mu drżały, gdy poprzez cienki materiał kieszeni na piersiach dotykał kapsułek z psychodyskami.

Ostre światło słoneczne rozpraszało się na listwach rolet spuszczonych do trzech czwartych długości, tak że wewnątrz panował łagodny, pomarańczowy półmrok. Przez ściany obwieszone matami sączyły się dyskretne dźwięki kwadrofonicznej muzyki. Puste o tej porze fotele przy czerwono nakrytych stolikach zachęcały do wypoczynku. Usiedli w kącie sali, za ażurowym przepierzeniem z prętów bambusa.

– Jak to miło, że w końcu dała się pani namówić na ten lokal. Na pewno nie będzie czego żałować – zagail Ptasznik, przyzywając kelnera skinieniem ręki. Łakomie spoglądał na siedzącą obok kobietę, chociaż nie o jej wdzięki mu chodziło. Zbliżał się kluczowy moment każdego polowania: ptak siedział na dłoni i należało jedynie zamknąć palce w taki sposób, żeby go nie spłoszyć.

– Byłam po prostu głodna – odpowiedziała chłodno, a Ptasznik zadrżał, bo jego ofiara zaczęła rozwijać skrzydła do lotu.

– Doskonale. Więc najpierw coś zjemy – nachylił się do kelnera. – Polecają ozorki lunatejskie albo solaris-czik. A może ma pani jakąś ulubioną potrawę?

– Wszystko jedno. Naprawdę jest mi to obojętne – wciąż była zimna i wyniosła. Pośpiesznie złożył zamówienie; kelner skinął głową i odpłynął w pomarańczowy mrok.

– Szalenie się cieszę, nawet nie wie pani jak bardzo – paplał, aby zyskać na czasie, lecz nie spuszczał z oczu jej twarzy jakby wyciosanej z jasnego kamienia. W jaki sposób skruszyć mury tej twierdzy, której obrońcy naprawdę chcą się poddać, tylko nie wiedzą, jak wyjść na zewnątrz? Spojrzenie kobiety mówiło, że jego przypuszczenia są słuszne.

Wreszcie pojawiła się zbawcza butelka.

– Wie pani, znawcy polecają...

– Pan jest jednym z nich? – trochę sztucznie siliła się na ironię.

– Nie, moja droga. Pragnę zaliczać się li tylko do smakoszów. Więc smakujmy! Nieźle, prawda?

– Nie wiem – spuściła głowę – może i tak.

Ptasznik poczuł ukrop w piersiach. Ptak złożył skrzydła i sam mościł się mu w dłoni!

– Jak to: nie wie pani? – spytał zduszonym głosem. – Przecież to wino serwują stale w restauracjach wyższych kategorii.

– Ja nie bywam nawet w tych gorszych. Nie bywam

nigdzie – podniosła gwałtownie głowę. Jej oczy błyszczały. Nie wolno przeciągać struny – pomyślał. Jeśli dostanie histerii, wszystko na nic.

– W tej pozie, z brodą dumnie podaną do przodu, przypomina mi pani kogoś – spojrzał na nią spod przymrużonych powiek i przywołał sentymentalny uśmiech. – Dziewczynę, którą przed laty kochałem. Poróżniło nas jakieś głupstwo, potem raniliśmy się już świadomie, a jeszcze później byliśmy zbyt dumni.

– Cóż pan może wiedzieć o samotności kobiet? – spytała sącząc złocisty płyn. Wzrok znów miała smutny, tylko wtedy na sekundę zagrały w nim błyskawice.

– Nno, parę lat już chodzę po tym świecie...

– Eech! – machnęła ręką, a on po raz kolejny napełnił kieliszki. – Zamknięta w czterech ścianach. Mąż, rodzina, obowiązki, praca, oto cztery ściany, między którymi obijamy się od tysiącleci... jak ptaki w klatkach...

Ptasznik zesztywniał. Nie, to musiał być przypadek. Zwykły artefakt.

Musnął jej dłoń swoją, a potem zatrzymał na dłużej. Rejestrator włączył już wcześniej.

„Paragraf 24533, ustęp 412: Temu, kto popełnia przestępstwo w stanie upojenia alkoholowego, wymierza się karę dwukrotnie wyższą" – wyrecytował bezgłośnym szeptem fragment kodeksu. Za uchem usłyszał wysokie bzykanie. Machnięciem dłoni przegnał natrętnego owada.

– Według savoir-vivre'u podobno kobieta powinna proponować mężczyźnie przejście na ty. Gdybym ściśle stosował się do tej zasady, dotychczas do wszystkich mówiłbym pani, no może z wyjątkiem matki i siostry...

Po raz pierwszy roześmiała się szczerze, w niewymuszony, swobodny sposób. Przesunął dłonią po jej gładkim przedramieniu. Trzy lata jak w banku. A on sam? Sprawdza praworządność i to jest jego jedyny zamiar. Nie pragnie niczyjej krzywdy, jedynie sprawiedliwości.

Potem, po solaris-czikach, pili szampana i przeszli na ty. Ona zaproponowała bruderszaft i całowała z nieśmiałym języczkiem (sześć lat). Jego sunącą od kolan dłoń strąciła dopiero na poziomie czternastu lat (trzy czwarte uda). Wciąż śmiała się i powtarzała, że wyszalała się przynajmniej za kilka lat życiowej nudy. Na koniec zaś dała się bez trudu zaprosić na pożegnalną kawę. Cóż z tego, że nie wiedziała nic o tym mieście na planecie o tej samej nazwie, odległej o niespełna tysiąc lat świetlnych. On wymienił jej nazwę zupełnie wyraźnie i był w porządku.

Facet wyskoczył ze sklepu wściekły. Klął na wszystko i wszystkich.

Ptasznik, który jeszcze przed chwilą udawał, że czyta, złożył płachtę gazety i obejrzał się, przywołując na twarz wyraz zdziwienia. Jego rejestrator pracował na pełnych obrotach.

– Cóż cię tak zdenerwowało, przyjacielu? – zwrócił się do spoconego, wciąż klnącego pod nosem mężczyzny.

Tamten spojrzał na życzliwie uśmiechniętego Ptasznika w taki sposób, jakby chciał mu dać po twarzy albo przynajmniej spytać, po co wtyka nochal w nie swoje sprawy. Lecz nie zrobił ani jednego, ani drugiego; sapnął tylko kilka razy i wreszcie spuścił powietrze.

– Jestem południowiec z natury i dlatego porywczy – wyjaśnił niezbyt precyzyjnie. – Ale też szybko siadam.

– Co cię tak wkurzyło? – zagadnął Ptasznik, dostosowując słownictwo do wymogów chwili.

– Bo w tym zafajdanym sklepie to już nawet kondonów nie można dostać! – znów się spienił. – Wycofali, bo im nie modne!

– Może dlatego, że są nowocześniejsze sposoby...

– Samo g...! Niteczki, sprężynki, połykanie promieni! Nie ze mną te zabawy, bracie, ja muszę zobaczyć i dotknąć, wtedy uwierzę. Obiecanek to ja już miałem w życiu dosyć, powiadam ci.

– Może i masz rację, ale po co zaraz zniesławiać Wysoką Instancję?

– Czyś ty zgłupiał, poczciwy człowieku?! – oczy południowca rozszerzyły się ze zdumienia.

– Ani trochę. Przed chwilą krytykowałeś gospodarkę drobnotowarową i ekonomiczne posunięcia rządu, czyż nie?

– Noo – zmieszał się tamten – na to wygląda. Gadasz jak w holowizji.

– Już wiem, dokąd cię zabiorę – uśmiechnął się Ptasznik, obserwując migające cyferki na ekranie komputerowego zegarka.

– Na przykład? – tamten wziął się pod boki.

– Na piwo. Co ty na to?

– Na piwo to dałbym się zaprosić i do samego piekła – mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Nikt nigdy nie nauczył tego człowieka, co to jest intuicja, a szkoda – pomyślał Ptasznik, prowadząc go w kierunku pobliskiego postoju kabin zero-P.

Uf, pora na małe wakacje – westchnął Ptasznik, ocierając pot z czoła. Na tablicy sterującej wybrał kod niewielkiej planety usytuowanej na uboczu; pamiętał, że kodeksy aktualnie obowiązujące w jej systemie państwowym są dosyć liberalne, lecz jeszcze nie na tyle, by zapanowała anarchia. Zaraz po przybyciu wynajął w letniskowym pensjonacie pokój z niesymulowanym widokiem na jezioro i otaczające je sosnowe lasy, wyciągnął się jak długi na łóżku i uruchomił urządzenie odtwarzające psychodyski, na których utrwalone zostały wrażenia sędziów z ostatnich procesów. W chwili włączenia aparatu świat zewnętrzny przestał dla niego istnieć, po całej świadomości rozlały się skondensowane obce doznania, wywołujące na przemian naprężanie i rozluźnianie mięśni, szczękościsk i uśmiech anielskiej szczęśliwości, gwałtowne wierzganie i zapraszające gesty dłoni, a także, co tu dużo gadać, cyklicznie nawracające psychodeliczne orgazmy.

W tym miejscu należałoby wtrącić, że wysoce krzywdzące dla sędziów byłoby przypisywanie im doznań w rodzaju lubieżności zadawania sprawiedliwości. Z drugiej strony umniejszeniem ich duchowego zaangażowania w słuszną sprawę mogłoby okazać się dostrzeganie w ich dostojnych umysłach jedynie satysfakcji z triumfu prawa nad występkiem. Również nie wolno zapominać o możliwości ujawnienia się u Ptasznika kompleksu sadomasochistycznego oraz o dużym prawdopodobieństwie pewnej przewagi czynnika sado w wymienionym duecie, chociaż tego typu próby analizowania i szufladkowania złożonej psychiki człowieka są zawsze bardzo uproszczone i z reguły skazane na niepowodzenie.

Jedno nie ulega wątpliwości: Ptasznik przeżywał chwile autentycznego szczęścia, wystawiając swój układ nerwowy na coraz to nowe paroksyzmy zgęszczonych bodźców o określonych parametrach psychostymulacyjnych. Cóż, każdy z nas ma jakiegoś kota, o czym zwykle nie wiedzą inni, a czasami i sam właściciel.

Po siedmiu dniach i nocach permanentnej rozkoszy z niewieloma krótkimi przerwami na byle jakie posiłki i drzemki na siedząco, Ptasznik wstał, otworzył okno i przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy. Teraz postanowił się zabawić.

Wyszedł z rękami w kieszeniach i pogwizdując wesoło [illegible]

Andrzej ZIMNIAK

Urodził się w 1946 r. Doktor nauk chemicznych, pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej, specjalizacja – badania spektralne związków organicznych. Autor zbiorów opowiadań SF: „Szlaki istnienia" (Nasza Księgarnia, 1984), „Homo determinatus" (w przygotowaniu dla Wyd. Po- [illegible] ...wieczności" (w przygotowaniu dla Naszej Księgarni).

W „Fantastyce" opublikowaliśmy dotychczas trzy jego opowiadania: „[illegible] w butach" (nr 2/83), „List z Dune" (1/84) i „Najdłuższa podróż [illegible] ślubna" (11/84). Andrzej Zimniak jest jednym z laureatów [illegible] nagród „Fantastyki" za rok 1984 w kategorii opowiadań (wyróżnienie za „List z Dune").

sów starej panny lub ciągot małżeńskich młodej kobiety.

Przyjrzał się im jak bukietowi polnych, trochę tylko podrasowanych gatunkowo kwiatów i wybrał dziewkę postawną, ale nieco już sfatygowaną: na twarzy ślady niedawnych zadrapań, szyja raczej nie domyta niż opalona, nogi naznaczone sińcami pozostałymi po energicznych zalotach. Takie właśnie lubił, od częstego używania dobrze leżące w dłoniach, a nieufnie odnosił się do wymuskanych, nie dotarłych, nie wiadomo przez kogo opłacanych lal.

Zaprowadził ją prosto do hotelu i otworzył łazienkę.

– Mam kłopot – powiedziała, lekko sepleniąc. Dopiero teraz zauważył, że jej oczy są podpuchnięte i zaczerwienione.

– Najpierw przyjemność, potem kłopoty – uciął i uśmiechnął się, pojmując sens mimowolnej sentencji. Dziewczyna rzuciła na niego lękliwe spojrzenie. – Chodź, sam cię wyszoruję – powiedział. – Czego człowiek nie zrobi własnoręcznie, to inni spaprzą.

– Daj chociaż pić.

– Nie martw się, zaraz znajdę coś niecoś.

Gdy potem zmęczeni leżeli obok siebie, Ptasznik nagle poczuł niepokój źle wykorzystywanego czasu. Koniec lenistwa, trzeba znów wziąć się do pożytecznej pracy!

– Zjeżdżaj już, mała – trącił kobietę łokciem w nagie plecy i sięgnął po jej klucz, aby przelać nań ze swojego należność za usługę. Lecz ona odwróciła się i chwyciła go

Pojazd opuścili pośrodku placu, otoczonego gmachami wymiaru sprawiedliwości.

– Wspaniale! – wyrwało się Ptasznikowi.

– Zabierzesz mnie jeszcze na kawę? – spytała markotnie kurewka z innej planety.

Od początku sama pcha się w objęcia prokuratora – pomyślał.

– Zabierzesz? – powtórzyła.

– Niech stracę – sapał zadowolony. Przecięli plac na skos i weszli do gmachu Wysokiej Instancji. Ściany obszernego holu dosłownie były oblepione płytkami kontaktowymi.

Gdy Ptasznik rozglądał się, szukając informacji, dziewczyna infantylnym ruchem poskrobała ścienny przycisk, który natychmiast rozpalił się rubinowym światłem. Odciągnął ją gwałtownie.

– Co robisz, głupia – syknął.

Lecz u wylotu korytarza pojawiło się już dwóch uśmiechniętych życzliwie panów w średnim wieku.

– Czym możemy służyć? – spytał uprzejmie jeden z nich.

– Przyprowadziłam podejrzanego – dziewczyna nie... wskazała Ptasznika, wokół którego w ...mknęło się pole krępujące.

...śmy zapoznać się z danymi? – panowie ...jmi.

...ma na przegubie lewej ręki zegarek z ...omputerem.

...o... to mój!! – Ptasznik nareszcie zdołał

– Przyprowad... dbałym ruchem... jednej chwili za...

– Czy mogliby... nadal byli uprze...

– Podejrzany ... wbudowanym k...

– Co... dlacze...

Wojtek Siudmak



Krajewski Michał Dymitr Tadeusz

(1746-1817)
Literat, pedagog, historyk

Urodził się 8 września 1746 roku w województwie ruskim. 22 lipca 1763 roku wstąpił do zakonu pijarów w Podolińcu, gdzie odbył nowicjat i przyjął imię Dymitra (jako pisarz używał imienia Michał). Po ukończeniu nowicjatu studiował retorykę (1765/66) i filozofię (1766/68) w Międzyrzeczu Koreckim. Od roku 1769 uczył w kolegium pijarskim w Warszawie, gdzie zajmował stanowisko podprefekta (od 1770). W latach 1773-1775 był nauczycielem domowym u Tarnowskich, a od roku 1776 u Wodzickich. Przebywał w domu zakonnym w Nowym Sączu (1776-1782). W 1782 wrócił do Warszawy obejmując stanowisko prefekta w Collegium Nobilium. Obok Dmochowskiego, Popławskiego i Kopczyńskiego należał do działaczy szczególnie zasłużonych dla ówczesnej oświaty. Był nieprzeciętnym erudytą, czytał literaturę francuską, także ówczesne gazety i czasopisma, zapoznając się z nowościami ekonomicznymi i politycznymi. Był okolicznościowym korespondentem – posyłał do gazet swoje wiersze o tematyce patriotycznej. Debiutował w wieku 31 lat („Gry nauk dla dzieci, służące do ułatwienia ich edukacji...", Kraków 1771) ale intensywną pracę twórczą rozpoczął dopiero od 37 roku życia. Jego działalność pisarska koncentrowała się wokół zagadnień społecznych epoki: postulatów reformatorskich realizowanych w aktach ustawodawczych, wychowania młodzieży, edukacji szlachty poprzez krytykę starych schematów świa[...]

nież epos prozą „Leszek Biały książę Polski, syn Kazimierza Sprawiedliwego. W 12 księgach" (Warszawa 1789) nawiązujący do „Przypadków Telemaka" Fénelona (1726; tłum. poetyckie J.S. Jabłonowskiego). W eposie zawiera Krajewski pochwałę rządów Stanisława Augusta i osiągnięć Sejmu 4-letniego.

W okresie Targowicy i powstania kościuszkowskiego rodzą się wiersze patriotyczne Krajewskiego. W roku 1788 autor „Podolanki" obejmuje plebanię w Białaczowie, a w 1793 sekularyzuje się i osiada na parafii w Końskich. Z pobytem w Końskich (u Małachowskich) związana jest jego okolicznościowa działalność poetycka i komediopisarska (m.in. wierszowana komedia „Stary w zalotach", która została wystawiona w Warszawie 23 lutego 1806 roku przez Wojciecha Bogusławskiego). Po roku 1809 Krajewski przenosi się do Warszawy i przystępuje do prac Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk prowadząc badania historyczne. 5 kwietnia 1812 roku zostaje członkiem przybranym TPN. Po klęsce Napoleona wraca do Końskich, gdzie organizuje amatorski zespół teatralny. Pisze utwory o treści społecznej, m.in. „Rozprawę o przyczynie ciemnoty niektórych osób duchownych stanu niższego i ciemnocie ludu wiejskiego" (1816). W tym samym czasie powstają (nie ogłoszone drukiem): „Rozprawa o własności czci", „Rozmowa Plebana z włościanami" oraz „O prawie monarchów i ludów".

U schyłku życia pisze Krajewski obszerną pracę historyczną „Dzieje panowania Jana Kazimierza od roku 1656 do jego abdykacji w roku 1668", którą przekazuje TPN w maju 1817, dwa miesiące przed śmiercią (część 1 – zaginęła, cz. 2 została wydana pośmiertnie dopiero w 1846 roku staraniem Michała Balińskiego).

Michał Dymitr Krajewski umiera w Końskich 15 lipca 1817 roku (wg „Wielkiej Encyklopedii Ilustrowanej" – 20 lipca, co być może pokrywa się z datą pogrzebu).

„Wojciech Zdarzyński życie i przypadki swoje opisujący" (Warszawa 1785) – powieść określana mianem edukacyjnej – to

Ignacego Krasickiego, a pośrednio także idee J.J. Rousseau. Państwo Sielan to społeczeństwo fizjokratyczne: wieś nie miasto, ziemia nie handel, praca nie złoto – są źródłem szczęścia Księżyczan. Wszyscy są sobie równi, brzydzą się wojną, uprawiają bardziej cnotę niż wiedzę. Powszechnym szacunkiem cieszą się mędrcy potrafiący łączyć „naukę z roztropnością i cnotą". Sielanie nie znają metali szlachetnych, tylko te, które służą do pracy, chociaż obok narzędzi rolniczych noszą broń i każdy z nich jest chłopem-żołnierzem. Potępiając świat cywilizowany odwołują się do serca, wrażliwości i uczucia (zwłaszcza kobiety powołane są do zasiewania łagodności i słodyczy w duszy człowieka). Propagowaniu cnoty służy również sztuka Sielan – a zwłaszcza oryginalna poezja, która niesie z sobą świeżość i naturalność opisów przyrody.

„Wojciech Zdarzyński" – pisany na konkretne zamówienie społeczne – miał stanowić krytykę aktualnie istniejących urządzeń prawno-politycznych i obyczajowych. Ale Krajewski wykroczył poza sztywne schematy utopii. Potępiając zło świata cywilizowanego odwołał się do serca, wrażliwości i uczucia człowieka kierując się ideologią sentymentalizmu. Nie zawsze przestrzegał „reguł gry utopijnej" każąc swojemu bohaterowi w rozmowie z mądrym Saturno zachwalać Polaków jako najbardziej pokojowy naród świata, który nie wydał „konkwistadorów jak Cortez czy Pizarro". Lokalny patriotyzm pisarza uczynił z „Wojciecha Zdarzyńskiego" utwór szczególny, niesprowadzalny do oświeceniowych przeróbek i naśladownictw. Trzeba przypomnieć, że oryginalny, jak na warunki polskie, motyw podróży balonem można wytłumaczyć niezwykłym oczytaniem autora w literaturze naukowej. Krajewski znał „eksperymenty" przeprowadzane przez Akademię Krakowską i prawdopodobnie czytał artykuł „Opisanie znakomitego doświadczenia z banią powietrzną czynionego w Krakowie 1 kwietnia 1784 roku" (zob. „Magazyn Warszawski 1784, cz. 2)

„Wojciech Zdarzyński" wydany i wznowiony w roku 1785 został przełożony na język niemiecki (tłum. J.W.L. Haan – „Albert der Abentheurer", Wiedeń – Lipsk 1794). W roku 1787 w Supraślu ukazało się kolejne polskie wznowienie pod zmienionym tytułem „Podróż lunatyka po miesiącu".

schematów świadomościowych. Z zainteresowań pedagogicznych Krajewskiego i z szacunku dla założyciela Collegium Nobilium zrodziła się „Pochwała Stanisława

[...]ka utopia księżycowa propo[...]nia idealnego ustroju spo[...]atem utworu są losy młode[...]

[...]o" (Warszawa 1783). [...] Krajewski „Podolan[...]e natury, życie i przy[...]woje opisującą" (Warszawa 1784). [...]nicjowała pierwszy spór literacki w [...] Utwór był przeróbką francuskiej [...] H.J. Delaurensa – „Imirce, ou la [...] nature", tak dalece przesiąkniętej [...]izmem, iż parodiującej właściwie [...] J.J. Rousseau. W opracowaniu [...]siego powieść okazała się raczej [...]ą stanu natury i wychowania rou[...]ego. W ślad za „Podolanką", która [...]ągu jednego roku została uhono[...]co najmniej sześciu wydaniami (!) [...] się powieść „Wojciech Zdarzyński [...]rzypadki swoje opisujący" (War[...]785) oraz „Pani Podczaszyna. Tom [...]ypadków Wojciecha Zdarzyńskie[...]szawa 1786).

[...]sie obrad Sejmu Wielkiego pisze [...]ki monografię historyczną poświę[...]elanowi Czarnieckiemu („Historia [...]na Czarniey Czarnieckiego woje[...]gowskiego, hetmana polnego ko[...]", (Warszawa 1787). Wydaje rów-

[...] chowanie, zostaje zmuszony do ucieczki z ojczyzny i trafia za pomocą balonu (!) do utopijnego kraju Sielan. Tam [...] mędrzec Saturno zapoznaje go z zasadami jakimi podporządkowane jest cnotliwe, szczęśliwe życie Księżyczan oraz krytykuje wady innego, fantastycznego kraju – państwa Wabad na przykładzie opisu jego stołecznego miasta Modołu.

Sielania w „Wojciechu Zdarzyńskim" to typowa dla XVIII-wiecznej literatury kraina utopii – operująca znanymi motywami i schematami. Za tło fabuły posłużyły Krajewskiemu fantastyczne książki podróżnicze („Les aventures de Jacques Sadeur" G. de Foigny), dalej utwory o charakterze moralizatorskim i satyrycznym („Candide" Voltaire'a, „Gulliver" Swifta), wreszcie teksty deklaratywnie utopijne („The Discovery of a World in the Moon" J. Wilkinsa, „Histoire comique des Etats et des Empires de la lune" Cyrana de Bergerac i „L'An 2440 ou Rêve s'il en fut jamais" L.S. Mercier'a). Zasadniczym wzorcem „Wojciecha Zdarzyńskiego" jest jednak „Doświadczyński"

pierwsza pols[...] nująca założe[...] łecznego. Ten [...] go Polaka kt[...] Hieronima Konarskieg[...] W rok później ogłasza [...]kę wychowaną w stan[...] [...] która za[...] Polsce. [...] powieść [...] fille de [...] wolteria[...] „Emila" [...] Krajews[...] pochwa[...] ssoańsk[...] w przec[...] rowana [...] ukazała [...] życie i [...] szawa 1[...] drugi Pr[...]go" (Wa[...]

W cz[...] Krajews[...] coną S[...] Stefana [...] wody k[...] ronnego[...]

Bibliografia wybrana:

– B. Gubrynowicz, *Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta*, Lwów 1904.
– J.K. Wojciechowski, *Utopia i satyra w ks. Krajewskiego „Wojciechu Zdarzyńskim" a Swifta „Podróże Guliwera"*, (w:) „Pamiętnik Literacki", t. VI, Lwów 1907, z.4.
– Ł. Łętowski, *Wspomnienia pamiętnikarskie*, Wyd. H. Barycz, Wrocław 1952.
– J. Pietrkiewicz, *Krajewski 's Warsaw on the Moon* (w:) Slavonic and East European Review", 1961/62 nr 95.
– Z. Sinkowa, *Powieści zachodnioeuropejskie w kulturze literackiej polskiego Oświecenia*, Wrocław – Warszawa – Kraków 1968.
– I. Tossowska, *Michał Dymitr Krajewski*, (rozprawy Uniwersytetu Warszawskiego), Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, 1980.
– (...) *Uwagi Polaka Patrioty nad „Zdarzyńskim"* (w:) Polak Patriota 1785/1, 2

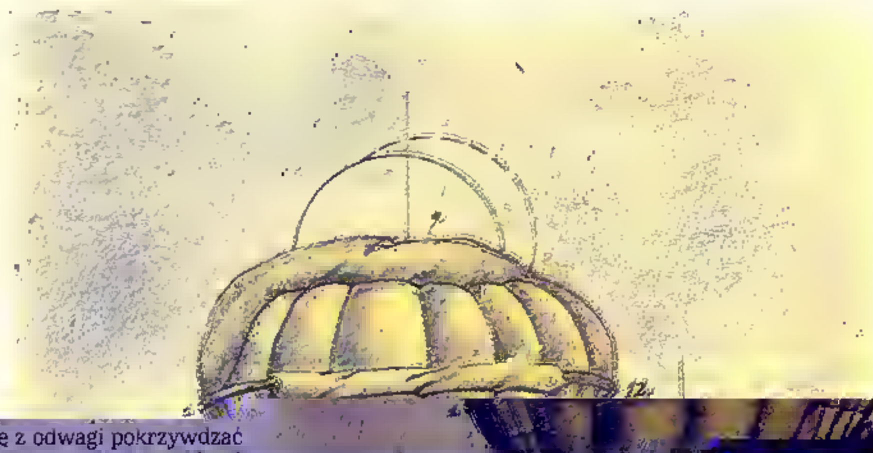
Wojciech Zdarzyński życie i przypadki swoje opisujący

MICHAŁ DYMITR TADEUSZ KRAJEWSKI

...Jak tylko kolega mój przeciął linę, która nas utrzymywała przy ziemi, natychmiast balon podniósł się z nami z taką szybkością, iż w krótkim czasie zniknęła nam z oczu Warszawa.

Przez kilka dni byliśmy na powietrzu, mając wiatr, który nas niósł ku zachodowi. Poglądając na ziemię, bojaźń we mnie coraz się bardziej wzmagała.

Ale niech mi daruje czytelnik, że mu nie dam ostatecznego opisania dalszej żeglugi naszej. Wolę wyznać prawdę, iż strach odejmował mi tę przytomność, która potrzebna jest do zastanowienia się nad każ[illegible] okolicznością konten[illegible] ą ciekawość,



niżeli chełpiąc się z odwagi pokrzywdzać

Wojciech Zdarzyński

życie i przypadki swoje opisujący

sznurówki obejmują wolne odetchnienie, ani tak pąsowe jak tych, które się malują, ale po większej części są smagławe, mając żywe kolory krwie zdrowej, którym żadna farba wyrównać nie potrafi. Nie mają prawda tej szczupłości, która u nas jest skutkiem sznurówek, lekarstw i sedenterii, ale za to są zdrowe, płodne i zdatne do pracy.

...Satumo, nie znając tej różnicy, która jest między nami, sądził o mnie według zwyczaju i sposobu myślenia swego narodu (...). Z tym wszystkim wybić mi nie mógł z serca tej miłości, którą miałem ku mojej ojczyźnie. Często, myśląc o niej, brała mię rozpacz, osobliwie natenczas, kiedym obaczył ziemię wschodzącą na niebie jak księżyc, który oświeca nas ziemian. Gniewałem się na chmury, które zasłaniając sobą porywały mi z oczu com miał najmilszego. (...)

Szczęściem osobliwszym znalazłem w tym kraju pewny rodzaj drzewa, którego łyczka lekkie i nie przepuszczające przez siebie powietrza były tak dobre jak błonki, z których robią balony. Mieszkańcy używają tych łyczek zamiast tafel do okien, a napuszczone sokiem z innego drzewa tracą przezroczystość i służą za papier równie dobry jak nasz, który robiemy z płótna. Z tych łyczek w krótkim czasie zrobiwszy mój balon, zacząłem pracować około przysposobienia gazu.

Satumo nie był nawet ciekawy patrzyć na mój odjazd, owszem, prosił mię, abym taki czas obrał sobie, kiedy wszyscy Sielanie udadzą się na spoczynek. Uczyniłem zadość rozkazowi jego i o drugiej po północy puściłem się szczęśliwie w przedsięwziętą podróż.

We dwie godziny zrobił się dzień jasny. Poglądając na księżyc zdziwiłem się, iż balon mój nie tak wysoko, jakem się spodziewał. Zniknął mi jednak z oczu kraj sielański, bo wiatr wschodowy, coraz bardziej się wzmagając, niósł mię z sobą gwałtownie (...). Mgły grube, które potem okryły księżyc, nie dały mi widzieć, co się ze mną działo i w jakim miejscu znajdowałem się od dni czterech. Z tym wszystkim byłem bez najmniejszej bojaźni, częścią dlatego, iż miłość ojczyzny i nadzieja jej oglądania nie wystawiały mi przed oczy niebezpieczeństwa, na które się puszczałem, częścią, iż jak ostrzelany żołnierz mniej zważałem na to, co mię pierwszą razą niezwykle czyniło trwożliwym. Spuściwszy się na Opatrzność, czekałem losu, jaki mię spotka, a w tych prawie myślach z wielkim zadziwieniem obaczyłem się na ziemi (...).

Wojciech Zdarzyński życie i przypadki swoje opisujący, Warszawa 1785, Druk M. Grölla, wybór ze stron 158-221.

Przygotował Andrzej Niewiadowski

CZERWONE – ZIELONE

Czy komiks jest sztuką? Odwróćmy pytanie – czy gdyby nią nie był, znaczyłoby, że winniśmy odmówić mu naszej uwagi? Sztuką nie jest prasa, telewizja rzadko bywa sztuką, fotografia amatorska, ale miłośnicy tych mediów i zajęć mają lekkie życie. Tylko stronnictwo komiksu musi stale dowodzić, iż jego pasja, nie dość że nie jest haniebna, to jeszcze bywa skrzydlata.

Mówię oczywiście o Polsce, gdzie nawet wydawcy robiący na komiksie ciężkie pieniądze strzelają oczyma ze wstydu. W świecie komiks wychodzi w twardych okładkach, do fascynacji nim przyznają się filmowcy i intelektualiści, a najlepsi rysownicy dostają państwowe nagrody. Wiadomo tam jednocześnie, że komiks może być tani, głupi, wredny, pornograficzny – zły po prostu. U nas, jeśli odjąć bezkrytycyzm dzieciaków i młodzieży, ciągnie się za całym komiksem to samo odium, co kiedyś za jazzem, coca-colą i gumą do żucia, a dziś za sprzedajną miłością i wizerunkiem jelenia na rykowisku.

W tej sytuacji ukazuje się na naszym rynku praca KTT „Sztuka komiksu" – rzecz zapowiadana od lat co najmniej dziewięciu, przesuwana w planach wydawniczych, choć głównie zdaje się w autorskich – i zastaje środowisko komiksiarzy nieco już zniechęcone i wystudzone. W dodatku autor, zwykle błyskotliwy i nie szczędzący w swych esejach oryginalnych diagnoz i syntez („Mieszkańcy masowej wyobraźni", „Kultura w stylu blue jeans", „Wszystko dla wszystkich"), poszedł tym razem językiem nieco ciężkim, naukowym i podpierając się często cytatami z zagranicznych encyklopedii komiksu, operuje na materiale głównie zagranicznym. W kraju, w którym mimo trudności mamy dobrze powyżej dziesiątki komiksiarzy nieźle znanych na rynku (Baranowski, Christa, Wróblewski, Polch, Chmielewski, Kasprzak, Rosiński, Szyszko, Andrzejewski), w którym do komiksu przymierzali się profesorowie Skarżyński i Stanny oraz mistrz Kobyliński – KTT wymienia w swej książce tylko dwu: znakomitego, choć nietypowego Mleczkę i nieoczekiwanie wydobytego z cienia Lengrena. A Lutczyn, Sawka, Czeczot, Dudziński, Kronze...? Wiem, że to epoka miniona, ale epoka dla komiksu znacząca, w której kształtowaniu KTT jako były redaktor „Szpilek" miał duży i pozytywny udział. Dziś woli KTT rozprawiać o „Walentynie" Crepaxa, o Supermanie, Orzeszkach i Crumbie... Skoro tak, po długiej i chwilami żmudnej lekturze dowiemy się o swoistości sztuki komiksu, o jej genealogii i języku, o chwytach formalnych, przestrzeni obrazka, nawet o immanentnie wpisanej w jej istotę fantastyczności planszy komiksowej. Ale tak, jak to wygląda w komiksie zagranicznym. Jest to wszystko mądre, kompetentne i nawet inspirujące. Niestety nie powie nam KTT czy może być, czy bywa sztuką komiks pod piórkiem polskim.

Łapię tu sam siebie na rozdrażnieniu, to chyba niedobrze. Komiks rodził się w Stanach i na Zachodzie, tam się rozwijał – trudno żeby analizować jego początki i kształtowanie na rodzimych przykładach. Tego autor zrobić inaczej nie mógł i mimo że mało daje wyłącznie od siebie, to w sumie daje nam wiele. Ale mógł przecież Toeplitz dokleić do owych uczonych rozważań rozdział o tym jak łamały się sprawy komiksu na gruncie polskim. A szło to dziwnie i pokrętnie, mieliśmy w tej dziedzinie, jak w wielu innych, okresy zamknięć i zielonych świateł. Są ludzie, którzy pamiętając wspaniałe komiksy fantastyczne ukazujące się u nas na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – nie mają już pewności, czy było tak w istocie czy im się to tylko wyśniło. Nie istnieją bibliografie polskiego komiksu. Eseista wnikliwy jak KTT mógłby przecież wiele powiedzieć o dwuznacznej i krótkiej karierze pisma „Przygoda", o niezmordowanym Chmielewskim, który jako jedyny chyba utrzymał się przez wszystkie zawirowania i etapy. Ciekawie byłoby poczytać o różnych podejściach do komiksu propagandowego i politycznego, ale nie na przykładach włoskich czy niemieckich (jak u KTT), lecz krajowych. U nas też próbowano używać komiksu w celach wychowawczych (trochę opowiadał o tym Christa w wywiadzie dla „itd"). Zresztą nieoczekiwanie stało się to szansą komiksu, bowiem za sprawą kapitana Żbika i porucznika Klossa dokonało się u nas na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych kolejne, drugie czy może trzecie, otwarcie. Potem zaczęli szaleć komiksem underground Mleczko, „Szpilki" i prasa studencka. Przyszła wkrótce era „Relaxu", klasycznego pisma komiksowego, które oglądane z perspektywy wcale nie wygląda tak marnie. Była też drukująca komiksy fantastyczne „Alfa". Z ich łamów ku międzynarodowym sukcesom odbili się rysownicy – Polch i Rosiński. Później „Relax" zgasł i dziś rozważając na łamach „Polityki" (nr 46 z 16 XI 1985 r.) kłopoty komiksu w naszym kraju, Zygmunt Kałużyński wyraża jak gdyby nigdy nic przypuszczenie, iż być może polskim rysownikom po prostu nie chce się rysować pracochłonnych plansz. Wolne żarty – to nie rysownicy doprowadzili do zamknięcia „Relaxu" i to oni, nie Kałużyński, czekają na druk po 3–4 lata.

Wspomina w swej książce KTT o procesie sądowym w USA z roku 1969, który ostatecznie doprowadził do uznania komiksu za dzieło sztuki, a artyście przyznano w związku z tym ulgi podatkowe. W Polsce taki proces by nie wystarczył. Nominalnie już teraz jest u nas komiks sztuką, rysownicy należą do związków twórczych, a urząd podatkowy traktuje ich z rewerencjami należnymi artystom. Chodzi o klimat, o splot kulturowych kompleksów, źle ulokowanych ambicji, urzędniczego niezdecydowania i poligraficznych kłopotów. Komiks od początku budził zastrzeżenia jako sztuka tandetna (czego nigdy nikt nie dowodził), obca nam bowiem przesadnie skoncentrowana na bohaterach indywidualnych za nic mających potrzeby kolektywu. Z tego wszystkiego brały się przyblokowania i wahnięcia. Przy czym niezdecydowani byli i są decydenci, kompleksy ma co najmniej połowa rodaków. Typowy jest u nas człowiek, niby wykształcony, z ambicjami, w którym komiks budzi irracjonalną agresję. Wobec najbardziej wyartykułowanych, najpiękniej wykonanych plansz ludzie tacy zdają się zaciskać zęby i pięści, a ich inteligencja i wyobraźnia ulega dobrowolnemu zamrożeniu i uparcie nie chce dać się zaprosić do tańca. Bywa więc tak, że dzieciaki chwytają w lot to, czego po godzinie tłumaczeń nie mogą zrozumieć docenci. Ma więc nasz komiks wrogów i zwolenników, ukazuje trochę zeszytów nierównej jakości, nie ma stałego periodyku, nie ma krytyki, nie ma żadnej próby dyskusji z tym medium. A przecież próba spotkania polskiego komiksu z polskim kinem fantastycznym na przykład mogłaby przynieść kulturowe ożywienie, a w perspektywie ciekawe owoce.

Nie bardzo wiem jak powinniśmy się z tego leczyć. Solenna, ładnie wydana praca KTT cieszy zawodowców i sympatyków, dając im do ręki oprócz systematycznej prezentacji również oręż zawołań w rodzaju – oniryczny charakter komiksu, nowa świadomość wzrokowa, przestrzeń w komiksie gęsta jak woda, nowa skala wyobraźni, oderwanie od potocznych reguł prawdopodobieństwa. Ciekawy, choć dyskusyjny jest pakiet przemyśleń śmiało rysujących związki komiksu z rozkwitem kina, telewizji i w ogóle masowych technik komunikowania i podróżowania. Jeśli to nawet prawda, to nie jedyna i nie całkowita. Losy komiksu w Polsce oto sytuacja, w której jedna część publiczności była od lat gotowa do spotkania mimo początkowego braku telewizji i zdruzgotanej po wojnie sieci kin, a druga pozostawała wroga bądź pełna rezerwy, mimo że cywilizacyjne warunki poprawiały się z każdym rokiem. Dlaczego to drugie stronnictwo zdołało temu pierwszemu w dużej mierze przeszkodzić i ograniczyć kulturowe menu – nie wiadomo. Wobec takiej sytuacji myśliciel staje w zdumieniu, przymierzanie do niej gotowych schematów intelektualnych wytworzonych w innej części świata zawodzi.

By zrozumieć tę sytuację i przezwyciężyć trzeba by wydać na świat co najmniej nowego McLuhana. Chyba że KTT rozszerzy zamiary i do drugiego wydania swej pracy dopisze ów brakujący rozdzialik.

Maciej Parowski

Krzysztof Teodor Toeplitz: *Sztuka komiksu – próba definicji nowego gatunku artystycznego.* Czytelnik, Warszawa 1985. Cena 160 zł.

Podobno najtrudniej napisać drugą książkę. Jeśli pierwsza była udana, podobała się czytelnikom, autor staje przed trudnym zadaniem, musi udowodnić, że nie stracił czasu, nie roztrwonił talentu na drobne, nie zawiódł oczekiwań.

W takiej sytuacji znalazł się Maciej Parowski, autor debiutanckiej powieści „Twarzą ku ziemi" wydanej w roku 1982. Publicysta obdarzony pewnym doświadczeniem literackim, eseista i krytyk filmowy (w roku 1978 ukazał się zbiór jego szkiców i felietonów „Bez dubbingu"), surowy komentator polskiej science fiction drukujący swoje recenzje na łamach pism literackich. Twórczość naszych fantastów przyjęło się oceniać w kategoriach kolejnych pokoleń, a sam Parowski zaproponował termin „czwarta generacja" na określenie autorów dwudziestoletnich debiutujących w początkach lat osiemdziesiątych. Darujmy sobie te oznaczenia. Wystarczy przypomnieć, że powieść „Twarzą ku ziemi" wpisała się w silny nurt prozy określonej umownym pojęciem „social-political fiction", że stanęła obok takich utworów jak „Limes inferior" (1982) Janusza Zajdla, „Wir pamięci" (1982) Edmunda Wnuka-Lipińskiego, „Senni zwycięzcy" (1982) Marka Oramusa i „Długa jesień" (1982) Wiktora Żwikiewicza. To właśnie wtedy, u progu nowego dziesięciolecia, rodzima SF zaczęła zmieniać swój charakter, żywo reagując na przemiany otaczającego świata, poszukując odpowiednich sposobów wyrażenia obaw i nastrojów społecznych (pisał o tym krakowski krytyk Leszek Bugajski w książce „Spotkania drugiego stopnia").

Tak było kilka lat temu. Z przyrostem nowych doświadczeń zmienił się charakter rzeczywistości, a pośrednio literackich sposobów opisu świata. Rozpoznanie w kategoriach utopii społecznej przestało satysfakcjonować. I właśnie za wspomnianą aktualność, krytyczną próbę analizy należałoby prozę Parowskiego rozliczyć.

Czy można? Przecież pomysł całego tomu (doprawdy dziwny ten tytuł, jakby asekuracyjny, uciekający w żart, zabawę) rodził się jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych. Opowiadania, które weszły w skład zbioru drukowała warszawska prasa na długo przed wydaniem „Twarzą ku ziemi". Co więcej – przy składaniu tekstów publikowanych na łamach czasopism trudno o odpowiednią kompozycję całości, która rozpada się na niespójne fragmenty połączone w sposób luźny, nieuporządkowany, chaotyczny. Jeśli taki zbiór będzie zawierał teksty koniunkturalne, dydaktyczne, czytelnik przyjmie go z obojętnością traktując jak okres w dorobku pisarza.

Ale może być inaczej, ciekawie opracowany tom opowiadań obroni się sam, jeśli będzie dotyczyć tematów wybiegających poza doraźne aluzje literackie.

Książka Macieja Parowskiego składa się z czterech części („Bunt robotów", „Deus ex machina", „Na horyzoncie rok 2000", „To zdarza się co dzień"). Opowiadania nie są uporządkowane chronologicznie. Dlaczego? Odpowiedź może być tylko jedna – autor przyjął inny wyróżnik całości, raczej problemowy, aniżeli biograficzny.

Spójrzmy na okładkę książki. Żywa, agresywna, chociaż nie całkiem w stylu SF: twarz kobiety na tle jednolitej ściany wieżowców szarych czworokątów przypominających punktami oświetlonych okien maszynowe wydruki komputerowe. W tle kolumna grecka urastająca do rangi symbolu powtórzonego na ostatniej stronie książki, strzeliste piękno antyku wyłaniające się z bezkształtnego mroku z wpisaną weń gilotyną. Oto cały nasz świat – pośpiesznie zapalanych okien w szarych, papierowych wieżowcach bez treści, wypluwających ludzi jak cyfry w maszynach do programowania. Świat zurbanizowany, zunifikowany, skomercjalizowany do granic absurdu, równający wszystko do obowiązujących wzorców i norm światopoglądowych, gilotynujący piękno, kulturę, indywidualność. Zagłuszający śmiechem, pustą rozrywką lęk, obawę przed nieokreśloną przyszłością. Rok 1789 to początek nowej epoki, intensywnych przemian ekonomicznych, śmiałych utopii przyszłościowych, prób przekształcania psychiki człowieka. Ale także początek narastającego chaosu światopoglądowego, terroru wojen, kolejnych kryzysów społecznych. Rok, w którym lekarz J. Guillotine wynalazł „przyrząd do ścinania głów za pomocą ostrza o ukośnym ostrzu opadającym pionowo na szyję skazańca". Postęp moralny i humanitarne uśmiercanie ludzi. Wysublimowanie sztuki i kultura masowa. Wnętrze pustej kolumny, w której lśni ostrze gilotyny.

Interesująco rozwiązana okładka Ryszarda Wojtyńskiego otwiera przesłanie książki, która w pewnej mierze nawiązuje do wcześniejszej powieści Parowskiego. Ukazuje rozdroże, na takim stanął autor po kilkuletniej wędrówce. Konwencja SF nie wystarcza do opisu nabrzmiałych konfliktów współczesności, chociaż fascynuje, niepokoi, przyciąga swoją atrakcyjnością. To prawda – bardziej zestarzały się teksty aluzyjne, pisane pod koniec lat siedemdziesiątych („Muchy", „Bunt robotów", „Krach w branży wieków"), prognoza straciła nieco na znaczeniu. Jest za to w zbiorze Parowskiego opis rozbitego, potrzaskanego świata wartości; wizja chaosu, pośpieszności, bylejakości życia i nie sądzę, aby była to wizja fałszywa.

Co więcej, etycznemu przesłaniu tomu odpowiada sposób jego sformułowania. Jakże często narracja „odkleja się" od warstwy znaczeniowej, nieintencjonalnie sztuczni, bohaterowie zostają obdarzeni potężną mocą sądzenia, wygłaszają tyrady godne filozofów; intryga skrywa pustkę, schematyzm rozwiązań, pęka pod naporem problemów społecznych, zagadek poznania.

Inaczej u Parowskiego. Rozedrgana proza tej książki drażni niekiedy oschłością, tendencją do skrótu, dziennikarskim żargonem, zaczepnym sformułowaniem, ale zmusza do refleksji, nie pozostawia obojętnym. Widać, że autor ma już za sobą zarówno fascynację Chandlerem, jak i nowelistyką iberoamerykańską, poznał formalne doświadczenia prozy europejskiej (jedno z ciekawszych opowiadań: „Deus ex machina" – zamieścił po raz pierwszy grudniowy numer „Pisma L-A", 1984). Nieobca jest Parowskiemu technika montażu filmowego; „malując obrazami" korzysta z doświadczeń sztuki komiksu. Tu wszystko jest ważne, ma swój sens. Nie dostrzega się tak irytującego niekiedy rozwlekłości, patosu.

No cóż, wypada spojrzeć na tom opowiadań Parowskiego, jak na dobrą współczesną literaturę, która łączy rozrywkę z przesłaniem moralnym. A może współczesna literatura skłania się czasem w stronę dobrej prozy SF? Prawie każde opowiadanie zostaje obdarzone „podwójnym wymiarem istnienia": mówi o tragizmie losów człowieka pozbawionego znamion indywidualizmu, wolności, prawa decydowania o swoim losie, ale dotyczy problemów bardziej ogólnych ukazując codzienny heroizm życia, nasze obawy, słabości, fascynacje podłości i szaleństwa. Przypomina o tym, że pośpiech, specjalizacja zawodowa pozbawia nas możliwości pełnego, intensywnego przeżywania świata. Że pod wpływem chwilowego powodzenia, ulotnego nastroju potrafimy zmieniać swój system wartościowania. Że nazbyt często stajemy się niewolnikami własnych uczuć i wyobrażeń. Że jesteśmy zdani na przypadkowość, bliżej nieokreślone przeznaczenie, chociaż staramy się kierować swoim działaniem nawet jeśli stoimy na straconej pozycji. Że w dążeniu do racjonalnego opisu rzeczywistości odrzucamy rzeczy niewyjaśnione, podczas gdy prawdziwe poznanie rodzi się zawsze z przeczucia tajemnicy. I wreszcie, że świat nie jest dla nas łaskawy, że dużo łatwiej jest burzyć, aniżeli budować.

Jak na niewielki, kilkuarkuszowy wybór opowiadań problemów tu wiele i chyba niebanalnie zarysowanych. Dobrze to świadczy o prozie Macieja Parowskiego, która woli stawiać pytania, aniżeli na nie odpowiadać i poprzez obserwację szczegółów zmierza w stronę uniwersalności, alegorii, uogólnienia.

Zygmunt D. Buszniewski

Maciej Parowski: *Sposób na kobiety.* KAW, Warszawa 1985. Cena 90 zł

Świat wirujących znaczeń

Sakriversum

W nocy z ósmego na dziewiątego marca roku 2018 wybuchy bomb neutronowych zlikwidowały wyższe formy życia na Ziemi. Budynki stoją nienaruszone, maszyny i komputery pracują dalej. Tylko w głębi jednej z olbrzymich gotyckich katedr istnieje jeszcze życie. W XIV wieku pod ołowianym dachem założyli swoje społeczeństwo, ukryci przed oczami świata, odrzuceni przez „do-

wielkość ich zmniejsza-
ek oddziaływania ołowiu za-
katedry. Ich wymiary i odpo-
pozwoliły na przeżycie
ieczeństw grożących światu
bohaterowie tworzyli swoją
ych zakamarkach olbrzymiej
niebezpieczeństw schodząc

rosyjan mali ludzie
la się stale na sku
wartego w dachu
wiednie pożywien
wszystkich niebezp
zewnątrz.nu. Nas
historię w tajemnic
budowli, w chwilach

do chronionych ołowiem katakumb. Teraz rozpoczynają ponowną wędrówkę do Sakriversum, swojego świata pod dachem katedry...

Miłośnicy science fiction w Republice Federalnej Niemiec nie mieli do tej pory zbyt wiele okazji do zetknięcia się z dobrą literaturą gatunku pisaną w języku niemieckim, nie licząc oczywiście efektów działalności niezmordowanego wydawcy Wolfganga Jeschkego. Rynek zachodnioniemiecki był zalewany tłumaczeniami przeważnie bezwartościowych wydawnictw amerykańskich. Przełom, i to w dość spektakularnej formie, nastąpił dopiero w roku 1984. Wtedy to właśnie pojawiła się powieść Thomasa R.P. Mielkego „Sakriversum". Już wcześniejsza twórczość tego pisarza była wielce obiecująca, w roku 1983 otrzymał za nią nagrodę Roberta Sheckleya. „Sakriversum" została uznana przez krytykę za najlepszą niemieckojęzyczną książkę SF. W roku 1984 otrzymała cenioną nagrodę Kurda Lasswitza, a co ważniejsze, recenzje z niej ukazały się na łamach tygodnika „Stern", mającego dość istotny wpływ na kształtowanie gustów czytelniczych.

Skąd ta euforia krytyki? Mielkemu udało się, nie wpadając w kiczowatość czy schematyzm, połączyć elementy fantasy z fikcją katastroficzną (czy aby na pewno fikcją?), podeprzeć je totalną krytyką dotychczasowych osiągnięć ludzkości, doprawić historią, filozofią i nie odebrać czytelnikowi nadziei, że wszystko na tym świecie może się jednak dobrze skończyć.

Prowadzona w dużym tempie narracja zarzuca czytelnika informacjami z historii zakonu templariuszy, wiedzy tajemnej mistrzów lóż wolnomularskich, sposobu funkcjonowania systemów komputerowych świata dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku. Łączą się one z ponurymi faktami z najnowszej i najbliższej historii człowieka. Mielke szuka ratunku w humanizmie, próbuje nas przekonać, iż wyjście z zawikłanej sytuacji nie znajduje się na zewnątrz, lecz wewnątrz człowieka. Nie jest to łatwe, ale przecież pierwiastki takich koncepcji znaleźć można w humanistycznej i filozoficznej twórczości wielu myślicieli. Należy je po prostu rozwiązać i wprowadzić w życie. Po prostu! Jakież to wydaje się łatwe. Droga do szczęśliwego końca jest tak samo długa i pełna cierpień jak droga bohaterów powieści do Sakriversum. Mimo wszystko, jest to chyba jedyna możliwość, gdyż jako alternatywę posiadamy perspektywę totalnej katastrofy.

Mielkemu, jak sądzę, udało się przy użyciu elementów pochodzących z amerykańskiej SF i fantasy stworzyć powieść całkowicie europejską. Bez epatowania czytelnika nieprawdopodobnymi wynalazkami i ponadludzkimi możliwościami bohaterów, powrócił do tkwiących głęboko w naszej kulturze wartości historycznych zmuszając odbiorcę do zastanowienia się nad swoim działaniem i wynikającą z niego przyszłością.

Czytelnicy „Fantastyki" z zainteresowaniem przyjmą zapewne wiadomość, że jeden z wydawców polskich wszczął kroki mające na celu uzyskanie praw autorskich „Sakriversum". Miejmy nadzieję, że jego starania zostaną uwieńczone powodzeniem i niebawem (za dwa do trzech lat) będziemy mogli przeczytać tę książkę po polsku.

Wawrzyniec Sawicki

Thomas R.P. Mielke: *Sakriversum.* Heyne Verlag, München 1984


Fot. Zbigniew Lesiała

Leszek Bugajski urodził się w Dąbrowie Górniczej w roku 1949. Ukończył Wyższą Szkołę Ekonomiczną w roku 1972. Studiował Filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od roku 1981 pracuje w redakcji „Życia Literackiego", obecnie na stanowisku kierownika działu krytyki. Wchodzi w skład kolegium redakcyjnego „Pisma Literacko-Artystycznego". Jest stałym współpracownikiem działu krytyki naszego miesięcznika.

Debiutował jako krytyk na łamach „Współczesności" w roku 1971. Swoje szkice i recenzje zamieszczał w książkach: „Zapiski z pokolenia Beatlesów" (1982), „Następni" (1982). W roku 1983 otrzymał nagrodę im. S. Piętaka, a w roku 1984 nagrodę „Życia Literackiego" za działalność krytyczną.

Artykuły i recenzje o tematyce SF drukował m.in. na łamach „Nurtu", „Twórczości", „Pisma L-A", „Miesięcznika Literackiego", „Literatury", „Nowego Wyrazu", „Fantastyki". W roku 1983 ukazały się jego „Spotkania drugiego stopnia" (za książkę tę otrzymał literacką nagrodę „Fantastyki" w dziedzinie krytyki za rok 1983).

Esej „Ścieżką obok traktu" to obszerne fragmenty referatu wygłoszonego na seminarium krytycznym w Staszowie w październiku 1984 roku. Autor omawia niektóre kierunki rozwoju polskiej fantastyki naukowej na tle współczesnego życia literackiego, co jest zabiegiem nader rzadkim w powojennej krytyce gatunku. Tekst referatu, tworzony z pewnym dystansem i swobodą interpretacyjną, dąży do świadomych uogólnień i zawiera tezy kontrowersyjne, zmuszające do przemyśleń i refleksji polemicznych. (red.)

Ścieżką obok traktu

Leszek Bugajski

Literatura polska w czterdziestoleciu przechodziła rozmaite koleje losu, różnych zmienności doznawała, szarpała się z narzucanymi jej obowiązkami, przełamywała konwencje, ale jakoś tam się zmieniała. Fantastyka naukowa, poddana szczególnym ograniczeniom, walcząca o to, by dostrzeżono w niej w ogóle literaturę, znajdowała się w sytuacji o wiele trudniejszej, ale – jak się zdaje – potrafiła tą wykorzystać z pożytkiem dla siebie. To, że jest literaturą, nie budzi już wątpliwości, choć zdarzają się jej i teraz przykre wpadki, ale komuż nie zdarza się od czasu do czasu zgrzeszyć. Tym niemniej przemiany, jakim ulegała na przestrzeni ostatnich 40 lat nie miały wyłącznie charakteru przemian czysto literackich, były to przemiany zachodzące w wykształceniu autorów, przemiany obszaru zainteresowań, przemiany świadomości, jako całość bliższe zmianom zachodzącym na gruncie pozaliterackim niż procesom literackim.

Polska SF rozwijała się początkowo w izolacji od zasadniczych przemian polskiej literatury. Na szczęście ta izolacja nie była szczelna. Polska i zagraniczna fantastyka naukowa była i w zasadzie jest dotąd, jako zjawisko artystyczne, zachowawcza. Zachowawcza przede wszystkim pod względem formalnym. Dla pisarzy uprawiających literaturę tego typu sam proces pisania nie był problemem, który warto byłoby rozważać, problemem ściśle artystycznym, nie budził żadnych refleksji. Wystarczyło, że wszystko dało się w miarę poprawnie i sprawnie opowiedzieć.

Fantastyka naukowa zajęta jest tylko i wyłącznie tym, co ma do opowiedzenia i tego, o ile się orientuję, oczekują jej odbiorcy. Każda „dziwność" stylistyczna, formalna, warsztatowa jest przyjmowana przez tzw. fanów z ogromną rezerwą czy więcz wrogością. Masowy czytelnik zaakceptował wprawdzie to, co porabia Lem, ale moim zdaniem autor „Solaris" nie wychodzi poza utarte konwencje, poza normę poprawności językowej, nawet jego słynną inwencja słowotwórcza nie jest na gruncie literatury rewolucyjna, nie wspominając już o tym, jak posługuje się formą recenzji czy wstępu. Lem, jako cała science fiction, jest lepszy w tym jak myśli, niż jak pisze. Jego znaczenie artystyczne ogranicza się do strefy fantastyki naukowej, gdzie faktycznie jest wielkie i niemożliwe do przeoczenia. Teraz również do prozy dyskursywnej.

Toteż nic dziwnego, że fantastyka naukowa posuwa się osobną ścieżką obok głównego traktu przemian literackich i tylko niekiedy zbliża się do głównej drogi, by ominąć jakąś przeszkodę, czy skorzystać z tego samego mostu nad przepaścią. W jednym jednak traktowana jest dokładnie tak, jak cała literatura: w tym, za co jest oceniana.

Otóż charakterystyczną cechą, a czasem i nieszczęściem polskiej literatury bywało, że nieustannie obarczano ją wielkimi zadaniami. Przez cały XIX wiek działała przecież jako niemal jedyny skarbiec polskości, w którym przechowywany był wzorzec języka polskiego. Na dodatek skarbiec ten narażony był ze strony zaborców na nieustanne próby włamania. Doprowadziło to do tego, że ustaliła się nazbyt sztywna i nienaruszalna norma językowa polszczyzny literackiej, w gruncie rzeczy nie zawsze przystająca już do języka dzisiej żywego i żyjącego, ale jednak broniona nadal przed odświeżaniem. To ciąży na naszej literaturze, również tej spoza znaku SF.

Jednocześnie wiek XIX narzucił literackiej świadomości Polaków przekonanie o tym, że literatura nie może istnieć sama dla siebie, ale że musi czemuś służyć, że musi nauczać, przemawiać, krzepić, walczyć i leczyć rany. Dlatego też literaturę oceniano u nas i ocenia się nadal nie jako dyscyplinę artystyczną, ale jako rodzaj działalności politycznej.

Fantastyka naukowa z racji swoich futurologicznych koligacji, powiązań z przypowieścią, mitem, jest szczególnie narażona na pokusę przybierania postaci literatury „dla innych", co upraszczając, można sprowadzić do moralizowania. Rozumiem doskonale, że to sprawia pisarzom i pseudopisarzom szczególnego rodzaju przyjemność, dowartościowuje ich, ale to już jest problem z dziedziny patologii literatury.

W okresie kilku powojennych lat nie było oczywiście klimatu ani nastroju, który mógłby zrodzić literaturę fantastyczno-naukową. To, czego doświadczył podczas wojny naród było zbyt nieprawdopodobne, zbyt okrutne, by jeszcze ktokolwiek miał sobie zawracać głowę fantazjowaniem. Literatura polska stanęła wobec zasadniczego problemu: jak tworzyć, jak trwać po Oświęcimiu?

Następuje okres nazwany przez Wykę „rozrachunkiem inteligenckim", okres poszukiwań miejsca w nowej rzeczywistości, odrzucania dawnych uprzedzeń. Incydenty w rodzaju „Schronu na Placu Zamkowym" nie mają żadnego znaczenia i to, że dzisiaj o nich pamiętamy jest sukcesem kilku dociekliwych historyków literatury. Ta akurat powieść ma znaczenie kompensacyjne, bo opisuje niemożliwie szczęśliwe czasy i kraj, cudownie odbudowaną i urządzoną Warszawę, której gruzy czytelnicy książki Ziemięckiego mieli wciąż przed sobą. Ale też powieść ta wskazała chyba kierunek następnym autorom zwracającym się ku fantastyce.

Po Zjeździe Szczecińskim, również fantastyka naukowa starała się być programowo optymistyczna. „Astronauci" Lema uznawani za historyczny początek science fiction w powojennej literaturze polskiej obok ostrzeżeń przed katastro-

lą atomową przynoszą obrazy harmonijnej współpracy międzynarodowej, zgodnie z ówczesnymi trendami. Z innymi powieściami i opowiadaniami też nie lepiej. Niby dlaczego miałaby się science fiction wyłamywać z szeregu entuzjastów, którzy sami postanowili się artystycznie katować w imię nadrzędnych dążeń?

Ogólnie rzecz biorąc, fantastyka naukowa współbrzmiała z pozostałą literaturą. Tam znajdował złakniony tego czytelnik tasiemcowe opisy czynności produkcyjnych, śledził „traktory zdobywające wiosnę", zapoznawał się z fragmentami instrukcji obsługi urządzeń technicznych i podręczników wegetacji zbóż, więc i w SF poznawał zasady budowy rakiet, oglądał rysunki prawie techniczne, wykresy, słuchał wykładów na temat nieważkości i jej likwidowania.

Wkrótce jednak nadeszła odwilż kulturalna, powiały cieplejsze wiatry i wszystko się zmieniło. Literatura polska zderzyła się z tym, co było modne w świecie, co czytali za granicą – pisarze usłyszeli coś bliższego o egzystencjalizmie, o technice behawioralnej, później również o innych ciekawostkach. Nastąpił gwałtowny wstrząs, po którym, paradoksalnie, nikt już nie wierzył w harmonijną współpracę ogólnoświatową. Dostrzeżono za to piekło w człowieku, ujawniono, że człowiek cierpi, bo żyje, że nie jest mu dobrze nawet wtedy, gdy ma szczęście żyć w społeczeństwie, które we wszystkim mu służy i dogadza. Są w człowieku obszary cierpień, których nic nie ukoi. I o tym zaczęła pisać literatura.

Wtedy to SF doszła do przełomowego dla swego rozwoju odkrycia, że człowiek zawsze pozostanie człowiekiem, nie uwolni się od swych obsesji, uprzedzeń, od tego, co go dręczy. Wydaje mi się, że prostym poświadczeniem tego jest „Eden" Lema, a zwłaszcza „Solaris", chyba nadal najwybitniejsza powieść tego pisarza. Okazało się również, że odkrycia naukowe i podnoszenie poziomu materialnego życia nie uczynią z ludzi aniołów, że pozostaną takimi, jakimi byli, tylko będą dysponować doskonalszymi narzędziami dla zaspokojenia swoich namiętności i tęsknot. Taki wniosek zdaje się wypływać z debiutanckiej powieści Adama Hollanka „Katastrofa na »Słońcu Antarktydy«" była przede wszystkim rozliczeniem się SF z okresem błędów i wypaczeń. Wtedy również i fantastyka się oczyszczała. Lem natomiast sprawił, że SF nawiązała jakoś tam do dominujących w polskiej literaturze mód i dowartościowała się znacznie, co zresztą autor „Solaris" będzie jej jeszcze niejednokrotnie zapewniał.

To Lem. Reszta czynnych już wtedy autorów albo jeszcze nie potrafiła się przystosować do nowej sytuacji duchowej – trwali w zdobytych okopach – albo też zeszła z pola walki i zamilkła, by z dystansu przyjrzeć się temu, co się dzieje na literackim froncie. Odkrycie ludzkiego wnętrza miało w fantastyce naukowej zaowocować na masową skalę dopiero dwadzieścia lat później.

O jakości i zakresie zmian, jakie zaszły w polskiej SF pod koniec lat pięćdziesiątych i na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych świadczy najlepiej przemiana, jakiej uległa twórczość Krzysztofa Borunia i różnice pomiędzy ostatnią częścią pisanej wspólnie z Andrzejem Trepką trylogii, powieścią „Kosmiczni bracia", a samodzielnym tomem „Antyświat i inne opowiadania". Ciekawostką jest, że obie książki zostały wydane w odstępie jednego roku – pierwsza kończy jeszcze jakby lata pięćdziesiąte, druga jest już – jak powieść Hollanka – ogniwem procesu samooczyszczania się polskiej fantastyki naukowej.

Lata sześćdziesiąte upłynęły w literaturze raczej spokojnie. Nastąpił powolny, ale skuteczny proces wyciszania euforii, jaka w rozmaitych dyscyplinach sztuki nastąpiła po odsłonięciu „żelaznej kurtyny", wszystko stopniowo powracało do szarej codziennej normalności, czego sztandarowym objawem był tzw. mały realizm. Jego twórcy przekonani byli, iż drążąc szczegół obyczajowy czy opisując drobiazgowo, z nosem przy ziemi, życie, dotrą do podstawowych problemów ludzkiej egzystencji, odsłonią to, co istotne. Jednocześnie lata sześćdziesiąte to rozkwit literatury nurtu chłopskiego, który dzisiaj, z pewnej już perspektywy, można chyba określić jako inteligenckie sentymenty. Ale jest to najwartościowszy prąd w powojennej literaturze. Chodziło o to, że zagubieni w miejskiej rzeczywistości inteligenci w pierwszym pokoleniu szukają swoich korzeni, wracają wyobraźnią i wspomnieniami do tego świata, który porzucili, a który teraz mitologizują i idealizują.

Dla fantastyki lata sześćdziesiąte były jednak okresem – że tak powiem – zyskiwania pewności siebie. Po eksplozji talentu Lema, który wydał około 1960 roku ponad 10 nowych i ważnych książek, inni autorzy mieli już niejako otwarte drzwi. Pojawiło się w tym okresie wiele nowych nazwisk, z których warto przede wszystkim wymienić Konrada Fiałkowskiego i Janusza A. Zajdla.

Charakterystycznym zjawiskiem dla okresu stagnacji literackiej i zamknięcia się literatury w sobie jest to, że do elementów fantastyki sięgnęli pisarze wcześniej nie mający z nią nic wspólnego, na co zapewne wywarła wpływ również widoczna wówczas emancypacja SF wśród innych gatunków polskiej literatury. Myślę o tak różnych pisarzach, jak Jerzy Broszkiewicz, Jan Dobraczyński, Jerzy Jesionowski, Hanna Malewska oraz kilku innych, w większości parających się literaturą dla dzieci i młodzieży. Ale też ta stagnacja literacka, będąca w jakimś stopniu efektem wyczerpania się odkrytych kilka lat wcześniej źródeł inspiracji, dosięgła i fantastyki naukowej.

Lem, który – jak się zdaje – najsumienniej śledził przemiany literatury w ogóle i który przez to transmitował na teren SF wszystkie stresy i załamania tej literatury, w drugiej połowie lat sześćdziesiątych wyraźnie przeżywa gorszy okres swej twórczości. Poza „Głosem Pana" nie publikuje żadnej oryginalnej powieści, kontynuuje jedynie wcześniejsze pomysły w zaczętych cyklach i na serio zwraca się ku eseistyce oraz teorii literatury. To, moim zdaniem, nie jest faktem bez znaczenia. Poza Fiałkowskim i Zajdlem, mimo ilościowego przyrostu fantastyki naukowej, widocznym głównie w czasopismach nieliterackich, a także wyraźnego poszerzenia zakresu poruszanych przez nią tematów – nie widać w tym okresie jakichś ważnych wystąpień. Czas fantastyki naukowej w polskiej literaturze jeszcze nie nadszedł.

Wszystko jest jakby w momencie poczęcia skażone minimalizmem zamiarów, porażone brakiem artystycznej odwagi, chociaż może – paradoksalnie – pomogło to polskiej SF ostatecznie uświadomić sobie, że w literaturze najważniejszy jest człowiek i jego sprawy i że jeśli fantastyka naukowa chce być pełnoprawną literaturą, musi trzymać się tego właśnie biednego, znękanego człowieka, a nie zielonego ludzika. Z tą wiedzą wkroczyła polska fantastyka naukowa w lata siedemdziesiąte. Myślę, że właśnie tu, w okolicach roku 1970 uświadomiła sobie ostatecznie, że pisanie i czytanie literatury wtedy tylko ma sens, jeżeli jest ta literatura współprzeżywaniem, współdziałaniem z człowiekiem, jeśli jest rozmową z czytelnikiem, a nie kazaniem, do czego mogłoby ją skłaniać wiele z tego, czego była świadkiem. Literatura nie może być monologiem – musi być rozmową o sprawach ważnych dla obu partnerów tego wielkiego dialogu.

Właściwie cała fantastyka lat siedemdziesiątych jest efektem wyciągania konsekwencji z tego, jest owocem współżycia pisarzy z czytelnikami, pisarzy ze światem itd. To faktycznie nie tylko współżycie, to już orgia, niebywałe ożywienie.



A ponieważ nie ma orgii bez ludzi, więc też i człowiek stał się centralnym ośrodkiem polskiej SF lat siedemdziesiątych. Euforia, podniecenie wyraźnie wpłynęły na wzrost ambicji pisarskich, na zaufanie do form beletrystycznych, wzrost aktywności pisarskiej, spowodowały sięganie do nowych tematów, nowych chwytów narracyjnych.

Tymczasem jednak literatura polska jako całość doznała czegoś innego – została zdominowana przez brak zaufania do czysto literackich form wypowiedzi. U progu lat siedemdziesiątych powstała przecież „Miazga", ekstremalny wyraz zbrzydzenia powieścią i jaskrawy donos o tym, że literatura jest bezsilna wobec rzeczywistości. „Miazga" została zresztą wydana na zakończenie lat siedemdziesiątych, ujmując je tym samym w symboliczną klamrę. Większość z tego, co urodziła w tym dziesięcioleciu literatura polska jest wyrazem przeświadczenia o nieadekwatności literatury do tego, co się dzieje wokół pisarzy, co chcieliby i powinni opisać. Pojawiają się najróżniejsze formy niebeletrystyczne – quasi-dzienniki, powieścio-eseje, antypowieści. Cała „rewolucja artystyczna w prozie polskiej", pod sztandarami której weszło do literatury nowe pokolenie pisarzy, jest wynikiem generalnego zwątpienia w możliwość uprawiania prawdziwej literatury w skostniałej polszczyźnie literackiej. Hasłem wywoławczym stał się „język żywy", „widzenie wewnętrzne" itd.

I znów – jak wcześniej – Lem się „znalazł". Początek lat siedemdziesiątych to przecież w jego twórczości „Doskonała próżnia" i „Wielkość urojona", kontynuowane później w różnej postaci. Lem nie miał już ochoty uprawiać regularnej prozy – ba, wracając do tych myśli w wywiadzie udzielonym Stanisławowi Beresiowi mówi: „*Przekonałem się, że produkując streszczenia i wstępy mogę w tym samym czasie zrobić znacznie więcej rzeczy, na których mi zależy jako na eksperymentach modelowych, niż gdybym poświęcił każdej z tych rzeczy pełny wysiłek...*" To już nie przemawia pisarz, tak nie mógłby powiedzieć rasowy prozaik. To są słowa myśliciela, filozofa, który zabawiał się tylko formami prozatorskimi dla zysku, z nudów i Bóg wie jakich innych powodów. Muszę przyznać, że o takie rozumienie, a raczej nierozumienie literatury podejrzewałem go od bardzo dawna, właściwie od czasu w pełni świadomej lektury. Ale wcześniej nie wypadało tego mówić ani tym bardziej pisać.

Lem więc towarzyszył przemianom literatury polskiej, której – jak staremu praktykowi w tej dziedzinie – do upicia się wystarczyło już byle co, kilka słów, notatka, esej, bez zagłębiania się w miąższ fabuły. Fantastyka naukowa natomiast z entuzjazmem małolata rzuciła się do barku i próbowała trunków z wszystkich butelek po kolei. Myślę, że literatura jako całość powinna jej tego zazdrościć. Fantastyka zaufała swojej wyobraźni, wiedzy o świecie, o mechanizmach rządzących światem i postanowiła to z radością opisać. Nie sposób wymienić tu wszystkich nazwisk pisarzy, interesujących książek, które wtedy powstawały – każdy zainteresowany wie sam najlepiej, jak było. A było i jest dobrze.



Na marginesie wypada zaznaczyć, że lata siedemdziesiąte były okresem przyśpieszonego nasycania naszego życia technologiami, nowoczesnością, elektroniką z kredytów i indywidualnego importu. Prowadziło to do widocznego oswojenia z nowoczesnością na poziomie powszechnym i tym samym dodawało bodźców do żywszego rozwoju fantastyki.

Gdy spojrzeć z dzisiejszej perspektywy na literaturę fantastyczno-naukową tego okresu staje się niezwykle wyraźne to, że obok najróżniejszych głębinowych wypraw w świat ludzkiej psychiki i naskórkowych wycieczek, jednak najważniejszym nurtem stała się fantastyka analizująca modele społeczne. Jej tematem stało się państwo absolutne i człowiek w jego trybach. To bezsprzecznie oryginalny dorobek SF na tle polskiej literatury. Mistrzem tej odmiany fantastyki naukowej stał się Zajdel, a najzdolniejszymi jego pomocnikami Marek Oramus i Maciej Parowski oraz mało aktywny – nie wiem, z jakich powodów – Edmund Wnuk-Lipiński. To był trend dominujący i właściwie nadal kultywowany, obok którego istniała i istnieje twórczość innych pisarzy, takich jak Boruń, Fiałkowski, Hollanek, oczywiście też Snerg, a także młodzi, którym już poświęciłem nieco uwagi w innym miejscu i czasie; pojawiły się też nieśmiałe i zakrzyczane próby eksperymentu literackiego (Mieczysław Kurpisz, Wiktor Żwikiewicz). Sto kwiatów.

Jeden z tych kwiatów, hodowany na glebie socjologii, rozwinął się najbujniej. Dlaczego? Myślę, że dlatego, iż był komplementarny wobec tego, co znajdowało się w literaturze niefantastycznej. Ludzi interesowały mechanizmy społeczne również ich ciemne strony. SF zaspokajała skłonności społeczeństwa, zwłaszcza młodszej jego części. Miała do odegrania rolę kompensacyjną, zajmowała się badaniem sytuacji społecznej człowieka na tych obszarach, na które nie wchodziła normalna literatura. Myślę, że to będzie zasługą tego nurtu polskiej fantastyki naukowej. Ale na tym koniec.

Obym się mylił, ale z dzisiejszego punktu widzenia wygląda na to, że ten nurt się kończy, jeśli już się nie skończył. Wydaje mi się, że po dramatycznych zawirowaniach okresu początków lat osiemdziesiątych, po tym wszystkim, co wtedy można było przeczytać, co w zasadzie jeszcze niekiedy możemy czytać i teraz, po tym, co wtedy można było zobaczyć, niemożliwa jest literatura aluzyjna. Co więc za przestrzenie otwierają się przed polską fantastyką naukową? Co ją czeka?

Myślę, że w sytuacji, gdy wydarzenia społeczne sprawiły, iż nie opłaca się z żadnych względów aluzyjność literacka, a więc w sytuacji, gdy – powtarzam, obym się mylił, bo właśnie ten nurt sprawiał mi najwięcej radości w SF – śmiercią naturalną umierać będzie socjologizująca SF, na plan pierwszy wysunie się literatura typu fantasy. Fantasy jest naturalną skłonnością literatury fantastyczno-naukowej, ale dotąd nie wypadało jej u nas uprawiać, bo literatura – jak to już wspomniałem – musiała wypełniać rozmaite posługi społeczne. Fantasy jest literaturą czystą, pisaną dla samej radości pisania i wymyślania przeróżnych cudowności. Numery 8 i 9 miesięcznika „Fantastyka" z 1984 roku są zapowiedzią tego, co dzieje się już pod skórą polskiej fantastyki naukowej, słyszy się, że pisarze „socjologizujący" spoglądają w stronę fantasy, że coraz trudniej im pisać, że im się nie chce pisać. Fantasy jest typem literatury na takie stany, na naturalną skłonność do fabularyzowania.

Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ...

... fantastyka „socjologizująca" ... poziomie wtajemniczenia w ...ego świata i w nieco zmienio...

Leszek Bugajski

POSIEDZENIE PISARZY PODCZAS EUROCONU 1985. NA PIERWSZYM PLANIE PIERRE BARBET

Pierre Barbet: Myślę, że historia jednak się powtarza

EUROCON'85

Adam Hollanek: – *Pierre, jest Pan autorem sześćdziesięciu czterech powieści. Niektórzy nazywają Pana nowym Juliuszem Verne'em. Skąd się wzięło zainteresowanie fantastyką, czy należy Pan do twórców, którzy chcą i potrafią odpowiedzieć na pytanie: „po co Pan pisze?"*

Pierre Barbet: – Moją pasją, moje powołanie, można by tak chyba nazwać zainteresowania tematyką fantastyczną, zawdzięczam nauce i historii. Przerażały mnie i zarazem fascynowały. Na przykład sprawa powielania żywych istot metodą klonowania i w ogóle zagadnienia sterowania dzie...

...dzicznością, czyż można przejść do porządku dziennego nad realną wizją straszliwego, uzyskiwanego sposobami manipulacji dziedzicznej – raju? A historia? Mnie się wydaje, że jej nieuchronne zjawiska się powtarzają. Więc moja twórczość rozciąga się między takimi książkami jak „Telectone" i „Napoleon z Erydanu". Manipulacje naukowe, manipulacje historyczne. Co może być, co by było, gdyby, co się stanie kiedyś.

– *Gdzie tutaj miejsce na fantasy, która Pan także uprawia?*

– ...rawda, piszę też fantasy, lubię korzy... motywów legend i baśni jak na przy... w mojej „Melusine". Przez ostatnich ... ten typ fantastyki był i jeszcze jest ...o w modzie.

– *... do niego należy przyszłość?*

– ..., co to – to nie. U nas fala zaintere...nia lekturą utworów fantasy wyraźnie słabnie, opada. Proszę sobie wyobrazić, że Conan, którego na pewno znają i polscy miłośnicy fantastyki, przeszedł u nas bez większych sukcesów. Nie do fantasy należy przyszłość fantazjowania, lecz właśnie do tradycyjnej, naukowej hard SF i do his...

– ...

...stać ... ...kład ... 10 la... ...bardz...

– ...

– ...

...sowa... ...ma. Chyba że się ... odrodzi na innym ... strukturę opisywan... ...nym kształcie. Oby...

loryczne). Ludzi zawsze interesowała i będzie interesować historia.

– Wspomniał Pan, Pierre, o tłumaczeniach Pańskich książek. Czy było ich dużo, na jakie języki najczęściej tłumaczono Pana prozę?

wało. Przede wszystkim kontakty wizualne odgrywają w niej zasadniczą rolę. Film wzbogaca, czy raczej wzbogaci możliwości oddziaływania literatury. Że to nie są puste słowa, wystarczy wspomnieć o próbach przygotowywania w środkach masowego przekazu widowisk,

EUROCON'85

– Dużo, naprawdę dużo tego było. W USA, Brazylii, Portugalii, Szwajcarii, Włoszech, Urugwaju, a ostatnio także zaczęło się i u was. W waszym piśmie

– Mówi się, że jest Pan człowiekiem sukcesu. Czemu, czy komu, Pan zawdzięcza swe powodzenie,

przekazu widowisk, do których niejako przystępować, włączać się mogą widzowie, wybierając jeden z wielu możliwych wariantów rozwiązania tego, co się dzieje sztuki. To znaczy autor przewiduje wiele rozwiązań akcji swego utworu, czytelnik zaś ma szansę wyboru oraz uczestniczenia w tym, co sobie wybrał. Już są takie próby programów radiowych, myśli się i o telewizji.

Rozmowa z Claudem Durandem – szefem organizacyjnym Euroconu 1986

Urządzamy dość często różne spotkania i imprezy, także międzynarodowe. Dowiedzmy się jak to trudne zadanie wypełniają

tylu ludzi czytuje Pana w tylu różnych językach?

– Czyli przyszłość percepcji dzieła fantastycznego, literackiego

Jacek Rodek: *Dlaczego zdecydował się Pan właśnie na małe*

literackiego zapo... *ie fantastycznie jak*

co proponować potrafi... ka nie zawsze zapowia-

Fayence, aby było ono miejscem tegorocznego spotkania?

Claud Durand: To prawda, dawniej takie imprezy odbywały się w dużych miastach, nawet w Paryżu. Uważałem, że dla odmiany należałoby spróbować jak wyjdzie takie spotkanie w małym miasteczku. Zwróciłem

– Przecież już to wyraziłem, tę moją pasję do nauki i jej sposobów kształtowania obrazów świata w różnych, lecz powtarzających się i nieuchronnych przez to dla przeszłości, teraźniejszości i przyszłości wariantach historycznych. Historycznych mieczach Damoklesa. Ta zależność ludzi od historii i nauki czyni ich otwartymi na tematykę, którą im prezentuję, na problemy, jakie pozwalam sobie rozstrząsać. Chyba dlatego mnie ludzie czytają.

– A kogo Pan sam czytuje, jacy są Pańscy ulubieni pisarze?

– Hm. Lubię rzeczy Asimova, a także van Vogta.

– Zna Pan polskich pisarzy?

– Wymieniłbym na przykład Fiałkowskiego.

– Nie czytuje Pan książek Lema?

– Znam je, lecz za nimi nie przepadam. Doceniam je, tak, doceniam, pojmuję ich wartość, ale wolno mi za nimi nie przepadać. Zresztą jest rzeczą szczególną mniejsza popularność Stanisława Lema u nas, we Francji, niż w innych krajach, niż w USA na przykład, czy szczególnie w Niemczech, a także w Związku Radzieckim.

– A z radzieckich pisarzy?

– Lubię braci Strugackich.

– Literatura SF, jak niegdyś potężny prąd wielkiego romantyzmu, ma ambicje opanowywania ludzi, wpływania na ich poglądy i czyny. Czy w ogóle w naszych czasach można mówić o takiej roli literatury? Szczególnie literatury SF, w której wiele, często zbyt wiele, pustej rozrywki, i to się podoba?

– Nie jest tak jak pan przypuszcza, że współczesność nie poddaje się działaniom sztuki, że sztuka dziś nie ingeruje w ludzkie myśli i uczynki.

– Kiedy ja myślę, że ingeruje...

– To się rozumiemy, panie Adamie. Istnieje tak jak dawniej – i to się nie zmieniło – wielki wpływ literatury, w tym i literatury naukowo-fantastycznej, na współczesnego człowieka. Nie może być inaczej. Porywał kiedyś masy Wiktor Hugo, pasjonował miliony wytyczając drogi przyszłości Juliusz Verne, a dzisiaj jest to też możliwe i dzisiaj również się to dzieje. Przy tym fantastyka jest konfrontacją dzisiejszości z jutrem. I to jest jej niezwykle ważna rola. Młodzież traktuje ją bardzo serio, jestem tego pewien.

– Mówi Pan tylko o literaturze, a film?

– Mówię o literaturze, która przecież tworzy i dla filmu, i dla programów wideo, i dla telewizji. Tego się nie da rozdzielić. Być może, istotnie, współczesna kultura staje się kulturą innego typu, niż to dawniej by-

– ...lecz także i działaczem ruchu miłośników fantastyki, ruchu pisarzy tego gatunku, o czym świadczy między innymi to nasze kilkudniowe spotkanie w malowniczym i bardzo, bardzo gościnnym Fayence, typowym prowansalskim miasteczku. Lubi Pan takie spotkania? Jakie mają one znaczenie, jaki jest, Pierre, Pana zdaniem, ich główny sens, cel?

– Science fiction to specjalna dziedzina twórczości i działań. Jej miłośnicy są wszędzie przyjaciółmi, a przyjaciele lubią się przecież spotykać i wspólnie zastanawiać nad rzeczami wielkimi i małymi, a z jednych i drugich składa się nasze życie. Fantastyka nie lubi granic między ludźmi. To jest jakaś jej mocna wewnętrzna prawda. Wiele pięknych imprez organizuje się od dawna w Europie. W Polsce również. Brałem udział w spotkaniu, urządzonym około dziesięciu lat temu, w Poznaniu, przez pana Chruszczewskiego, pisarza, który także uważał, że trzeba i warto się spotykać.

– Wybrałby się Pan znowu do Polski?

– Oczywiście. I myślę, że uda mi się znaleźć na to trochę czasu w roku 1986, chociaż będzie bogaty w imprezy. Już teraz, kiedy tutaj w Fayence o nim rozmawiamy, tak się zapowiada. Będzie więc spotkanie pisarzy z całego świata w ZSRR, będzie Eurocon w Jugosławii i wiele, wiele innych imprez. Myślę, że między tymi wielkimi imprezami uda mi się odwiedzić wasz kraj.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Adam Hollanek

Pierre BARBET

Urodził się w 1925 r. Francuski pisarz, z zawodu farmaceuta, współzałożyciel Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction (od 1978 r. pełni w nim funkcję koordynatora). Autor ponad 60 książek wydawanych w wielu krajach. Znany jest także Czytelnikom naszego pisma: w „Fantastyce" nr 2/82 zamieściliśmy wywiad przeprowadzony z pisarzem w sierpniu 1982 r. w Mönchengladbach (RFN) podczas Euroconu, a w numerach 9 i 10 z ubiegłego roku – jego powieść „Babel 3805".

Rozmowa, którą drukujemy obecnie została przeprowadzona w listopadzie 1985 r. w Fayence (Francja) podczas kolejnego Kongresu ESSF.

(KS)

Pan nie tylko pisa-

...ycją do mera miasta Fayen... ...yczliwie przyjęły władze miasta ...zainteresowanie takim pomy... ...zono mnie na głównego or...

...to pierwsza tego typu ...rej był Pan organizato... ...miał Pan już uprzednio ...adczenia?

...o po raz pierwszy. Z zawodu ...orem wnętrz.

...eliście trudności przygo... ...potkanie?

...e trudności jak zwykle są ...duszami. Powołaliśmy biuro ...otworzyliśmy konto i zaciąg... ...y. Pewną część pieniędzy o... ...władz Euroconu. Przygoto... ...o materiałów, takich jak ...ty, wydawnictwa, których ...ało przynieść pieniądze na ...ów imprezy. Pojawiły się jed... Miasteczko Fayence liczy o... ...eszkańców, dlatego trudniej ...ć nasze materiały. Liczymy ...e po konferencji rozejdą się ...ch miastach.

...koszt całej imprezy i ilu ...rzy niej ludzi?

...mosły około 65 tys. franków, ...amy pokrycie na 45 tys. W ...izacyjnych brało udział 70 ...n tylko ja jeden jako główny ...bierałem pensję, gdyż na ten ...całkowicie zrezygnować z ...ej pracy.

...cent zaproszonych gości ...Fayence?

...%. Tak się złożyło, że w tym ...odbywał się krajowy zjazd ...h i dlatego na przykład duża ...onych Włochów nie przyby...

...mpreza jest odbierana ...kańców miasteczka?

...wiedzieć, że od samego po... ...ali nam oni dużą życzliwość i ...e. Pomagali i pomagają nam ...ogą. Zwrócono się do nas z ...organizowania corocznych ...ycznych tego typu właśnie w ...walyby się one mniej więcej ...okresie. Propozycja została ...w przyszłym roku pierwsze ...e będzie miało za temat para...

...e za rozmowę.

fantastycznego, ... wiada się równ... wszystko...

– Jak wszystko ... nauka. Chociaż nau... da rzeczy dobre.

– Pierre, jest ...

...się z tą propoz... ...ce. Zostałem ż... ...sta wykazały z... ...stem i wyznac... ...ganizatora.

– Czy był... impreza, kt... rem, czy też ... jakieś dośw...

– Robiłem ... jestem dekora...

– Jakie mi... towując to s...

– Największ... związane z fun... organizacyjne ... nęliśmy kredy... trzymaliśmy o... waliśmy spo... znaczki, plak... sprzedanie m... pokrycie koszt... nak trudności ... koło 10 tys. m... jest tu sprzed... jednak na to, ... one w większy...

– Jaki był ... pracowało p...

– Koszty wy... do tej pory m... pracach orga... osób, z który... organizator po... czas musiałem ... mojej właściw...

– Jaki pro... przybył do ...

– Ponad 60... samym czasie ... ZF we Włosze... grupa zaprosz... ła.

– Jak ta ... przez miesz...

– Muszę po... czątku okazyw... zainteresowan... cały czas jak m... propozycją ... spotkań temat... Fayence. Odb... w tym samym ... przyjęta i już ... takie spotkani... psychologię.

– Dziękuj...

1969 (dokończenie)

661. LEM Stanisław *Obłok Magellana* Wyd VI Kraków Wyd Literackie 8° ss. 400, nlb 4. 20 000 egz

662. LEM Stanisław *Opowiadania* Kraków Wyd Literackie. 8° ss. 288, nlb 4 15 000 egz. - Zawiera *Czy pan istnieje, Mr Johns - Szczur w labiryncie. - Inwazja - Przyjaciel. - Inwazja z Aldebarana - Ciemność i pleśń - Młot - Formuła Lymphatera - Pamiętnik - Prawda - Dwóch młodych ludzi*.

POLSKIE opowieści z dreszczykiem - zob Weird

SADZIEWICZ M.: *Skrzydła* - zob AF

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

663. BROSZKIEWICZ Jerzy *Ci z dziesiątego tysiąca* Wyd IV. Warszawa Nasza Księgarnia 16° ss. 218, nlb 2 92 000 egz. - Klub Siedmiu Przygód

664. MINKOWSKI Aleksander. *Nasturcja i Lew* Warszawa Nasza Księgarnia. 16° ss 232, nlb 4. 30 000 egz. Klub Siedmiu Przygód

Utopia (U):

665. ALEXANDRE Philippe: *Śmierć prezydenta* Tłum. [z franc.] Wanda Gall Posłowie Jan Gerhard. Warszawa. Iskry. 16° ss. 285. nlb. 3. 10 000 egz.

HANKE R *Poszukuję...* - zob. AF.

JESIONOWSKI J.. *Z drugiej...* - zob ASF

666. *WOKÓŁ „Doświadczyńskiego" Antologia romansu i powieści* Aut.: Johan d'Arras [i in.], Red i oprac. Jerzy Jackl Warszawa Państw Inst Wyd. 8° ss. 581, nlb 3, tabl. 16, portr 3 000 egz - Pierwsze fizy opow. anonimowe. - U/AF

667. ZIELIŃSKI Stanisław *Sny pod Fudżijamą* Warszawa Państw. Inst Wyd. 16° ss 100. nlb 4 10 000 egz - Jednorożec.

Fantazja dla dorosłych (AF):

668. ARAGON Louis *Wyrok śmierci.* Tłum. [z franc.] Krystyna Dolatowska. Warszawa. Państw Inst. Wyd 16° ss 454, nlb 6 20 000 egz

669. [BUŁGAKOV Michaił]: *Mistrz i Małgorzata* Tłum [z ros] Irena Lewandowska i Witold Dąbrowski. Warszawa Czytelnik 16° ss 603, nlb 5 10 000 egz - Nike Na k. tyt aut: Michał Bułhakow

670. CAROLL Lewis *Alicja w krainie czarów* Tłum. [z ang] Antoni Marianowicz Wyd. III [w metryczce mylnie II] Warszawa Nasza Księgarnia 16° ss 201, nlb 3. 30 000 egz - AF/ACSF

671. CORTÁZAR Julio. *Dla wszystkich ten sam ogień.* Tłum. [z hiszp.] Zofia Chądzyńska. Warszawa Czytelnik 16° ss 223, nlb. 4 20 000 egz - Nike

672. [GOGOL Nikołaj] *Opowiadania.* Tłum [z ros] Jerzy Brzęczkowski, Julian Tuwim i Jerzy Wyszomirski Wstęp Maria Dąbrowska Wyd II Warszawa Czytelnik. 16° ss. 252. nlb 2 20 000 egz - Niektóre opow fantast

673. HANKE Rajmund *Poszukuję mego przyjaciela* Warszawa Iskry 16° ss 111, nlb 1 3 500 egz. - Niektóre opow fantast

674. KONWICKI Tadeusz *Zwierzoczłekoupiór* Warszawa Czytelnik 16° ss 276, nlb 3 15 000 egz.

675. KRYSKA Sławomir *Sny ostatnie* Warszawa Iskry 16° ss 159, nlb 3 3 200 egz.

676. LEM Stanisław *Śledztwo* Wyd II. Kraków Wyd. Literackie 16° ss 213, nlb 2 35 000 egz

677. NOWAK Tadeusz *Wybór opowiadań* Warszawa Lud Spółdz. Wyd 16° ss 205, nlb 3 6 000 egz - Większość opow fantast

POLSKIE opowieści z dreszczykiem - zob Weird

678. SADZIEWICZ Marek *Skrzydła i buńczuki* Warszawa Wyd. MON 16° ss. 310, nlb 2 10 000 egz. - Elementy fanast. - AF/ASF

679. SAINT-EXUPÉRY Antoine de *Mały Książę* Tłum [z franc] Jan Szwykowski Wyd V [w metryczce mylnie IV] Warszawa Pax 8° ss 81, nlb. 3 20 000 egz - AF/CJSF

680. SÁNTA Ferenc *Zdrajca* Tłum [z węg] Camilla Mondral Warszawa Państ. Inst Wyd 16° ss 139, nlb. 1 7 000 egz

681. SŁOMKA Bronisław *Karuzela* Powieść Poznań Wyd Poznańskie 16° ss. 159, nlb 1. 6 000 egz. - Elementy fantast.

682. SZNAPER Adam Mieczysław: *Opowieści o Fantałuzji Bajka dla dorosłych dzieci* Kraków Wyd Literackie. 16° ss 213, nlb 2, tabl 6. 20 000 egz - AF/CJSF

WOKÓŁ... - zob Utopia

Horror (W):

683. MÉRIMÉE Prosper *Lokis Rękopis profesora Wittenbacha* Tłum [z franc] Leopold Staff Wstęp Andrzej Biernacki Warszawa Państw Inst. Wyd 16° ss. 90, nlb. 2. 10 000 egz. - Jednorożec.

684. *POLSKIE opowieści z dreszczykiem* Aut Jan Barszczewski [i in.] Red i posłowie K[rzysztof] T[eodor] Toeplitz Warszawa Iskry 16° ss 258. nlb. 4. 10 000 egz - Weird/AF/ASF

685. *PO PROSTU miłość* Opowiadania pisarzy polskich. Aut Włodzimierz Perzyński [i in.] Red i oprac. Danuta Łukawska i Barbara Olszańska Posłowie Henryk Bereza. Warszawa. Iskry. 8° ss. 551, nlb 1. 30 000 egz. - 5 cykli opow., w tym fantast.: *Miłość i duchy.* (4 opow.) s. 169-215.

Krytyka, biografia, film (R):

686. HANDKE Ryszard *Polska proza fantastyczno-naukowa Problemy poetyki.* Wrocław. Ossolineum. 8° ss. 178, nlb 1 Summary 630 egz - Z dziejów form artystycznych w literaturze polskiej t 14

678. PISZCZKOWSKI Mieczysław: *Ignacy Krasicki, monografia literacka.* Kraków Wyd. Literackie. 8° ss. 544. nlb. 4. 2 500 egz. - M in. o „Doświadczyńskim" s 127-188 i „Historii" s. 270-304

688. SÉMOULÉ Jean. *Julien Green, czyli obsesja zła* Tłum. [z franc.] Lesław Eustachiewicz. Warszawa. Pax. 16° ss. 143, nlb 1. 1500 egz.

689. STERN Anatol. *Bruno Jasieński* Warszawa Wiedza Powszechna 16° ss 227 nlb 3 portr. 5 000 egz. - Profile

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

„Le Courrier" to miesięcznik UNESCO zajmujący się szeroko pojętą problematyką naukową i informacyjną, który - zgodnie z założeniami tej organizacji - służy zacieśnianiu współpracy między narodami w dziedzinie oświaty, nauki i kultury. Ukazuje się 38 rok, obecnie w 31 językach, ponadto jest wydawany jako kwartalnik w 4 językach, a także pismem Braille'a. Artykuł „SF, nauka, nauczanie" został zamieszczony w „Le Courrier" w 1985 roku. Autor, Amit Goswami jest profesorem uniwersytetu w Oregonie (USA), autorem wielu prac naukowych z dziedziny fizyki nuklearnej. W roku 1983 ukazała się jego książka pt. „The Cosmic Dancers: Exploring the Physics of Science-Fiction". (A.B.)

Czym właściwie jest science fiction? W języku potocznym termin ten jest używany dla określania wszystkich publikacji z dziedziny fantastyki Przeto dla uściślenia pozwolę sobie przytoczyć definicję, która - jak się zdaje - może być szczególnie przydatna Otóż science fiction to ten rodzaj fikcji, który zespala w jedną całość elementy naukowe i społeczne W przeciwieństwie jednak do statycznego raczej charakteru koncepcji naukowych, science fiction cechuje elastyczność i łatwość przystosowania się, łatwo poddaje się ona krytyce i wszelkim modyfikacjom. Zadaniem science fiction jest przyspieszenie zmian, które mogą spowodować nowe widzenie świata, bliższe rzeczywistości i naturze rzeczy.

W tym świetle jej rolę można porównać do roli poszczególnych figur tanecznych w balecie naszej wyobraźni, oscylującej między możliwościami, jakie otwiera wiedza, i rzeczywistością. Wybitne utwory science fiction działają niby ostroga, skłaniając naukę do stałego pogłębiania znajomości otaczającego świata, zmuszają, by nie spoczywała na laurach, przypominają, że jej zdobycze i obecne widzenie świata to dorobek przeszłości, ze nieustannie trzeba szukać nowych dróg i badać teraźniejszość pod kątem usławicznego stawania się

Tak więc na przykład współczesnym twórcom towarzyszy wizja przyszłości, w której podróże międzygwiezdne staną się czymś zwykłym i powszednim, wyobrażenie takiego świata, w którym powszechna będzie wiedza o istnieniu życia w innych galaktykach, obraz życia, w którym dostępna będzie komunikacja telepatyczna. Czy takie wyobrażenia są wyzwaniem rzuconym naszej dzisiejszej wiedzy, czy może tworem czystej fantazji? No cóż, romantyczny wątek utworów science fiction niewątpliwie zawiera elementy czystej gry wyobraźni, ale - z drugiej strony - wysuwa pewne bardzo poważne problemy. Spróbujmy dać tego przykłady

- Bohater powieści Ursuli Le Guin „The Dispossessed" jest uczonym, który prowadzi badania w dziedzinie komunikacji międzyplanetarnej - między planetą własną i najbliższą jej sąsiadką Rozwiązanie problemu umożliwi porozumienie się nie tylko z planetą najmniej odległą, ale również z najdalej położonymi gwiazdami galaktyki.
- Główny bohater powieści Iana Watsona „Miracle Visitors" bada relacje świadków dotyczące UFO. Jego pogłębione badania ludzkiej natury przynoszą zaskakującą próbę wyjaśnienia tych zjawisk
- Robert Silverberg w swojej powieści „To Open the Sky" ukazuje proroków nowej religii

siątych dwaj amerykańscy fizycy, Russel Targ i Harold Puthoff przeprowadzili serię ściśle naukowych doświadczeń z zakresu telepatii. Polegały one m.in. na tym, że osoba pozostająca w laboratorium rysowała nieznany jej pejzaż, który „oglą-

gmentów z pięćdziesięciu powieści fantastyczno-naukowych. Metoda ta wydatnie pomogła mi w przybliżeniu im problematyki, która w innym ujęciu była mało zrozumiała.

Ale jest jeszcze inna racja wprowadzenia science fiction do procesu nauczania: stale rosnąca rola futurologii w naszych rozważaniach o życiu społeczeństw. Jestem osobiście zdania, że futurologia stanowi jeden ze składników science fiction. Czyż jeden z twórców tego gatunku, Herbert George Wells, nie proponował już w roku 1934 włączenia ekologii do programu studiów uniwersyteckich? Inni autorzy science fiction podejmowali takie problemy jutra, jak przeludnienie naszej planety, sztuczna inteligencja czy wojny nuklearne, wykazując przy tym taką zdolność przewidywania, taką precyzję i drobiazgowość, że budzili zainteresowanie zarówno futurologów, jak wychowawców. Atrakcyjność formy ich utwo-

nemu otwarciu przed człowiekiem niedostępnych dotychczas dla niego przestrzeni oraz stworzeniu nowych możliwości dla jego umysłu.

- W „Spotkaniu z Ramą" Arthura C. Clarke'a fascynujący opis kosmicznej kolonii istot pozaziemskich ma skłonić czytelnika do zadania sobie pytania: czy ludzkość pozwoli się zdystansować na tym polu?
- Fred Hoyle w „Czarnej chmurze" przedstawia w taki sposób życie istot pozaziemskich, że nie tylko skłania do zastanowienia się nad możliwościami życia we Wszechświecie, lecz także, co ważniejsze, zmusza do spojrzenia z tej nowej perspektywy na pochodzenia życia i sens naszego bytu.
- W powieści „Way Station" Cliford Simak ukazuje zagrożenie, jakie stwarza lęk, który tkwi w człowieku. Hekatombie zapobiegnie jedynie przeobrażenie ludzkości, które może się dokonać dzięki pewnemu talizmanowi i interwencji pozaziemskiej. Autor pozwala się nam domyślać, że człowiek, mimo iż sam jest nosicielem swojej zagłady, może jej jednak zapobiec i od niego w końcu zależy metamorfoza ludzkości.

Jak widać, podejmowana w tych utworach problematyka, aczkolwiek bardzo zróżnicowana, odnosi się do dwóch podstawowych zakresów tematycznych: badania odległych zakątków Wszechświata i zgłębiania najskrytszych tajemnic ludzkiej psychiki i umysłu. Świat nauki podjął

zdecydowanych na zdobycie za pośrednictwem nauki priorytetów, które umożliwią im nie tylko stawienie czoła zagrożeniom, jakie stwarza teraźniejszość, lecz również obronę przed nim przyszłości. Będzie to możliwe dzięki równocześ... odległym miejscu. Żadna z tych osób nie uprzedzona, w jakim wybranym przez kom... miejscu będzie przeprowadzony eksperym... Podobne zakończone powodzeniem doś... czenia przeprowadzono – niezależnie od si... w dziesiątkach różnych pracowni.

Czy człowiek rzeczywiście jest obdarzon... potencjalną zdolnością do nawiązywania ko... tu telepatycznego, którą mu przypisują a... science fiction? Niektórzy uczeni próbują... nie wyjaśnić te zagadnienia za pomocą mec... ki kwantowej, mając nadzieję, że może w... ona będzie w stanie naświetlić ów skompli...

nauka, ...czanie

SF, nau...

Amit Goswami

row była magnesem przyciągającym młodzież, do której przecież należy jutro ludzkości. ...spotkanie wyzwanie, podejmując walkę o... ślepnienie przestrzeni kosmicznej i stworzenie nowych możliwości ludzkiemu myśleniu.

...ecz niezbędna! I nauka, ...ą się wszystkim, co doty-... Fizyk, profesor Gerard O'Neill polecił pewnego dnia swoim studentom opracowanie projektu kosmicznej kolonii. Już pierwsze wyniki tego eks-... ...dawały mu się tak obiecujące, że zde... ...się na wprowadzenie do tych prac ra... ...rawdopodobieństwa. Dzięki temu wie... obecnie dysponujemy surowcami nie... do budowy takiej kolonii.

Carl Sagan napisał wiele poważnych ...owych dotyczących problemu komuni... ...ię z innymi istotami rozumnymi żyjący... ...Wszechświecie. Badania te przyniosły ...macji, a jednocześnie wiele nowych ...ątpliwości. Zajmijmy się przykładowo ...z nich.

...esiątków lat zarówno autorzy powieści ...ction jak i uczeni wiele uwagi poświęcali ...istnienia we Wszechświecie innych ...mnych. Brak jakichkolwiek dowodów ...a „tak", jak i na „nie"; wiadomo jedy... ...a naszym Układem Słonecznym istnie... ..., które może były, są lub będą siedli... ...ia. Jednak dzięki najnowszym obse... ...dokonywanym z wprowadzanych na or... ...znych satelitów stwierdzono, że czter... ...osunkowo niezbyt odległych od nas ...acza obłok świadczący o zachodzącym ...esie ewolucyjnym, analogicznym do ...r legł u podstaw narodzin życia na na... ...ecie. Kilka z tych gwiazd, a przede ...jedna – Wega z gwiazdozbioru Liry – ...więc słać się ośrodkami życia.

...z Uniwersytetu stanu Maryland, którzy ...dzili badania meteorytu Murchison, ...ego w 1969 roku w Australii, stwierdzili, ...skład wchodzi pięć podstawowych nie... ...do życia pierwiastków chemicznych. ...podstawie można wnioskować o ist... ...ia w jakichś zakątkach Wszechświa-...

...m Fred Hoyle, będący również auto... ...eści science fiction, w swojej ostatniej „The Intelligent Universe" niejako „od... ...dziewiętnastowieczną teorię, głosząca, ...(a także wszystkie inne planety, na któ... ...ie życie) podlega nieustannemu bom... ...u przez „biologiczne molekuły" będą... ...życia, a zarazem jego siłą i regenerują-...

...odzi natomiast o drugi aspekt naszych ...– otwarcie nowych dróg dla myśli czło... ...uczeni niewiele pozostają w tyle za au... ...ence fiction. W połowie lat siedemdzie-...

...nologii jest twierdzenie, że mechanika kwantowa nie tylko umożliwi wytłumaczenie takich zjawisk jak telepatia, ale również pomoże zrozumieć zjawisko świadomości. W tym ujęciu pewne nowe teorie dotyczące granic świadomości, które zawarłem w „The Cosmic Dancers", wyznaczyłyby ...nowe szlaki nauce XXI wieku.

Czy oznacza to, że przed ludzkością otwierają się w tym zakresie wręcz nieograniczone możliwości? Któż to wie? W każdym razie nowy model świadomości, opracowany na podstawie mechaniki kwantowej, pozwala się domyślać, że – jak to stwierdził w swojej książce „What Is Life" austriacki fizyk Erwin Schrödinger, jeden z twórców teorii kwantowej, laureat nagrody Nobla z 1933 roku – oprócz świadomości indywidualnej, oprócz naszego Ego, może istnieć coś w rodzaju uniwersalnej świadomości zbiorowej. Myśl tę podjął Arthur C. Clarke w „Childhood's End", porównując duszę każdego człowieka do samotnej wysepki na oceanie, która – choć wydaje się samotna – w rzeczywistości jest połączona ze wszystkimi innymi podobnymi do niej wysepkami, bowiem wszystkie wyrastają ze wspólnego podłoża.

Wielu z nas ogarnia pesymizm na myśl o możliwości katastrofy nuklearnej. Jego źródłem – podobnie jak u bohaterów Simaka – jest głęboko zakorzeniony w ich świadomości lęk. Ale skoro wszyscy wyrastamy ze wspólnego unanimistycznego podłoża, nosimy w sobie nasz talizman, możność przezwyciężenia tego strachu, osiągnięcia spokoju i harmonii.

Wydaje mi się, że na podstawie tego wszystkiego, co powiedzieliśmy, można stwierdzić, że science fiction otwiera przed wychowawcami młodych pokoleń zupełnie nieoczekiwane perspektywy, i to nie tylko przez rozbudzanie zainteresowań naukowych, lecz również dzięki ukazaniu możliwości harmonijnego, wszechstronnego rozwoju, tak bardzo potrzebnego ludziom XXI wieku, wieku zarazem nauki i sztuki.

Na zawsze zapadło mi w pamięć pytanie, jakie zadał mi pewien młody człowiek, słuchacz podstawowego kursu fizyki, przeznaczonego dla studentów spoza tego wydziału; po wykładach na temat teorii względności, mechaniki kwantowej i wpływu nowych odkryć na nasze widzenie świata, powiedział: *„Panie profesorze, to jest fascynujące, ale odnoszę wrażenie, że ta nowa fizyka dotyczy tylko cząstek elementarnych. Czy to wszystko odnosi się również i do mnie osobiście?"* Nie znalazłem wówczas odpowiedzi na to pytanie. Ale następnie opracowałem cykl wykładów „Fizyka w science fiction". Dla wyjaśnienia nie-specjalistom teorii i znaczenia fizyki klasycznej i kwantowej posłużyłem się zestawem fra-

Jak więc widać, podstawa tego tak harmonijnego związku nauki i science fiction jest wyobraźnia. A jak wiadomo, przy badaniu otaczającego ...miejsca w nim człowieka. A jeżeli prawdą jest, że u podstaw wszelkiego sukcesu w zakresie nauczania leży wyobraźnia, wychowawcy mogą się znakomicie posłużyć science fiction do rozbudzenia u swoich uczniów głodu wiedzy.

Na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć jeszcze jeden przykład roli science fiction w przybliżaniu i wyjaśnianiu zagadnień ściśle naukowych. Czy teoria względności może znaleźć zastosowanie w... miłości? Ależ tak, a jako dowód może posłużyć list bohaterki powieści „The Forever War", której autorem jest Joe Haldeman. Pisze ona do swego ukochanego:

Williamie!

To, co napiszę, jest w twoich aktach personalnych. Wiem jednak, że możesz je po prostu cisnąć w kąt. Zrobiłam więc wszystko, żebyś ten list otrzymał. Jak widzisz, żyję. Może ty też. Spotkajmy się.

Wiem z dokumentów, że wysłano cię do Sade-138 i wrócisz za parę wieków. Nie ma sprawy. Lecę na planetę, którą nazywają Middle Finger, piątą w systemie Mizara. To dwa skoki kolapsarowe, dziesięć miesięcy czasu pokładowego. Middle Finger jest dla heteroseksualnych czymś w rodzaju Mekki. Nazywają ją „podstawą kontroli eugenicznej". Mniejsza o to. Ja i pięciu innych weteranów wydaliśmy wszystkie pieniądze, ale kupiliśmy stary krążownik i używamy go jako maszyny czasu. Jestem więc na pokładzie promu relatywistycznego i czekam na ciebie. Po prostu odlatujemy na odległość pięciu lat świetlnych od Middle Finger i wracamy z pełną prędkością. Przez każde dziesięć lat starzeję się mniej więcej o miesiąc. Jeżeli żyjesz i twój czas nie uległ zmianom, w chwili twojego przybycia tutaj będę miała dopiero dwadzieścia osiem lat. Spiesz się!

Nie znalazłam sobie nikogo innego i nie chcę nikogo innego. Nie obchodzi mnie czy masz dziewięćdziesiąt, czy trzydzieści lat. Jeżeli nie będę mogła być twoją kochanką, będę twoją pielęgniarką.

Marygay

Ręczę, że sam Einstein zaaprobowałby takie pełne miłosnego żaru i nadziei metody nauczania fizyki!

Wg „Le Courrier de l'Unesco"
opracowała
M. Aleksandra Bagnowska

ny proces, jakim są narodziny myśli. Wie... ków, a wśród nich laureat nagrody Nobla...

nas świata jest ona w... science fiction interesu... czy przestrzeni, czas...

cydował... chunku p... my, że ju... zbędnym...

Z kole... prac nau... kowania... mi we W... garść inf... pytań i w... niektórym...

Od dz... science f... możliwoś... istot roz... zarówno... nie, że po... ją planet... skim ży... rwacjom... bitę sztu... dzieści s... gwiazd o... tam pro... tego, któ... szej plan... wszystkim... mogłoby...

Uczen... przeprow... znalezion... ze w jego... zbędnych... Czy na te... nieniu ży... ła?

Astron... rem pow... książce „... świeżył"... że Ziemia... rych kwit... bardowa... cé źródłe... cą.

Jeśli c... rozważań... wieczej –... totami sc...

Mimo iż od powstania „Fantastyki" upłynęło zaledwie kilka lat, imprezy organizowane przy współudziale naszego miesięcznika weszły na stałe do tradycji współczesnego życia kulturalnego. Należą do nich coroczne, jesienne spotkania z czytelnikami, krytykami i pisarzami będące znakomitą okazją wymiany doświadczeń pomiędzy profesjonalistami i miłośnikami gatunku science fiction. Tegoroczne, ogólnopolskie „Dni Fantastyki" odbyły się w Warszawie w dniach 14-17 listopada. Współorganizatorami spotkania było Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki oraz Dom Sztuki SBM „Ursynów"

Dni Fantastyki

Warszawa 1985

Po raz pierwszy impreza odbyła się w tak dużym mieście. Dla organizatorów taka lokalizacja stanowiła nie lada problem. Rozmowy w gronie zaprzyjaźnionych współpracowników pisma, wewnętrzne dyskusje, oceny i analizy trzeba było połączyć z działalnością o charakterze popularyzacyjnym, ukazując mieszkańcom stolicy najnowsze kierunki badań nad gatunkiem SF (otwarte seminarium krytyczne na Uniwersytecie Warszawskim), zamierzenia wydawnicze „Fantastyki" (spotkania w Klubach Międzynarodowej Książki i Prasy), przemiany w grafice, malarstwie, kinematografii oraz komputeryzacji wkraczającej do wielu dziedzin codziennego życia (wystawy sztuki i pokazy gier na Ursynowie). Co ważniejsze, należało niezwykle precyzyjnie ustalić cały plan spotkania, ponieważ wiele imprez rozgrywało się równocześnie w kilku punktach stolicy.

Z zadania tego organizatorzy wywiązali się chyba dobrze, chociaż nie brakowało opinii, że tegoroczne „Dni Fantastyki" nieco się zagubiły w bogactwie imprez na terenie wielkiej aglomeracji. Z pewnością jednak nie straciły swego niepowtarzalnego charakteru dorocznego święta miłośników fantastyki naukowej.

Wydarzeniem pierwszego dnia było otwarcie wystawy rysunku, grafiki i malarstwa w Domu Sztuki na Ursynowie, którego dokonał redaktor naczelny „Fantastyki" Adam Hollanek. Wskazał on na różnorodność odmian i nurtów polskiej szkoły malarstwa fantastycznego, która wywodzi się z szeroko pojętego surrealizmu. Wystawa obejmowała prace Jerzego Czerniawskiego, Mirosława Gołędzinowskiego, Janusza Gutkowskiego, Ryszarda Wojtyńskiego i Marka Zalejskiego.

W programie tegorocznych „Dni Fantastyki" znalazło się również seminarium krytyczne dotyczące wybranych problemów gatunku („Science fiction i jej pogranicza"). Tym razem patronat nad całością imprezy objął Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, a obrady toczyły się na terenie Pałacu Kazimierzowskiego w reprezentacyjnej auli UW – Sali im. prof. Józefa Brudzińskiego. Merytorycznym organizatorem seminarium był dr Andrzej Niewiadowski, a otworzył je dziekan Instytutu Filologii Polskiej – doc. dr hab. Andrzej Makowiecki, który zwrócił uwagę na szczególny charakter spotkania grupującego specjalistów SF z całego kraju, a odbywającego się po raz pierwszy w murach placówki naukowej. Andrzej Niewiadowski, ... wskie seminarium wygłosił referat „Literackie pejzaże fantastyki naukowej", dotyczący historycznych powiązań gatunku z takimi odmianami prozy jak baśń filozoficzna, utopia, powieść podróżniczo-przygodowa. Doc. dr hab. Ryszard Handke (UW) w referacie „Science fiction a baśń" przedstawił ewolucję wspomnianych nurtów w planie teoretycznym wskazując na społeczną doniosłość baśni w procesie edukacji światopoglądowej (inspiracją była tu m.in. książka B. Bettelheima „Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni").

W drugiej części spotkania wysłuchano trzech referatów. Dr Andrzej Kołodyński (red. tygodnika „Film") mówił o „Pustych obrazach. Ewolucji środków artystycznych w światowym kinie SF" sugerując nowe podejście do tematu i oceny filmowych arcydzieł gatunku („puste obrazy" odnoszące się do struktury sekwencji, pobudzające wyobraźnię widza). Dr Barbara Okólska (UW) zajęła się analizą francuskiej literatury SF przełomu XIX i XX wieku („Konwencja i indywidualność") wykazując, że współczesne tendencje rozszerzenia granic gatunku zarysowały się już przed kilkudziesięciu laty w tekstach o szczególnych wartościach literackich. Dr Stanisław Bereś (Uniwersytet Wrocławski; laureat tegorocznej nagrody „Fantastyki" w dziedzinie krytyki za cykl rozmów ze Stanisławem Lemem, publikowany na łamach „Odry") w wystąpieniu „Księgi apokryfów Lema" omówił dyskusję polskiego autora z europejskimi nurtami i programami kulturowymi na przykładzie „świata falsyfikatów »Doskonałej próżni«".

W dyskusji podsumowującej obrady zabrali głos m.in.: dr Antoni Smuszkiewicz (Uniwersytet Poznański), dr Piotr Krywak (Uniwersytet Jagielloński), Adam Hollanek („Fantastyka"), Krzysztof Boruń („Astronautyka"), Wawrzyniec Sawicki („Pismo L-A"), Leszek Bugajski („Życie Literackie"), dr Antoni Chojnacki („Miesięcznik Literacki").

Zamykając seminarium Adam Hollanek przypomniał, że na tegorocznym spotkaniu kontynuowano omawianie problemów poruszonych na sesji staszowskiej w roku 1984 oraz wskazał na konieczność podobnych spotkań w przyszłości, zapowiadając publikację skróconych wersji referatów w miesięczniku „Fantastyka" (pełne teksty wystąpień ukażą się w roku 1986 na łamach „Miesięcznika Literackiego" i „Pisma L-A").

Zdaniem organizatorów następne spotkania powinny się odbywać na przemian w regionalnych ośrodkach kultury i w dużych miastach, co ułatwiłoby wymianę doświadczeń między profesjonalistami i czytelnikami SF oraz wzbogaciło dotychczasowy program seminarium.

Następnego dnia, w sobotę, odbyło się rozdanie literackich nagród „Fantastyki" za rok 1984 (informacje o laureatach ... liśmy w numerze 12/85). Swoje nagrody (Złota Sepulka 1984/85) przyznało równ... Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki.

Od tej chwili warszawskie „Dni Fantastyki" podzieliły się na kilka odrębnych nurtów tematycznych. W Domu Sztuki na Ursynowie odbywały się projekcje filmów wideo, pokazy przeźroczy z malarstwem SF oraz gier komputerowych (te ostatnie prowadzone przez Stowarzyszenie Mikrokomputerowe „Abakus"). W godzinach popołudniowych zorganizowano również kilka spotkań z autorami SF (m.in. Marcinem Wolskim i Wiktorem Żwikiewiczem).

Nurt krytyczny kontynuowano podczas dyskusji czytelników i profesjonalistów SF z członkami Klubu Twórców PSMF-u (ul. Barcelońska 1), którą prowadził Rafał A. Ziemkiewicz. Tematem spotkania była sytuacja w najmłodszej polskiej prozie SF. Po kilku interesujących wystąpieniach impreza przerodziła się w burzliwą wielogodzinną dyskusję, w trakcie której omawiano tak ważne problemy, jak: kwestia przemian „generacji autorskich w SF", poprawność kompozycji i warsztatu literackiego, wreszcie związki SF z określonymi stanami przemian społecznych (obszerne fragmenty dyskusji opublikuje miesięcznik PSMF-u „SFera"). W godzinach wieczornych redaktorzy „Fantastyki" spotkali się z czytelnikami w Międzynarodowym Klubie Książki i Prasy przy ulicy Bagatela 14, dzieląc się refleksjami z dotychczasowej pracy edytorskiej, omawiając najbliższe zamierzenia i odpowiadając na zadane pytania.

W niedzielę, w ostatnim dniu imprezy, przeważały spotkania o charakterze otwartym. Na Ursynowie była prowadzona giełda książek SF oraz konkurs rysunkowy dla dzieci, któremu patronowali redaktorzy graficzni „Fantastyki". Przez cały czas było czynne stoisko z wydawnictwami klubowymi przygotowane przez PSMF.

W godzinach popołudniowych w jednej z sal Ursynowskiego Domu Sztuki odbyła się dyskusja krytyków na temat „SF – manowce i pogranicza", w której wzięli udział: Barbara Okólska (UW), Piotr Krywak (UJ), Leszek Bugajski („Życie Literackie"), Wawrzyniec Sawicki („Pismo L-A") oraz z ramienia „Fantastyki" Maciej Parowski i Andrzej Niewiadowski (obszerne fragmenty dyskusji zostaną opublikowane w jednym z najbliższych numerów naszego miesięcznika).

Wydarzeniem ostatniego dnia imprezy była również projekcja głośnego filmu „Dune" zrealizowanego na podstawie powieści amerykańskiego pisarza Franka Herberta (zob. „Fantastyka" nr 5/85).







1. Wręczenie literackiej nagrody „Fantastyki" przyznanej pośmiertnie Januszowi A. Zajdlowi za cały dorobek twórczy. Nagrodę z rąk Adama Hollanka odbiera żona Pisarza – pani Jadwiga Zajdlowa.
2. Wręczenie „Złotej Sepulki 1984/85" dla Redakcji miesięcznika „Literatura Radziecka" za popularyzację SF. Nagrodę z rąk prezesa PSMF Andrzeja Szatkowskiego (z prawej) odbiera przedstawiciel Wszechzwiązkowej Agencji Praw Autorskich (WAAP) – Wadim Dunin.
3. Dużym zainteresowaniem wśród młodych entuzjastów elektroniki cieszyły się gry komputerowe.
4. Sala wystawowa Domu Sztuki podczas oficjalnego otwarcia Dni Fantastyki.







5. Seminarium krytyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Referat wygłasza doc. dr hab. Ryszard Handke. Za stołem prezydialnym siedzą: dziekan instytutu Filologii Polskiej – doc. dr hab. Andrzej Makowiecki (w środku) oraz Adam Hollanek i Andrzej Niewiadowski.

Fot. Zbigniew Latała